

MAX CZORNYJ

Śmierć wciąż jest na wolności.

Autor bestsellerowej
powieści

GRZECH

BESTIA

FILIA

MAX CZORNYJ

BESTIA

FILIA

Lublinianom, z przeprosinami
za trzebienie naszej populacji
(z przekonaniem, że uzupełnią ją ci, którzy
wyruszą szlakiem Deryły i zostaną tu na zawsze).

*Gdziekolwiek zwrócę lot, tam czekać będzie
Gniew nieskończony, nieskończona rozpacz!
Gdziekolwiek zwrócę lot, tam wszędzie piekło.
Piekło jest we mnie, a na dnie otchłani
Głębsza, ziejąca czeluść się otwarła,
Przy której piekło dręczące jest niebem.
Zmiłuj się wreszcie! Czyż nie ma już miejsca
Dla mej pokuty i dla wybaczenia?
Nie ma, zostało jedynie poddanie
I lęk przed hańbą, która mnie okryje
Wśród duchów w dole...
John Milton, *Raj utracony*,*

tłum. Maciej Słomczyński

– Proszę pani, błagam o litość? – Tak, tak, litość! Będąc litościwym, umiera się z głodu!
D. A. de Sade, *Justyna, czyli nieszczęścia cnoty*

– Wiesz, co się z tobą stanie?

Elena Wilska wbiła mocniej zęby w szmaciany knebel i wydała z siebie przerażający pisk. Jej żrenice rozszerzyły się, a po zaróżowionych ze strachu policzkach spłynęły łzy.

Oprawca dotknął jej oblepionego potem czoła.

– Chyba masz gorączkę... Mój Boże, jesteś bardzo rozpalona!

– Mmmm...

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Kobieta wierzgnęła, lecz był to jedynie wyraz beznadziejnej rozpacz. Nie mogła uciec. Kajdany krępujące jej ręce i nogi zostały przytwierdzone do sznura owiązanego wokół metalowego stelaża. Siedziała odwrócona do niego przodem, na nagim betonie, a jej kończyny były wyprostowane. W tej nienaturalnej pozycji piekielnie bolały ją barki oraz plecy. Jednak powoli przyzwyczajała się do bólu oraz niewygodnej pozycji.

Niewiele pamiętała z tego, co wydarzyło się przed tym, jak trafiła do tej obskurnej nory. Szła pustą, osiedlową uliczką i analizowała dane z aplikacji monitorującej jej dobową aktywność. Była zbyt zmęczona, żeby tego wieczoru biegać, ale szybki spacer miał poprawić parametry. Program alarmował, że powinna się jeszcze dotlenić, aby lepiej jej się spało. Marzyła o szybkim zaśnięciu, a potem...

Potem nagle nastąpiła ciemność.

Ocknęła się otumaniona i z nieprzyjemnym ciśnieniem głowy. Po kilku sekundach mózg odebrał impulsy bólowe z całego ciała. Była zdrętwiała, a jej ręce oraz nogi unieruchomiono w kajdanach. Sztywny jak kołek język natrafił na szorstką szmatę.

Zrobiło się jej niedobrze, ale opanowała torsję. W przeciwnym razie zadławiłaby się własnymi wymiocinami.

W pomieszczeniu poza stelażem, do którego była przykuta, nie znajdowały się żadne sprzęty. W narożnikach stały zapalone gromnice, które dawały stłumione, żółte światło. Ich płomienie zamrugały, a chwilę później zjawił się On – najpierw jej uwagę przyciągnął czerwony kombinezon, a dopiero po chwili przeraziła ją jego twarz. Miał upiorny, szeroki uśmiech, który odsłaniał bezzębne usta. Jego policzki oraz nos były upudrowane. W miejscu włosów sterczało kilka różnokolorowych kosmyków. Najbardziej przerażająco wyglądały jednak oczodoły – zapadnięte i zionące pustką tak, że możliwe wydawało się zajrzenie przez nie wprost do mózgu potwora.

Dopiero po chwili Elena zrozumiała, że postać ma na sobie maskę upiornego clowna. Ta świadomość jednak wcale jej nie uspokoiła. Tym bardziej że skądś kojarzyła tę maskę, to pomieszczenie, a nawet ten stelaż... Nie potrafiła się jednak na tym skupić.

Clown jeszcze raz dotknął jej czoła i smutno westchnął. Następnie obszedł metalową konstrukcję, po czym przyklęknął. Elena usłyszała, jak strzelają mu kolana.

– Pokaż, proszę.

Sięgnął po jej dłoń i pomimo tego, że zacisnęła pięść, wyprostował jej palec wskazujący.

– Nie walcz ze mną. Chcę tylko twój dobro.

Pisnęła, ale tym razem dźwięk uwiązł w jej gardle. Gromnice ponownie zamrugały i nagle w ich świetle coś błysnęło. Elena przymknęła oczy, starając się powstrzymać ściekający w ich kierunku pot. Piekły i widziała niewyraźnie, lecz nie na tyle, by nie rozpoznać przedmiotu, który trzymał clown.

– Mmm...

Oprawca jeszcze mocniej chwycił jej dłoń, rozprostowując teraz kciuk. W drugiej ręce trzymał stalowe nożyce do mięsa. Nożyce, które bez problemu rozciąłyby żebra największej gęsi.

– Przykro mi, ale musimy je amputować – szepnął. – Nie da się ich uratować.

– Agmmm...

– Wiesz, co się z tobą stanie.

Przeszywający ból i stanowczy ton szaleńca pozbawiały złudzeń, że to wszystko jest jedynie koszmarem, z którego się zaraz wybudzi. Elena z całej siły starała się wypchnąć językiem knebel, lecz nie była w stanie. Poczowała mdły posmak krwi.

Clown nachylił się ku niej i cicho westchnął. Doleciał ją zapach, który знаła z dzieciństwa. Zapach, który, nie wiedzieć czemu, doskonale pasował do tego, co działo się wokół.

Tak pachniały owocowe gumy balonowe...

Nagle jej mózg zaczął łączyć fakty i wysnuwać wnioski. Te sprawiły, że ogarnął ją bezgraniczny strach, a świat zawirował.

Owszem. Wiedziała, co ją czeka.

Chwilę później nożyce z tępym chrupnięciem odcięły jej dwa palce. A potem jeszcze jeden. I kolejny.

Krew rytmicznie bryzgała z krótkich kikutów. Strzaskane kości sterczały z mięsnej pulpy, a skóra wokół gwałtownie pobieliała. Ciałem Eleny wstrząsnęła konwulsja.

– Ja też znam przyszłość. I wiesz co? Cholernie nie mogę się doczekać tego, co się wkrótce wydarzy.

Tych słów Elena już nie usłyszała. Świat zawirował, a chwilę później osunęła się w ciemność.

Jednak ciemność nie mogła być ucieczką.

– Nie pozwolę ci spać zbyt długo... – wycedził clown. – To dopiero koniec pierwszego rozdziału. Prawdziwe cierpienia dopiero przed tobą.

– Cofnij się, Lubow.

Daniel Milski przez uchylone okienko obserwował mężczyznę w pomarańczowym kombinezonie. W więziennictwie pracował od trzynastu lat, od ponad dekady w tym zakładzie karnym. Przez ostatnie półtora roku był jednym ze strażników nadzorujących izolatki oraz cele dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Znał ich na wylot. Znał również procedury.

Igor Lubow posłusznie, choć z ociąganiem, cofnął się pod ścianę.

– Przeszukanie? – zapytał z ironią.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną. Szczególną uwagę przykuwały jego błękitne oczy, które zdawały się lustrować rzeczywistość z zachłanną przenikliwością. Jego wąskie usta wykrzywił sardoniczny uśmiech.

– Wizytacja kibla – odparł Milski.

Odsunął zasuwę i otworzył solidne, metalowe drzwi. Zgodnie z procedurą nieoczekiwanie raz w miesiącu musiał sprawdzać jedyny nieobjęty monitoringiem fragment celi Lubowa – toaletę. Powinien tego dokonywać w asyście drugiego strażnika, ewentualnie tak, jak teraz – nakazując więźniowi stanąć w przeciwległym kącie celi. Procedury zawsze były najważniejsze.

Zgodnie z grafiką od ostatniej inspekcji minęło dokładnie trzydzieści dni, a jak na złość w sezonie urlopowym każdy pozostały na służbie klawisz miał teraz natłok zajęć. Zresztą podobne „wizytacje” trwały zwykle kilkanaście sekund i kończyły się oceną czystości muszli klozetowej. W przypadku noty negatywnej skazanego mogły czekać drobne represje, od zabronienia mu korzystania z wyrobów tytoniowych po zakaz otrzymywania paczek żywnościowych. Chodziło o dyscyplinę.

Lubow nie palił ani nie dostawał od nikogo wiktuałów z za krat, mimo to jego toaleta lśniła. Milski z uznaniem kiwnął głową.

– Dobrze jest, szefie?

– Nie mam zastrzeżeń. Poza tym, że papier masz odkładać na miejsce.

Papier oczywiście był tam, gdzie powinien – tuż za muszlą, jednak zawsze należało na coś zwrócić uwagę.

– Szefie...

– No?

Lubow zrobił krok w stronę Daniela, a ten błyskawicznie sięgnął po paralizator. Więzień stanął w pół kroku.

– Cofnij się! Natychmiast!

Lubow spokojnie uniósł dłonie, po czym zrobił krok w stronę ściany.

– Przepraszam... – wycedził. – Mimo tych wszystkich miesięcy za kratami to odruch. Dziwnie się rozmawia z odległości kilku metrów.

Milski powstrzymał sapnięcie ulgi. W myślach pochwalił się, że wciąż jest czujny.

– W porządku. Teraz możesz mówić.

– Chciałem zapytać, czy w przyszłym tygodniu, kiedy opuszczę izolatkę, znów dałoby radę połączyć dwa piętnastominutowe spacerki w jeden. Nie muszę wychodzić codziennie, ale przez pół godziny rozprostowałbym kości.

– To nie jest placówka rehabilitacyjna.

– Tyle że...

– Zobaczę, co da się zrobić.

Lubow uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Dziękuję, szefie.

– Coś jeszcze?

– Nie.

– W takim razie popraw sobie nogawkę kombinezonu. Regulamin nakazuje dbać o schludność.

Więzień z konsternacją zerknął w dół. Przystąpił z nogi na nogę, po czym się wyprostował.

Zmarszczył brwi i zerknął uważnie na strażnika.

– O którą chodzi? Przecież są w porządku...

– Lewa. Odslania kostkę.

Milski odruchowo wyciągnął dłoń, wskazując na zawiniętą nogawkę. W tym samym momencie Igor Lubow błyskawicznie się pochylił i rzucił coś, co oplotło się wokół nadgarstka strażnika. Z całej siły pociągnął. Zrobił to tak szybko i mocno, że Daniel Milski, mimo słusznej postury, upadł na kolana. Sekundę później więzień był tuż przy nim. Poruszał się z zaskakującą sprawnością, jakby miliony razy ćwiczył każdy ruch. Pozbawił strażnika paralizatora oraz założył mu dźwignię na szyję. Wszystko trwało krócej niż trzy sekundy.

– Skręcę ci kark, szefie – oznajmił lodowatym tonem. – Robiąc to nieumiejętnie, sprawię, że twoja tchawica zamieni się w harmonię i przez kilka minut będziesz walczył o nieosiągalny oddech.

– Puść...

Mocniejszy chwyt spowodował, że z ust strażnika dobiegł jedynie charkot.

– Boisz się śmierci?

– Mmm...

– Nie słyszę!

Lubow delektował się władzą, jaką miał nad drugim człowiekiem. Uśmiechnął się i na moment przymknął oczy. Gdy ponownie je otworzył, w ich błękitach pojawił się nowy wyraz – bezmiernego, demonicznego szaleństwa.

– Skup się, bo od odpowiedzi może zależeć twoje życie – wyszeptał. – „Zjawiam się, gdy tego zapragnę, i całkowicie zniewalam. Wzbudzam najgorsze przerażenie, fałszywe, choć bliskie prawdzie. Dostrzec mnie może tylko ten, kto pierwaj zamknie swe oczy. Kim jestem?”

Przed rozpoczęciem pisania upewnijcie się, że będziecie mieć kilka chwil spokoju. Ile trwa jedna chwila, a ile trwa kilka chwil? To zależy tylko od was. W tej robocie sami jesteście sobie panami i niewolnikami. Do tego w tym samym czasie. To dość niezwykle, ale właśnie tak musicie na to patrzeć.

Niewolnik i pan... Za każdy przejaw lenistwa musicie walić swojego wewnętrznego czarnucha po głbie. Musicie zagonić się do najcięższej harówki, o jakiej śniliście koszmary.

Więc ile trwa kilka chwil?

Jedni będą potrzebować zaledwie paru minut, inni, aby napisać dwa zdania, muszą przepaść na wiele godzin. Skąd macie wiedzieć, ile potrzebujecie właśnie wy?

Powtarzam, upewnijcie się, że będziecie mieć kilka chwil spokoju. Nie mogą wam przerwać kipiąca zupa ani dym dobywający się z piekarnika. Nie może was oderwać pies chcący wyjść na spacer. Jeśli was to uspokaja – pogłaszczcie go za uszami, ale to wszystko. Żadnych, kurwa, spacerów. Rozumiecie?

Bądźcie gotowi zlekceważyć nawet cholerne trzęsienie ziemi albo alarm ostrzegający przed moskiewską eskadrą, która dostała zadanie obrócić wasze miasto w ruinę. Potrzebujecie kilku chwil spokoju i tylko od was będzie zależało, czy go dostaniecie. To kwestia perspektywy.

To kwestia priorytetów.

To kwestia determinacji.

Albo chcecie stworzyć swój świat i przenieść się tam na amen, albo jesteście tandeciarzami tworzącymi historyjki, które nikogo nie poruszają. Jeśli macie aspiracje, by być tymi drugimi, nie traćcie tu czasu, forsyz i nie zawracajcie głowy mi ani pozostałym. Poświęćcie się dwuakapitowym artykułikom w kąciku kucharskim. Choć są tacy, którzy nawet przepis kucharski potrafią napisać z większymi jajami, niż inni prowadzą intrygę kryminalną.

No, dobrze. Wciąż tu jesteście? Wierzę w waszą wewnętrzną szczerłość.

Teraz nadszedł czas zaaranżować sobie warunki. Maszyna do pisania, laptop, kartka i ołówek – wszystko jedno. Musi być wam wygodnie. Pomiędzy wami a historią nie może stać żaden cholerny sprzęt. Sprzęt ma jedynie stanowić przedłużenie waszej ręki i wyobraźni. Przedłużenie wyobraźni – czy w tym określeniu jest coś zabawnego, moja droga? Tak właśnie myślałem.

Lecimy dalej. Usiądźcie lub stójcie, jak wam wygodniej. James Joyce, pisząc, leżał na brzuchu, a Ernest Hemingway przeżył się na baczność przy pulpicie. Victor Hugo tworzył kompletnie nagi, po zjedzeniu dwóch jajek oraz odczytaniu listu od kochanki. Przykłady można by mnożyć. Scott Fitzgerald kulił się obok miski z rzygowinami, lecz głęboko wierzył, że ma spokój i zadanie do wykonania. Wy macie je również. Będziecie rżnąć, ciąć i mordować. Jeśli go nie wykonacie, nic się nie stanie. Poza tym, że usmażycie się w piekle własnych niewykorzystanych możliwości, rozczarowań i marzeń, że odmienicie swoje życie. Jeśli nie wykonacie planu, będziecie zerami. Są tysiące przykładów autorów, którzy nie wykonali planu – tylko nikt nie zna ich nazwisk.

Pewnie wy też coś już o tym wiecie? Każdy pisarz zaczynał od projektów, które trafiały do szuflady lub – u tych rozsądniejszych – prosto do śmietnika. To normalne. Ja podaję wam rękę, żeby wyciągnąć was z tego piekła. Musicie mi tylko zaufać.

Macie odwagę?

Komisarz Deryło pchnął drzwi do gabinetu tak mocno, że te rąbnęły o ścianę. Zaklął i znacznie delikatniej zamknął je za sobą. Zaciągnął się doskonale znanym aromatem. Mimo że nie było go w tym miejscu od kilku tygodni, dałby się pociąć, że dopiero co zaparzone tu kawę.

Przeciągnął spojrzeniem po prostym biurku, szafce z ekspresem oraz dwóch stojących pod ścianą krzesłach. Odkąd wyszedł stąd po raz ostatni, nic się nie zmieniło w tym wnętrzu. Na biurku oraz podłodze piętrzyły się te same akta oraz szpargały. Zresztą to one były powodem, dla którego zjawił się na komendzie. Formalnie wciąż przebywał na zwolnieniu.

Nabrał głęboki oddech i się przeciągnął. Lekarze zalecali jak najwięcej gimnastyki. Poza tym sam chciał jak najszybciej wrócić do pełni formy. Był zbyt przekorny, żeby zdziadzić pod pretekstem niedawnych wydarzeń. Jasne, z powodzeniem mógłby odejść na emeryturę, ale teraz nawet o tym nie myślał. Marzył o tym, żeby rzucić się w wir roboty.

Podszedł do biurka i wykonał kilka wymachów ramionami. Rozluźnił barki, po czym poruszył na boki głową. Mimo że na jego widok trzy czwarte komisariatu zbiegło się, chętne świętować, wołał pobyć sam. Choć uporządkowanie szpargałów stanowiło jedynie pretekst, by zajrzeć na komendę, pewne przyzwyczajenia się nie zmieniały.

Nachylił się i sięgnął po pierwszą z góry teczkę. Znajdowały się w niej stare, niepotrzebne notatki dotyczące któregoś ze śledstw. Podobnie w dwóch kolejnych. Deryło wyjął kilka kartek i w pełnym skupieniu złożył trzy żurawie origami. Ustawił je na biurku, po czym zadowolony uśmiechnął się pod nosem.

– Szczęście czy pech? – zapytał, ponownie biorąc teczkę.

Mimo okazałej zawartości przedarł ją na pół, co wprawiło go w jeszcze lepszy nastrój. Wciąż miał parę w rękach. Zmiał makulaturę w wielką kulkę i rzucił do kosza koło niszczarki. Chybił. Zawiniątko odbiło się od rantu i rozwinęło. Kartki rozniosły się po całym gabinecie.

Deryło zaklął i zacisnął zęby. Dobry humor ulotnił się tak szybko, jak się pojawił. Nachylił się, żeby zebrać papiery leżące najbliżej. Zrobił to zbyt gwałtownie, zachwiał się i kolanem rąbnął w metalowy kosz. Trafił prosto w nerw. Spazm bólu wykrzywił mu twarz.

– Pieprzone gówno!

Pod wpływem impulsu chwycił kosz, jakby chciał wyrzucić go za okno. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i do gabinetu weszła Tamara Haler. Stała jak wryta. Przez moment wahała się, czy powinna zostać, jednak zaraz jej zaskoczenie ustąpiło rozbawieniu.

– Widzę, że naprawdę wracasz do siebie – zagadnęła, idąc z szeroko rozłożonymi rękoma w stronę komisarza. – I to całkiem dosłownie.

– Pozory...

Deryło z godnością odstawił śmietnik, po czym pozwolił się uścisnąć. Haler wreszcie go puściła i cofnęła się, omijając papierzyska.

– Najlepiej na swoich śmieciach, no nie?

– Nawet nie żartuj. Ciągnęło mnie do tego miejsca jak sępa do padliny, a kiedy już tu jestem, wszystko mnie wpienia.

– Dlatego chciałeś dokonać krwawej zemsty na koszu?

Komisarz machnął ręką, po czym wyrzucił kilka kartek. Następnie sięgnął po dopiero co

ustawione na biurku żurawie. Zmiał je, choć wybuch złości sprzed chwili powoli zaczęło zastępować zawstydzenie. Powinien bardziej panować nad sobą. Nawet, gdy nikogo nie było w pobliżu. Na wszelki wypadek.

– Ciągłe nie ma tysiąca?

Dopiero po chwili zrozumiał, że pytanie Halera odnosi się do żurawi. Wzruszył ramionami.

– Wiesz, kiedyś się bałem, że nigdy nie zdołam go zrobić – mruknął, obracając zmięte origami.

– Teraz boję się, że go zrobiłem i nie miałem o tym pojęcia. I że cała zabawa zaczęła się od początku.

– Miałeś za to dużo szczęścia.

– A najpierw mnóstwo pecha.

Haler westchnęła.

– Zaczynasz się nad sobą uzalać. – Uniosła palec i, nie pozwalając Deryle sobie przerwać, dodała: – Sam mnie prosiłeś, żebym ci powiedziała, gdy zaczniesz to robić.

– A ty jak zwykle zapamiętałaś każde słowo.

Deryło ciężko opadł na krzesło. Osunął się i wyciągnął nogi. Miał gdzieś ten bałagan. Do jego powrotu sprzątaczką będzie musiała opanować chaos. Albo – jak kiedyś – wykpi go, argumentując, że nie może tykać dokumentów. Stara cwaniara. Właśnie za takie podejście Deryło ją wręcz ubóstwiał.

– Jeszcze się mogę od ciebie wiele nauczyć.

Słowa Halera puścił mimo uszu. Pogrążył się w pustce. Przymknął oczy i ponownie wciągnął aromat kawy. Powinien wypić jej spore wiadro, ale lekarze nakazali zachowanie umiaru. Normalnie potraktowałby ich jako zbyt zachowawczych tchórzy lub zbyt przezornych dziobaków, ale...

Drgnął, czując dłoń podkomisarza na swoim ramieniu. Tak, musiał wreszcie skończyć z uzalaniem.

– Eryku? – dobiegł go jej ciepły głos.

Spojrzał w jej wielkie, brązowe oczy. Choć zazwyczaj, gdy ktoś zwracał się do niego po imieniu, reagował alergicznie, tym razem uśmiechnął się.

– No?

– Cieszę się, że wróciłeś.

Lubow nabrał powietrza i naprężył mięśnie. W ułamku sekundy mógł skrócić kark Milskiemu lub skazać go na wielominutową agonię.

– Masz trzy sekundy na rozwiązanie zagadki. Trzy...

W tym momencie zawyła syrena alarmu. Strażnik monitorujący cele musiał dostrzec, co działo się w tej z numerem siedemnaście – w tej, w której znajdowała się izolotka.

– Dwa...

Milski przełknął ślinę. Więzień poluzował chwyt na tyle, by klawisz mógł się odezwać. Przez jego umysł przetaczało się mnóstwo postrzępionych myśli. Najważniejsze było jednak pewne wspomnienie z przeszłości. Miał wrażenie, że zna odpowiedź, ale ta gdzieś umykała.

– Jeden...

– Koszmar! Jestem koszmarem!

Wydawało mu się, że krzyczy, choć w rzeczywistości z jego ust dobył się jedynie bełkot. Gdzieś w głębi korytarza trzasnęła krata. Igor Lubow zaśmiał się nerwowo i z impetem pchnął Milskiego na ziemię. Strażnik rąbnął nosem w twardą podłogę. Jego świadomość zawisła gdzieś na skraju przytomności. Poczul krew spływającą do gardła.

– Dobrze – wycedził Lubow. – Bardzo dobrze. To prawidłowa odpowiedź.

Z oddali niósł się tupot ciężkich butów. Do celi numer siedemnaście zbliżała się grupa interwencyjna. Więzień nieśpiesznie rozwiązał cienki sznur, którym niedawno obezwładnił strażnika, po czym wyszedł z pomieszczenia. Miał odciętą drogę ucieczki. Aby wydostać się z bloku, trzeba było pokonać co najmniej dwie kraty otwierane centralnie. Nie zamierzał jednak nigdzie uciekać.

Przerzucił linę przez rurę biegnącą tuż pod sufitem i zaciągnął supeł. Na jej drugim końcu znajdowała się przygotowana już wcześniej pętla. Lubow od kilku tygodni, niczym hinduscy bramini, spletał i połykał strzępy materiału. Całe poświęcenie, aby nie trafiono na nie w trakcie niespodziewanego przeszukania celi. Wydalał je, obmywał, po czym dopłatał kolejny odcinek wypruty z koca. Żadna, nawet najbardziej szczegółowa inspekcja nie mogła odkryć jego skarbu. Poza tym splot był tak ciasny i mocny, że również koc wydawał się niemal nienaruszony.

Krata na końcu korytarza odskoczyła z metalicznym brzękiem. Natychmiast wypadło zza niej kilku uzbrojonych strażników. Z daleka wymierzyli w Lubowa krótkie karabiny.

– Na kolana! Ręce w górę! Nie rób niczego głupiego!

Wysoki klawisz był purpurowy z nerwów. Reszta zatrzymała się tuż za nim, jakby się spodziewali, że Lubow zaraz wyciągnie spod kombinezonu pistolet lub garść granatów.

– Spokojnie, panowie... Przed chwilą mogłem zabić waszego kolegę, ale zaraz się przekonacie, że ma się całkiem nieźle.

– Na głowę!

Strażnicy powoli ruszyli w stronę więźnia. Wciąż trzymali go na muszkach karabinów. Zbliżali się krok za krokiem, w akompaniamencie ryku syreny alarmowej.

Lubow wyprostował się i upewnił, że lina jest właściwie napięta. Sam zamierzał zdecydować, kiedy nadejdzie jego koniec. Ludzie będą mówili nie tylko o tym, jak żył, lecz również jak umarł.

– Mam dla was przesłanie – wypowiedział z nabożnym uniesieniem. – Słuchajcie uważnie. Choć odchodzę, powrócę z tamtego świata i jeszcze was nawied...

Wypowiadając ostatnie głoski, poderwał się i błyskawicznie podciągnął na linie. Nim ktokolwiek zdążył zareagować, włożył głowę w pętlę. Następnie puścił sznur. Ułamek sekundy później jego ciało wierzgnęło w agonialnym skurczu, a oczy wyszły z orbit.

Nie żył.

TYDZIEŃ PÓZNIJ

Na korytarzu komendy wybuchła burza oklasków. Komisarz Deryło ze zwieszoną głową i zakłopotaną miną zmierzał do swojego gabinetu. Tego dnia po raz pierwszy był oficjalnie w robocie. Zwolnienie dobiegło końca i czekał na niego list z gratulacjami od samej ekscelencji – ministra. Gdy inspektor Knap wręczył mu przesyłkę na oczach wszystkich, w pierwszej chwili nie wiedział, jak się zachować. Nie cierpiał tego bufonowatego, zakłamanego polityka bardziej niż najgorszej zarazy. Ta myśl podsunęła mu rozwiązanie. Podarł list, nie wyjmując go nawet z koperty.

– Cały Deryło, sukinsyn niecierpiący innych sukinsynów – usłyszał za sobą.

Nawet się nie odwrócił. Uścisnął kilka rąk, po czym przyśpieszył kroku. Przez moment rozważał skorzystanie z windy, lecz obawiał się, że część tej hałastry wcisnęłaby się za nim do kabiny. Nie cierpiał tłoku.

Skręcił ku obskurnej klatce schodowej. Budynek w znacznej części stanowił spuściznę poprzedniej epoki, a z racji kubatury remonty oraz modernizacje ciągnęły się dekadami. Klatka schodowa najwidoczniej miała stanowić ich finalny etap.

Wdrapując się po schodach, zastanawiał się, czy gratuluje mu się uratowania życia kobiety czy wywnięcia się z objęć własnej śmierci. Dylemat pozostawał nierozstrzygnięty, gdy wreszcie, lekko sapiąc, padł na głęboki, wygodny fotel.

Wbrew przypuszczeniom rozrzucone po gabinecie papiery zostały pozbierane i ułożone w kilka stosików. Obok nich stała kolorowa kartka urodzinowa z wpisami kilkudziesięciu pracowników komendy. W pierwszym momencie Deryło chciał ją schować do szuflady, lecz gdy tylko jej dotknął, ogarnęło go dziwne rozczulenie. Nawet jeśli dziewięćdziesiąt procent życzeń była fałszywa, liczył się gest. Naprawdę sympatyczny uczynek niemal całej komendy – na szczycie figurowały podpisy inspektorów Knapa oraz Bickiego, nieco poniżej odnalazł staranny, niemal kaligraficzny podpis Halera, bazgroły Brzeskiego oraz skreślony bodaj od linijki autograf posterunkowej Gestapo, funkcjonującej oficjalnie jako Nowak.

Piękna historia. Uśmiechnął się i odłożył kartkę dokładnie tam, gdzie stała przed chwilą. Mimo że był wielkim, postawnym mężczyzną, ogarnęło go wzruszenie. Aby je odsunąć, podniósł klapę laptopa. Zamierzał natychmiast przystąpić do sporządzania zaległego raportu.

W momencie gdy rozciągał ramiona, rozległo się pukanie i do gabinetu wparował aspirant Brzeski. Był wysokim, przystojnym blondynem ubranym w doskonale dopasowany i wyprasowany mundur.

– Dzieńdoberek, komisarzu! – Uśmiechnął się szeroko i ruszył w stronę biurka. – Czy...

Deryło machnął ręką, jakby odganiał muchę. Mimo całej sympatii czy wręcz przyjaźni łączącej go z aspirantem nie miał ochoty na sceny.

– Nie można mi w niczym pomóc, a za wszelkie gratulacje serdecznie z góry dziękuję – bąknął, po czym odwrócił się do ekranu. – Niech to będzie normalny dzień. Jakby to całe gówno nigdy się nie wydarzyło.

– Jasne!

Niezrażony słowami komisarza Brzeski mimo wszystko podszedł do niego i przyjacielsko klepnął go w ramię.

– I tak wielkie brawa, komisarzu!

– Czy mam się powtarzać?

Aspirant uśmiechnął się jeszcze szerzej i zawrócił do drzwi.

– Jak pan chce. Będziemy mieć dość czasu, aby się sobą nacieszyć.

Wychodząc, niemal wpadł na Haler. Puścił do niej oko, po czym wzruszył ramionami.

– Eryk jest w świetnej formie – rzucił na tyle głośno, by komisarz go usłyszał. Następnie chyłkiem wymknął się na korytarz.

– Jeśli i ty przyszaś...

– Daruj sobie, tatuśku – Haler weszła Deryło w słowo. – Wiem, że masz ochotę pochlipywać ze wzruszenia, ale mam coś, co cię zainteresuje.

Deryło westchnął i oderwał wzrok od laptopa. W tym momencie Tamara rzuciła na biurko złożoną na pół gazetę.

– Igor Lubow popełnił samobójstwo – oznajmiła niby od niechcienia.

Wiedziała, że przed laty Deryło brał udział w śledztwie, które doprowadziło do ujęcia tego człowieka. Zabójca co prawda został zatrzymany przez śledczych na terenie Niemiec, lecz to zespół komisarza walnie się do tego przyczynił.

– Samobójstwo? On?

Haler skinęła głową. Nie zdążyła się jeszcze szczegółowo zapoznać ze sprawą, o której słyszała jedynie co nieco na zajęciach w Wyższej Szkole Policji. Wtedy zapewne po raz pierwszy zetknęła się z komisarzem – a wówczas aspirantem – Deryłą.

– Wiedziałam, że to cię zainteresuje.

– Lubow i samobójstwo... W sumie może właśnie tak to musiało się skończyć.

– Naprawdę był tak popieprzony, jak o nim mówiono?

Deryło odchylił się w fotelu i pokręcił głową.

– Nie, na pewno nie. – Ciężko sapnął. – Tego, co robił, po prostu nie dałoby się opisać.

Deryło sięgnął po gazetę i zerknął na zakreślony czerwonym markerem artykuł. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem linijki, po czym łypnął na fotografię przedstawiającą elegancką, wręcz arystokratyczną twarz Lubowa. Mężczyzna nieco przypominał kogoś z książąt angielskich, choć nie był pewny kogo. Doskonale pamiętał rysy zbrodniarza, jego maniery oraz dumną postawę. Pamiętał też jego napady szaleństwa, mimo których biegli uznali go za całkowicie poczytalnego zarówno w trakcie trwania procesu, jak i popełniania makabrycznych morderstw. Nie bez kozery nazywano go Bestią.

Autor notki prasowej rozwodził się nad okrucieństwem jego czynów. Jednocześnie przypominał, że Igor Lubow był poczytnym twórcą kryminałów, który mordował dokładnie w taki sposób, w jaki ginęli bohaterowie jego powieści. Właściwie robił wszystko, by świat jego fantazji przeplatał się z tym rzeczywistym. Śledczy powiązali jego książki z ofiarami zabójstw dopiero przy szóstej ofierze – powieszanej na odwróconym krzyżu i wypatroszonej. Początkowo ich dedukcja skupiła się jednak na rzekomym szalonym naśladowcy bohatera literackiego.

Lubow skutecznie wodził ich za nos. Udawało mu się zachować alibi i fabrykować dowody przeciwko innym. Robił to tak sprawnie, że przez moment zaczęto się nawet obawiać o jego życie. I właśnie ta nadgorliwość przyczyniła się do jego upadku. Wbrew procedurom, mimo braku jego zgody, został objęty ochroną. Formalnie działania operacyjne nosiły całkowicie inne miano, lecz sprowadzały się do roztoczenia nad Lubowem pewnej pieczy. Pisarz szybko zorientował się, co się święci, lecz nadal prowadził swoją grę. Wtedy między innymi Deryło zwrócił uwagę na jego pewne nietypowe zachowania...

– To samobójstwo miało miejsce ponad tydzień temu. – Zabębnił nagle palcami w gazetę. – A zdaje się, że ten brukowiec ukazuje się codziennie.

– Tak.

– Wobec tego zapewne jest jakieś drugie dno?

Haler uśmiechnęła się znacząco.

– Akurat nie w tym przypadku. Przynajmniej nie w zamierzeniach dziennikarzy.

– To znaczy?

– Informację o śmierci Lubowa przekazano mediom wczoraj wieczorem. Wcześniej nikt nie puścił pary z gęby i nie pojawiła się nawet żadna plotka.

Deryło zmarszczył czoło. Pochylił się nad biurkiem i oparł dłońmi o blat. Haler w końcu usiadła na krześle naprzeciw niego. Zaczesała włosy za uszy, po czym przygryzła usta. Bawiła ją ciekawość wręcz ucieleśniająca się na twarzy komisarza.

– Służby więzienne? – Deryło mruknął. – Chodzi o to, że chciały to ukryć?

– Lepiej unikać chryi, prawda?

– I tylko dlatego z tym przyszedł? Przecież to jasne, że nikt nie chce srać w swoje gniazdo. A ja, nawet gdybym chciał, pewnie nie wyrobię się już na pogrzeb tego sukinsyna, więc serdecznie dziękuję za spóźnioną informację.

Haler założyła dłoń na dłoń i przekrzywiła głowę.

– Jednego psychopatę mniej... – szepnęła teatralnie, nie zważając na cynizm komisarza.

– Tych nigdy nam nie zabraknie, więc nie nastrajaj się zbyt optymistycznie. Coś jeszcze?

- Owszem. Jest coś bardzo ciekawego.
- Deryło przeciągnął dłońmi po twarzy i cicho parsknął.
- Skąd ja to wiedziałem...

Boksery były jego ukochaną rasą. Giętkie, sprężyste, a przy tym dziecięco optymistyczne. Okrągłymi, nieco wytrzeszczonymi oczyma spoglądały na zdecydowanie zbyt nudny ich zdaniem świat.

Taki był jego Brytan. Ważył trzydzieści jeden kilo, miał mocne podcięcie i wyskok, jakby zamiast tylnych łap wszczepiono mu sprężyny. Przy tym przez długie fagle ślinił się tak, że zazwyczaj sznurówki śliny owijały jego kufę dokoła. A gdy zgrzany po intensywnym spacerze napił się wody i otrzepał... To właśnie był urok tej rasy.

Co najważniejsze, Robert Olbert miał do Brytana całkowite zaufanie. Przy jego czteromiesięcznej córce pies stawał się wcieleniem opanowania i opiekuńczości. Godzinami warował przy jej łóżeczku lub stał, opierając pysk o drewnianą poręcz. Dziewczynka mogła przekładać przez nią rączki, a wtedy bokser trącał je nosem, jakby dbając o to, by leżała bezpiecznie na swoim legowisku. Tak jak niejednokrotnie uczono i jego. Być może właśnie w nadmiernym ślinieniu się dostrzegał, że łączy ich naprawdę wiele.

Olbert uwielbiał te oba stworzenia. Żył tylko dla nich, przewyciężając powracającą notorycznie chęć dołączenia do nieżyjącej żony. Kobieta zmarła dwa tygodnie po porodzie na skutek zakażenia i związanych z nim powikłań, pozostawiając go samego z noworodkiem. Szok był potężny. Przez pierwsze dni Olbert w ogóle nie potrafił zebrać się w sobie. Na przemian płakał i spał. Dziecko przebywało w szpitalu, aż w końcu chęć opieki zadeklarowała siostra jego żony – Daria. Sama była rozwódką, której dzięki dobremu adwokatowi przypadł wielki bliźniak na lubelskim Lipniaku. Po namowach Robert zgodził się zamieszkać w jego jednej części.

Daria była anestezjologiem i nieważne, jak zmęczona wracała z dyżurów, zajmowała się Oliwką. Nie doczekała się własnych dzieci, a jako rozwiedziona czterdziestojednolatka miała już wyjątkowo ograniczone perspektywy. Zapewne dlatego pokochała dziecko siostry jak swoje.

Olbert zdawał sobie sprawę z pewnej nienaturalności powstałej między ich trójką relacji, lecz starał się o tym nie myśleć. Tłumił w sobie jakiegokolwiek załączki uczucia do Darii. Choć od zawsze mu się podobała, stanowiła starszą i być może przez to mniej atrakcyjną wersję jego żony.

Teraz przypatrywał się, jak kobieta układa Oliwkę do snu. Obserwował zręczne ruchy jej dłoni, które już od pierwszego zetknięcia z niemowlakiem zdawały się wręcz stworzone do macierzyństwa.

„Świat jest okrutny” – pomyślał i energicznie wstał z krzesła. – „Bóg jest okrutny”.

Przeszedł obok Brytana, który jak zwykle przypatrywał się operacjom wykonywanym nad dzieckiem, i poklepał go po łbie. Bokser obrzucił swojego pana zdziwionym spojrzeniem.

– Boga nie ma – Olbert szepnął, na próżno doszukując się swojego odbicia w okrągłych, pełnych oddania oczach.

– Co takiego?

Deryło fuknął z niedowierzaniem. Sięgnął po leżącą na stosiku kartkę i odruchowo zaczął ją składać, nadając jej formę żurawia.

– Twierdzisz, że do redakcji „Kuriera” trafił list pożegnalny Lubowa?

– Albo napisany w jego imieniu – sprostowała Haler.

– Opublikowano go?

– Nie. Dziennikarze o dziwo od razu przesłali go do nas, a technicy właśnie zajmują się analizą. Wczoraj dotarły do mnie pierwsze wyniki.

– I?

Tamara lekko podniosła się z krzesła i sięgnęła do kieszeni. Wyjęła z niej czarno-biały wydruk, po czym podała go Deryle.

– Nie był szczególnie wylewny.

– Ponoć zawsze cechował go zwięzły styl, choć, prawdę mówiąc, jego książki czytałam dawno temu.

– Jego styl...

Deryło zamilkł kolejny raz, czytając krótki list.

Jestem niewinny, lecz proszę o rozgrzeszenie. To była tylko poza. Czas się przyznać, że z mojej ręki nie zginął żaden człowiek. Śmierć wciąż jest na wolności.

– Wspomniałaś o jakichś analizach – bąknął, ponownie spoglądając na Haler. – Coś ustalono? Badano styl, język, treść? Sprawdzono papier? Zdjęto z niego od...

– Tak, tak, tatuśku. Świat naprawdę kręci się bez twojej pomocy. Po odciskach palców oczywiście nie ma nawet śladu, a list napisano na maszynie – takiej samej, jakiej używał Lubow. Nie jesteśmy jednak w stanie stwierdzić, czy tej samej, bo miał ich co najmniej kilka. Poza tym po jego aresztowaniu część zaginęła.

– Gwizdnięto je.

Deryło pamiętał, że po tym, jak gruchnęła medialna informacja o zatrzymaniu Igora Lubowa, doszło do włamania do jego domu. Skradziono wiele pamiątek oraz rzeczy osobistych. Sprawców nigdy nie znaleziono, choć obstawiano, że byli to albo najzagorzalsi fani, albo cwaniacy liczący na wzrost wartości fantów w związku z kabałą, w jaką został uwikłany znany pisarz.

– Grafolodzy? – dopytał, mnąc złożonego przed chwilą żurawia.

– Uznali, że podobieństwo jest znaczne, ale nie mogą ocenić nic na sto procent. Lubow miał bardzo zmienny styl. Zmienność wręcz była jego cechą charakterystyczną znamionującą indywidualn...

– Dość, dość. Nie mam głowy do wywodów uniwersyteckich...

Haler zamilkła. Komisarz jak zwykle przerywał jej w momencie, gdy naprawdę zaczynała wczuwać się w temat. Zdawała sobie jednak sprawę, że czasem jej entuzjazm bywa przesadny.

– Wszystko sprowadza się do tego, że aby nadać ten list, Lubow musiałby wyjść z więzienia, napisać go i pójść na pocztę. – Deryło westchnął. – Potem potulnie wrócić do pudła i się zabić. A skoro

nie wierzymy w zjawy i ich przenikanie przez ściany, to kompletnie niewykonalne. Totalna bzdura.
Choć silił się na kategoryczność, zabrzmiał wyjątkowo bez przekonania.

Po powrocie do domu Deryło uruchomił zakupioną przed paroma dniami bieżnię. Mimo że nie cierpiał w swoim otoczeniu nowoczesnych sprzętów, lekarze zalecili mu regularne ćwiczenia. Rozciąganie było niewystarczające. Do biegania w terenie stracił serce już parę lat temu. Poza tym coraz mocniej dusił go smród spalin i zastanawiał się nawet, czy przypadkiem nie ma początków astmy. Albo czegoś gorszego. Zdawał sobie sprawę, że ożył w nim gen hipochondryka.

Bieżnia wydawała się doskonałym rozwiązaniem. Mógł położyć przed sobą książkę lub włączyć gramofon i zatracić się w rozmyślnościach. Bez zastanawiania się, czy trasa jest prosta, i bez robienia wymuszonych przystanków na światłach. Bez wdychania spalin i omijania przechodniów. Mógłby co prawda podjechać do lasu lub na stadion, ale to wymagało zbyt wiele czasu. I samozaparcia.

Poza tym był typem domatora, choć w ostatnim czasie stracił radość spędzania czasu we własnych czterech ścianach. Przed ponad rokiem na jego oczach w samochód, w którym znajdowały się jego żona oraz córka, uderzył wielotonowy tir. Oba pojazdy zostały zakleszczone w wyniku siły uderzenia. Deryło obserwował wszystko ze szpitalnej sali, w której leżał jego brat. Dwie minuty wcześniej dał Ewie kluczyki i poprosił ją, by wróciła razem z Wiktoria do domu. Chciał побыć z Romanem jeszcze chwilę sam na sam. Zamierzał wrócić taksówką. Jego brat od ćwierć wieku był w stanie wegetatywnym i ich rodzice chcieli podjąć decyzję o odłączeniu go od aparatury. Mimo to niektórzy lekarze utrzymywali, że istnieje szansa, że jakiś fragment mózgu Romana jeszcze pracuje. Ponoć w podobnych sytuacjach zdarzały się wybudzenia po niesamowicie długich okresach...

Zwiększył prędkość bieżni. Jego stopy dudniły o przewijającą się taśmę. Zaczął dyszeć, a pot przylepił czarny T-shirt do jego pleców. Już dawno powinien zrzucić parę kilogramów. Mimo gigantycznej postury zaniedbał się i mięśnie zaczęły powlekać się tłuszczem.

Nie zmieniło się to nawet po kilkutygodniowym pobycie w szpitalu oraz w klinice wybudzeń. Uwięziony w chłodni przez sadystycznego psychopatę okrył niemal całym swoim ubraniem ranną kobietę. Choć ją udało się uratować, sam doznał głębokiego wychłodzenia organizmu. Zapadł w śpiączkę, z której obudził się dopiero po dziesięciu dniach. Powrót do formy zajął mu kolejny miesiąc, lecz wydarzenia te zmieniły spojrzenie komisarza na wiele spraw.

Przede wszystkim po raz pierwszy od lat docenił swoją pracę. Uzmysłowił sobie, jak wiele dla niego znaczy i że nawet bez głupiej, papierkowej roboty czegoś mu brakuje. Oddał jej całe serce. Mimo że przed ostatnimi zajściami szykował się do emerytury, teraz wiedział, że będzie pracował jak najdłużej. W domu obcował jedynie ze wspomnieniami szczęśliwych chwil. Chwil, które już nigdy nie mogły powrócić. Ta okrutna świadomość przybijała go i zmusiła do pójścia na komendę nawet w trakcie zwolnienia. To wtedy Haler zrugła go za uzalanie się nad sobą. Był jej za to szczerze wdzięczny.

Nastawił maksymalną prędkość bieżni i zacisnął zęby. Musiał dać z siebie wszystko. Mimo że serce tłukło mu się jak oszalałe, a pot lał strumieniami po karku i twarzy, tylko w ten sposób mógł zagłuszyć potok myśli... Przynajmniej próbował.

Na emeryturze czekała go jedynie śmierć. Jak to kiedyś określił, nie miał żadnego planu na życie bez planów. Musiał jeszcze skopać kilka tyłków i palnąć parę głupot. Potem mógłby odejść ze świata w całkowitej ciszy i bez pożegnania.

– Szlag! – zaklął, łapiąc się za udo.

Przebiegł je nagły skurcz, który zmusił go do wyłączenia bieżni. Zszedł z niej i kulejąc, powlókł się na fotel. Otarł pot z czoła, po czym zamknął oczy. Serce wciąż się tłukło, ale przynajmniej ból ustępował. Powoli wypuścił powietrze.

Wysłuchał się w wygrywany przez gramofon koncert smyczkowy Telemanna. Kiedyś odnajdował w nim przede wszystkim barokową radość, teraz niemal każdy takt zdawał się podszyty smutkiem.

– Śmierć wciąż jest na wolności – wyszeptał.

Nie wiedział, dlaczego przypomniał mu się fragment listu Lubowa. Starał się o nim nie myśleć, a poza tym zakwalifikował go jako nastawioną na wywołanie sensacji fałszywkę. Seryjni zabójcy wzbudzali wiele emocji i zapewne nie brakowało chętnych do podszycia się pod nich w tak niewinny sposób.

Mimo to miał złe przeczucie. Co prawda gnębiło go notorycznie, lecz teraz przybrało bardzo namacalną formę – Igora Lubowa. A może chodziło o coś zupełnie innego? Może była to jedynie nędzna spuścizna pozostawiona w jego psychice przez śpiączkę?

A może...

Może w tej chwili gdzieś działo się coś strasznego? Co do tego nie miał wątpliwości. Miał jednak nadzieję, że przynajmniej na tyle daleko, by się o tym nie dowiedział.

Była to złudna nadzieja.

Elena Wilska zamruwała. Otoczenie zaczęło nabierać ostrości i wracała jej świadomość. Była nieco otumaniona, lecz nie na tyle, by nie cierpieć. Prawa dłoń bolała ją, jakby została zmiażdżona. Ból promieniował aż do ramienia. Chciała poruszyć palcami i dopiero wtedy dotarło do niej, że ma zabandażowany kikut.

Zakręciło się jej w głowie, ale nie straciła przytomności. Ból oraz przerażenie spowodowały, że serce wyrzuciło zwiększoną ilość krwi. Rozprowadzona po ciele adrenalina sprawiła, że jej mięśnie napięły się, a koncentracja wyostrzyła.

Wtedy dostrzegła Jego.

Człowieka w czerwonym kombinezonie i upiornej masce clowna. Stał w półmroku przy wejściu do pomieszczenia, z pochyloną głową oraz rozwianą tęczową czupryną. Nagle rozprostował się i spojrzał prosto na nią. Choć nie widziała jego oczu, to jego spojrzenie ją zmroziło. Miała wrażenie, że przenika ją aż do kości. Lodowaty dreszcz spłynął po jej kręgosłupie i poczuła, że ze strachu się moczy.

– Mmm...

Chciała błagać o litość i obiecywać, że nikomu nie powie, co się z nią działo. Chciała wrócić do swojego półtorarocznego synka, który pewnie umierał z tęsknoty. Chciała wyjaśnić tę popieprzoną pomyłkę, bo przecież nigdy nikogo nie sprowokowała ani nie obraziła. Nie zasługiwała na tortury. Byli tacy, którzy mieli swoje na sumieniu, ale nie ona... Chciała, żeby ją wypuścił, żeby zdjął kajdany, w tym te jedne, które teraz blokował przede wszystkim bandaż, a poza tym tak bardzo ją bolało, że...

Chciała mówić dużo, bo wtedy clown być może by słuchał i nic jej nie robił, ale z jej gardła dobył się tylko bełkot. Postrzępiony knebel był wepchnięty głęboko w jej usta. Tak głęboko, że zdrętwiał jej podwinięty język oraz wypchane policzki. Bolały ją mięśnie szczęk i kark. Nikogo nie interesowały jej zachcianki.

Jej całe ciało było jednym wielkim cierpieniem. Nie kontrolowała nawet czynności fizjologicznych. Czuła wilgoć i smród, lecz ponownie nie potrafiła napiąć mięśni. Nie robiło jej to żadnej różnicy.

Clown przekrzywił głowę i powoli ruszył w jej stronę. Jego ruchy napawały ją przerażeniem. Podkuliła nogi, lecz nie mogła cofnąć się dalej. Kajdany wciąż były przytwierdzone do metalowego stelaża.

– Mmm...

– Przestań jęczeć. To już nie potrwa długo.

Clown zatrzymał się o krok od niej. W tym samym momencie zapalone wokół gromnice zamruwały i na moment zrobiło się niemal zupełnie ciemno, jakby zaraz miały zgasnąć. Po ułamku sekundy jednak zaświeciły normalnym blaskiem.

Wtedy Elena zobaczyła, że w jednej ręce clown trzyma skórzany pejcz, a w drugiej kartkę papieru. Mimowolnie skuliła się. Niemał bezgłośnie zapiszczała. Jej ciałem wstrząsnęły nerwowe dreszcze, a z oczu popłynęły łzy.

Clown uniósł kartkę i obrócił się w stronę światła.

– Stał tuż obok swojej ofiary i się uśmiechnął – odczytał szorstkim głosem. – Kobieta była zupełnie naga, a jej skórę przeszedł dreszcz. Niemał wszystkie pory rozszerzyły się, co u pewnych ludzi stanowiło reakcję na najgłębszy strach. Wydawało się, że gęsia skórka dosłownie zmieniała kolor jej skóry na jeszcze bledszy. To sprawiło mu radość. Chwilę potem rozpoczęła się rzeź.

Deryło obudził się cały zlany potem. Obrócił się na plecy i szeroko otworzył oczy. Dyszał. Czuł, że jest mu potwornie sucho w ustach, lecz nie miał siły wstawać.

Podciągnął się i oparł o wezglowie łóżka. Łóżka, które przez tyle lat dzielił z Ewą... Przez pewien czas po jej śmierci przeniósł się nawet do gabinetu, ale fotel był niewygodny i rano wstawał kompletnie połamany. Może to nie było tak złe w porównaniu z natłokiem wspomnień, który rozsadał mu czaszkę.

Nagle wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Stłumione szurnięcie lub trzask. Odgłos dobiegał z korytarza, na którym o tej porze nie powinno być nikogo. Mieszkał na ostatnim piętrze, a mieszkanie sąsiadów od kilku miesięcy stało puste. Para starszków przeprowadziła się do syna do Anglii. Ich lubelskie cztery kąty pozostały jako lokata kapitału i ewentualna przystań, gdyby jednak zdecydował się wrócić do ojczyzny. Oczywiście na to się nie zanosilo.

Komisarz wy tężył słuch. Być może w ostatnich tygodniach mieszkanie zostało sprzedane? Tyle że nie spotkał nowych lokatorów i nie słyszał żadnych odgłosów zza ściany. O żadnym remoncie nie było mowy.

Szurnięcie się powtórzyło. Wydawało się, że ktoś czymś dotyka jego drzwi wejściowych. Zerwał się z łóżka i cicho przekradł do przedpokoju. Po omacku poruszał się nadzwyczaj szybko. W końcu znał na wylot każdy milimetr tego mieszkania.

Gdy od drzwi dzieliły go ostatnie dwa kroki, przystanął. Wciągnął powietrze i starał się wyłowić najdrobniejsze odgłosy. W gabinecie tykały dwa zegary, ale poza tym w mieszkaniu panowała absolutna cisza. Przez kolejne sekundy szmer się nie powtórzył.

Deryło odprężył się i wyprostował. Uznał, że padł ofiarą omamów. Po tym, jak tkwił w śpiączce, wszystko zrzucał na jej karb. Złe samopoczucie, skurcze, a teraz nawet cholerne zwidy. Był wściekły, że jego ciało i umysł zaczynają zawodzić. Całe życie podporządkował żelaznej samodyscyplinie i uwielbiał się przyrównywać do maszyny. Wstawał skoro świt, zasypiał późno, a mimo to nie miał żadnych dolegliwości. Praktycznie nie chorował. Kroczył przez życie niczym cyborg, nieakceptujący tego, że coś może się w nim zepsuć. A jednak... Szwajcarski mechanizm jego organizmu zaczynał zawodzić.

Zawrócił w stronę sypialni i w tym momencie tępy szmer znów się powtórzył. Tuż za drzwiami. Tuż obok niego.

Jednym susem dopadł do drzwi i zerknął przez wizjer. W tym momencie ktoś zaczął się dobijać. Mimo światła na czujniki ruchu na korytarzu panowała kompletna ciemność.

– Co jest...

Jego słowa zagłuszył dźwięk naciskanego raz po raz dzwonka.

Clown zmiął kartkę i zrobił krok w stronę gromnicy. Przytknął do płomienia papier, a kiedy ten zajął się ogniem, cisnął nim w Elenę. Kartka odbiła się od jej włosów i spadła obok uda.

Kobieta rzuciła się na bok, lecz więzy pozwalały jedynie na odrobinę swobody. Panicznie potrząsnęła głową, nie wiedząc, czy włosy nie zaczęły się palić. Dławiła się łzami strachu i bólu. Dopiero po chwili odtrąciła kulkę, która oparzyła jej udo. Skórę momentalnie pokrył czerwony, piekący pęcherz.

Clown zarechotał. Na powrót zrobił krok w jej stronę i pochylił głowę.

– Wtedy rozpoczęła się rzeź – powtórzył odczytane przed chwilą zdanie.

Uniósł pejcza i z całą mocą się zamachnął. Ułamek sekundy później kilkanaście skórzanych rzemieni zakończonych stalowymi haczykami uderzyło w jej policzek i ramię. Niektóre haczyki wbiły się w skórę. Wyrwały ją, zdzierając całe płatki.

Elena przebrała nogami. Adrenalina dodała jej sił, ale nie miała szans uciec. W amoku szarpnęła zabandażowanym kikutom, w który wzięły się kajdany. Ból był tak potworny, że wszystko zawirowało, a przed oczami zamajaczyły jej kolorowe mroczki.

Clown ponownie się zamachnął. Kobieta skuliła się, usiłując osłonić ramieniem twarz, i tym razem haczyki wbiły się w jej kark, ramię oraz zaplątały we włosy. Potężne szarpnięcie wyrwało całe pukle oraz zdarło kawał skóry z łopatki.

Kolejne razy następowały błyskawicznie. Pomieszczenie wypełnił mdły odór krwi oraz potu. Elena dygotała, obejmując rękoma metalową konstrukcję, do której przykute były kajdany. Dwa haki wbiły się tuż obok siebie w jej pierś. Oderwały skórę oraz wyrwały kawał tkanki tłuszczowej. Brodawka sutkowa zwisała na pojedynczym strzępie. W tym momencie kobieta zaczęła tracić przytomność. Ból ją sparaliżował. Przestała walczyć i ogarnął ją całkowity bezwład. To najwyraźniej rozjuszyło clowna.

Rzemienie tłukły jej skórę, pozostawiając głębokie ślady. Haczyki wrywały mięso, tłuszcz oraz rozpruwały żyły. Fragmenty tkanki walały się wokół na podłodze. Przy kolejnym razie pejcza wbił się w jej żebra. Clown sapnął, usiłując go wyrwać, lecz haczyki zahaczyły o kości. Wtedy oprawca zaparł się butem o tułów kobiety i pociągnął. Rozległo się głucho chrupnięcie. Żebro wyłamało się, przebijając skórę. Wystawało na zewnątrz z udręczonego, zamienionego w krwawą miazgę ciała.

Jednak to nie był koniec. Elena wciąż nie straciła przytomności i choć nie walczyła o życie, nie potrafiła umrzeć. Oddychała. Płytko i rzężąc. Udało się jej niemal wypluć knebel, ale nic to już nie mogło zmienić. Nie miała siły krzyczeć. Nie miała nawet siły błagać o litość.

Clown zaczerpnął tchu i odkaslnął. Otarł z potu rączkę pejcza. Część haczyków była rozgięta, a rzemienie wręcz ociekały krwią oraz fragmentami skóry i innej tkanki. Otrząsnął je z obrzydzeniem. Na podłogę piasnął kawał zbrylonego tłuszczu oraz mięsa.

Chwilę później uderzył ponownie.

Bardzo celnie.

Elena już się nie zasłaniała i haczyki wbiły się w jej twarz. Poharatały jej gałkę oczną tak, że ta wypłynęła razem z żółtym płynem. Kolejny raz niemal ją oskalpował. Pejcza zerwał skórę z części pokrywy jej czaszki. Zakrwawione pukle włosów zakryły rozerwane już wcześniej ucho i przykleiły się do szyi.

Clown nagle przerwał i cisnął pejcz na ziemię. Dysząc, wyszarpnął z kieszeni kombinezonu kartkę.

– Potem nastąpiła cisza – odczytał, sapiąc. – Ciało kobiety przebiegł ostatni skurcz, jej mięśnie rozluźniły się, a gęsia skórka znikła. Najwidoczniej wraz ze śmiercią uleciał z niej wszelki strach.

DZIEŃ DRUGI

Oliwka spała snem sprawiedliwych. Robert jeszcze przed samym wyjściem zerknął do łóżeczka. Uśmiechnął się i powstrzymał przed pogładzeniem twarzy dziewczynki. Oczywiście w każdej chwili mogła się obudzić, ale nie miał wyjścia. Daria miała wrócić z dyżuru dopiero za dwie godziny, a pęcherz Brytana nie był ani z gumy, ani z tytanu.

Mężczyzna cicho zamknął drzwi i założył bokserowi obrozę. Przerzucił smycz przez ramię, po czym ruszył do bramy. W czasach młodości Brytan był nie do opanowania. Ganiał za samochodami i rowerzystami, potrafił przepaść na kilka minut, by w susach pojawić się z całkowicie niespodziewanej strony albo w kilkadziesiąt sekund wykopywał doły, w których cały zniknął. Wulkan energii. Dla jego bezpieczeństwa większość spacerów odbywała się wtedy na smyczy. Na szczęście czas przytemperował charakter psa i teraz trzymał się wiernie przy nodze swojego pana.

Szli wąską, asfaltową ulicą w dole wąwozu na lubelskim Lipniaku. Po obu stronach wznosiły się drzewa i krzaki. Zza ich liści przebijały mury domów osiadłych na szczycie jaru. Kilka wielkich rezydencji, kilka marnych budek i chwiejących się altan. O tak wczesnej porze okolica jeszcze nie obudziła się do życia. Poranny świat miał zapach wilgoci oraz gnijących na asfalcie liści.

Robert drgnął, czując wibrację telefonu. Po chwili rozległ się jazgotliwy dzwonek. Brytan zerknął na niego, wyraźnie obruszony faktem, że na pierwszym spacerze ktoś im śmie przeszkadzać.

– Tak, wiem, muszę zmienić tę melodię. – Mężczyzna pogłaskał psa po głowie i zerknął na wyświetlacz komórki. Dzwoniła Daria, więc natychmiast odebrał. – Jesteśmy na spacerze, wszystko w porządku?

– W pełnym porządku – odparła kobieta całkiem rezolutnym tonem. Najwidoczniej dyżur nie dał jej w kość. – Powinam być nieco wcześniej i po drodze zahaczę jeszcze o jeden sklep. Potrzebujesz czegoś?

– Kawy na wynos. I tosta francuskiego.

– Sorry, ale mogłabym się spóźnić z dowozem. A tak serio?

Robert zerknął na Brytana. Pies się zjeżył i sprężystym krokiem ruszył w stronę skarpy, która opadała do kanału odpływowego. Inwestycja sprzed paru lat ciągnęła się wzdłuż części ulicy, zapobiegając zamienianiu się przez nią po opadach w rwący strumień.

– Serio, nie potrzebuję niczego. Byłem wczoraj na zakupach, a obiad może zjem w knajpie.

– Sam?

– A czemu nie?

Daria nawet nie ukrywała tonu czujnej zazdrości. Kiedyś uważał go za troskę, lecz od miesięcy coraz wyraźniej dostrzegał prawdziwe znaczenie. Znaczenie, które łechtalo jego ego, ale jednocześnie budziło niesmak.

– Może w takim razie wyskoczmy gdzieś razem? – zaproponowała bez ogródek.

– Wiesz, że wychodzenie z Oliwką do knajpy to przepis na katastrofę.

– Zakneblujemy ją.

– Ze wszystkich stron?

Uśmiechnął się i rozejrzał za Brytanem. Pies był tuż nad kanałem. Wypreżył się i nerwowo machał ogonem. Warczał. Nagle pochylił się i chwycił coś do pyska.

– Brytan! Do nogi! – Bokser nie zareagował. – Zadzwoń za chwilę, dobrze?

Rozłączył się i ruszył w stronę psa. Ten gwałtownie odskoczył od kanału, po czym łypnął na właściciela. Wciąż naprężony podszedł do niego.

– Co ty masz? Fuj!

Robert zabrał psu niewielkie zawiniątko. Była to gruba szmata zawiązana w supeł. Chciał ją wyrzucić, lecz w tym momencie tobolek rozwiązał się i na ulicę wypadły pomarszczone, zakrwawione palce z połamanymi, paznokciami pomalowanymi czerwonym lakierem.

– Szlag...

Mężczyzna cofnął się jak oparzony. Mimowolnie zerknął do kanału. To, co tam zobaczył, sprawiło, że momentalnie wstrząsnęły nim torsje.

– Nie ma mowy.

Deryło zatrzymał się przy gigantycznym, objuczonym kuframi motocyklu Haler i pokręcił głową.

– Najpierw wyrywasz mnie z koszmaru, naparządzając jak oszałała dzwonkiem do drzwi, a teraz chcesz mi zaszerwować pobudkę na tym czymś? Mówię ci, nie ma mowy.

– Naparzałam dzwonkiem, bo nie odbierałeś telefonu.

– Musiałem go przez przypadek wyciszyć...

Nie to stanowiło problem. Komisarz był wściekły, że jego wewnętrzny budzik się zepsuł. Po raz pierwszy od lat zasnął w dzień roboczy. Nie obudził się sam z siebie przed szóstą, a dopiero godzinę później ze snu wyrwał go dźwięk dzwonka. Kiedy wreszcie otworzył drzwi, Haler odetchnęła z ulgą. Zapewne dopuszczała już myśl, że wyciągnął kopyta na dobre lub ponownie zapadł w śpiączkę. To, że zasłoniła wizjer, stanowiło po prostu głupi żart.

– Znalaziono ciało – oznajmiła jedynie, kryjąc zmieszanie.

Deryło zebrał się w kilka minut, a w tym czasie podkomisarz przygotowała kawę. Wypili ją niemal na wyścigi i wypadli z jego mieszkania.

– W kufrze mam kurtkę i kask...

– Tak, wiem. Ten, który z tyłu ma roześmianą trupią czaszkę. Dzięki, ale już raz wytykano mnie palcami, a dzieci w autach pokładały się ze śmiechu.

– Wolałbyś strój świętego Mikołaja? Czy Kubusia Puchatka?

Deryło ciężko westchnął. Klepnął się znacząco po brzuchu, ale nie podjął tematu. Nie było czasu na docinki. Wyciągnął kluczyki i wskazał na stojącego w głębi parkingu citroëna H. Kultowy dostawczak stanowił jego oczko w głowie. Przez ostatnie miesiące każdą wolną chwilę poświęcał na jego restaurowanie, a że tych wolnych chwil nie było wiele, to...

– Wybacz, ale jazda nim wydaje mi się mniej bezpieczna niż moim sprzętem. Nawet gdybym zamarzyła o slalomie międz...

Haler urwała i pobiegła za komisarzem. Ten najwyraźniej nie był w nastroju do przekomarzania się. Chwilę później uruchomił sfatygowany silnik, po czym wrzucił bieg. Coś kilkakrotnie zgrzytnęło, lecz w końcu auto, rżąc, wytoczyło się z parkingu.

– Miałem paskudny koszmar – Deryło odezwał się tonem usprawiedliwienia. Nie chciał od rana robić za etatowego gbura. – To chyba przez to cholerne mieszkanie...

– Mówisz, jakby było nawiedzone.

– Jest. Przez przeszłość i nawracające wspomnienia tego, co w nim przeżyłem przez ostatnie dwadzieścia lat.

Haler milcząco kiwnęła głową. Doskonale rozumiała komisarza. Sama przed rokiem rzuciła wszystko i nie chcąc babrać się w przeszłości, przeprowadziła się z Krakowa do Lublina. Trafiła do zespołu legendarnego Deryły, który sprawił, że szybko zadomowiła się w nowym mieście. Stał się nie tylko jej przełożonym, zawodowym partnerem, ale również mentorem i duchowym opiekunem. Jednak nawet jemu nie wyznała, że prawdziwym powodem jej przeprowadzki była chęć odcięcia się od ludzi, którzy byli jej bliscy. Zdiagnozowana u niej choroba stanowiła wyrok z nieznanym terminem wykonania. A przedtem skazywała osoby, które kochała, na obserwowanie, jak zmierza ku agonii. Nie

sądziła, że w nowym mieście znajdzie kogoś, kogo pokocha jak ojca...

Wszystko to sprawiło, że milczała. Nie było nic gorszego od pustych słów pocieszenia.

– Wiktoria pewnie w końcu mi wybaczy – ciągnął Deryło. – Ale przecież nie zamieszka z pierdołowatym ojcem, tylko znajdzie sobie faceta i... W lewo czy w prawo?

Haler zerknęła na nawigację.

– W lewo.

Deryło odetchnął. Wolał nie pakować się na obwodnicę, gdzie próba osiągnięcia ciroënem średniej prędkości przelotowej innych aut mogłaby zakończyć się katastrofą.

– Zresztą – podjął po chwili – może już go sobie znalazła. Może wróciła do Mediolanu? Ma aż zbyt wiele powodów, żeby się na mnie wściekać.

– Wściekać może i tak, ale przede wszystkim szalenie cię kocha.

– Może... A może już nie. W końcu nie jest małą dziewczynką, którą ślepo fascynuje każdy krok ojca. Nie szukam jej. Już nie.

– Nie musisz. Wie, gdzie jesteś.

– Powiedziałem pass. – Deryło wychylił się i łypnął na ekran telefonu Halera. Nawigacja wskazywała, że musi znów skręcić. – Po co mi to mieszkanie? Nawiedzają mnie w nim ciągle demony, a nie ma nic gorszego niż strachy dopadające cię we własnym domu.

Deryło rzadko zdarzały się podobne momenty zwierzeń. Zazwyczaj stanowił nieprzeniknioną skałę, która zachowywała sekrety i problemy tylko dla siebie. Nic dziwnego, że nie wypytywał o znalezione ciało. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Haler również jeszcze nic nie wie. Jadąc na miejsce zdarzenia, zawsze lepiej było rozmawiać na ogólne tematy, aby umysł pracował w normalnym trybie. Zwierzenia stanowiły dogodną płaszczyznę.

– To asocjacja. Zajmował się nią już Platon – Haler odezwała się doskonale znanym komisarzowi encyklopedycznym tonem. Wciąż był pod wrażeniem jej fotograficznej pamięci i wiedzy.

– Polega na kojarzeniu dwóch różnych zjawisk, odbieranych nawet innymi zmysłami, ale w taki sposób, że powstaje wspólna dla nich treść. Ta treść immanentnie wyp...

– Tamaro...

– Przepraszam. Chodzi o to, że patrząc na łóżko, widzisz w nim siebie i Ewę. Albo nawet czujesz jej zapach czy...

Deryło gwałtownie zahamował. Tuż za ostrym zakrętem niemal na środku drogi stał wielki pojazd techników.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił oschle i wyłączył silnik.

Pchnął drzwi. Nieomal wpadł na postawnego, potwornie bladego sierżanta. Policjant pokręcił głową.

– Co za pieprzony psychol to zrobił... Co za pieprzony psychol – powtarzał, jakby w ogóle nie dostrzegł obecności przełożonego.

Zwłoki zostały obfotografowane, a następnie wciągnięte na brzeg. Leżały na betonowym skraju kanału, w którym przed godziną wytropił je Brytan. Deryło i Haler zjawili się niedługo po technikach. Teren został wstępnie zabezpieczony, lecz nie ściągnięto jeszcze żadnych śladów.

– Musiano ją wrzucić do kanału właśnie w tym miejscu. – Krępy kryminalistyk w stroju ochronnym podał Haler oraz Deryle rękawiczki i maseczki. – Jest zbyt płytki, żeby mogła spłynąć wraz z nurtem.

– Nawet kilkadziesiąt metrów?

– Nawet. W trzydziestu centymetrach to niemożliwe. Poza tym dno już zdążyło się zamulić.

Deryło rozejrzał się.

– Co by nie mówić, to całkiem niezłe miejsce, żeby zatrzymać auto i wyrzucić zwłoki.

W okolicy nie było domów, rzadko uczęszczana ulica zakręcała pod ostrym kątem i biegła tuż przy kanale. W nocy zapewne nie było tu żywej duszy.

– Znamy czas zgonu? – Haler niecierpliwiła się, aby podejść do zwłok, lecz technik jeszcze nie pozwalał im przejść.

– Z pewnością nie leżała w wodzie dłużej niż kilka godzin. Ciało jest już jednak całkowicie stężałe. O szczegóły musicie wypytywać patologa.

– W pewnych okolicznościach rigor mortis występuje bezpośrednio po zgonie...

– Być może. Mnie proszę w to nie mieszać.

Technik najwyraźniej nie zamierzał wdawać się w dywagacje. Gdy tylko drugi mężczyzna w białym kombinezonie machnął do niego ręką, cofnął się, pozwalając Deryle i Haler przejść.

– To nie jest miły widok – ostrzegł.

– To nigdy nie jest miły widok. – Deryło ciężkim krokiem minął go i ruszył w stronę zwłok.

Jednak to, co zobaczył, sprawiło, że nawet jemu zacisnął się żołądek. Nagie ciało kobiety było już niemal suche, lecz woda sklejała jej włosy – a raczej to, co z nich zostało. Kilka pukli wisiało z częściowo zdartym skalpem, zasłaniając jej ucho. Górna warga była rozerwana na pół. Jeden oczodół świecił pustką, drugi wypełniała obrzęknięta, poharatana powieka, jakby przykrywała piłkę pingpongową. Na jej twarzy z trudem można by było szukać centymetra kwadratowego, na którym nie znajdowałyby się przynajmniej krótkie szarpane rany. Kilkucentymetrowy płat skóry z jej policzka został wyrwany lub wykrojony. Podobnie okaleczone fragmenty znajdowały się na jej karku, ramieniu oraz boku.

– Co za jatka...

Deryło omiółł wzrokiem jej dosłownie rozerwaną pierś. Sutek zwiisał na krótkim strzępie skóry, a żółta tkanka tłuszczowa była pokryta krwistymi przebarwieniami i znajdowała się całkowicie na wierzchu. Również w niej widniały poszarpane wyrwy, jakby ktoś rozorał je długimi pazurami.

Nieco niżej sterczało na sztorc złamane żebro. Przebiło skórę i zebrał się na nim brudny osad z kanału. To miejsce od razu przykuło uwagę Haler.

Podkomisarz sięgnęła po miętowego dropsa i wsunęła go do ust. Nałożyła rękawiczki, po czym przykucnęła przy zwłokach. Martwa kobieta mogła mieć trzydzieści, co najwyżej trzydzieści pięć lat, choć jej obrażenia utrudniały jednoznaczną ocenę.

– Rozległe wielonarządowe uszkodzenia... – wyszeptała zamyślona.

Poruszyła się i spojrzała na zwłoki pod nieco innym kątem. Ich ułożenie nie mogło mieć teraz specjalnego przesłania, w końcu wydobyto je z kanału, ale zawsze zależało jej na pierwszym wrażeniu. Ukryty w jej umyśle aparat wykonywał właśnie serię zdjęć.

Pochyliła się i niemal dotykając nosem ciała, głęboko nabrała powietrza.

– Zapach mułu i wilgoci.

– Woda niemal wypłukała krew, więc ta nie mogła na dobre zakrzepnąć. – Deryło z zaciekawieniem obserwował jej wygibasy. – Patrząc na stężenie, zgodnie z tabelami podręczników, zmarła ponad cztery godziny temu.

– Teoretycznie tak, ale...

Deryło nie pozwolił jej dokończyć.

– Energia chemiczna składowana w ATP czasem może uwolnić się znacznie wcześniej. Widziałem dość trupów. Nie ucz ojca robić dzieci.

– Przepraszam. Tyle że... – Haler podniosła się i chmurnie spojrzała na komisarza. – Wygląda, jakby zatłuczono ją na śmierć jakimś biczem lub pejczem. Właśnie tak, jak... – przerwała i rozgryzła dropsa. Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Przecież to niemożliwe!

Deryło uśmiechnął się ponuro.

– Jak widać, niemożliwe stało się możliwe.

Doskonale wiedział, co Tamara miała na myśli.

Gdy już wygodnie rozsiedliście się w swoich fotelach, gdy wiecie, że nikt i nic poza wami samymi wam nie przeszkodzi, pojawia się pierwszy problem. Nie, nie, nie chodzi o uruchomienie edytora tekstu. Mam nadzieję, że tyle potraficie, a jeśli nie – idźcie na kurs obsługi komputera, a nie pisanie.

Pierwszym problemem jest pierwsze słowo. Cliche! A potem ten problem jeszcze narasta, bo musicie stworzyć pierwsze zdanie. To nim otworzycie powieść. Pierwsze zdanie stanowi zaproszenie, jakie wyślecie czytelnikowi.

I nie myślcie, że będzie łatwo. Jeśli chcecie być dobrzy, naprawdę dobrzy, wszystkie kolejne zdania muszą być równie wyraziste jak to pierwsze. Jednak to jedno jedyne zdanie otwierające tekst będzie stanowić waszą wizytówkę.

Spójrzcie jednak na to z innej perspektywy. Pierwsze zdanie to magiczne drzwi do świata waszej wyobraźni. Zasiadacie, aby delektować się najbardziej pasjonującą i najbardziej szaloną robotą na świecie. Rozpoczynacie przygodę, która rozegra się na waszych warunkach i wedle tylko waszych reguł. Brak reguł również może być regułą, ale na mówienie o tym jeszcze przyjdzie czas...

Pierwsze zdanie to forsa, którą bierzecie a conto spełnienia wszelkich marzeń. To wasza przepustka z więzienia tej gównianej rzeczywistości, w której tkwimy na co dzień. Po pierwszym zdaniu następuje prawdziwa wolność. Dlatego musi być na tyle dobre, żebyście na tę wolność wypadli jak na szeroką autostradę, a nie szutrówkę, od jazdy po której szybko rozbolą was tyłki. I lepiej, żebyście nie jechali starym gratem. Po drodze powinno dołączyć do was spore towarzystwo, więc będzie całkiem wesoło – nawet jeżeli w pewnej chwili grono zacznie topnieć, a postaci znikać, jedna po drugiej. Jedna. Po. Drugiej. Nie martwcie się. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wy umrzecie na końcu.

No, jazda! Wiecie, czym macie się zająć.

Zacznijcie wreszcie tworzyć wasz własny świat. Przekonajcie mnie, żebym zwiedzał go razem z wami.

DZIEŃ DRUGI

– Nie mamy nic, kompletne zero, null do kwadratu. – Deryło pieklił się, mówiąc do położonego na kolanie telefonu z nastawionym trybem głośnomówiącym. Jego pocziwy citroën o systemie łączenia z komórką oczywiście nie słyszał. Zdaniem Haler pamiętał czasy aparatów na korbkę i telegrafu. A może nawet katastrofę Titanica.

– To nie jest mój problem. – Gawiński mlasnął.

Patomorfolog wciąż nie zabrał się do autopsji odnalezionych zwłok. Tłumaczył to natłokiem innych, równie pilnych spraw. Była czwarta nad ranem i Deryło postanowił zmobilizować go osobiście. Nie mógł spać, wciąż mając z tyłu głowy fakt, że poprzedniego dnia zasnął. Tymczasem doskonale wiedział, że lekarz pracuje niemal wyłącznie nocami.

– Będę u ciebie za kwadrans.

– Jesteś niewyobrażalnym wrzodem na dupie.

– Niektórzy śledczy powinni dostać order ze wstęgą przyozdobioną tym hasłem.

– A osoby, z którymi współpracują, dodatek za szkodliwe warunki pracy.

Deryło parsknął rozbawiony. Choć Gawiński był paręnaście lat od niego starszy i reprezentował typ przedwojennego dżentelmena, przez lata nawiązali nić wzajemnej sympatii.

– Zrobisz to dla mnie? Mam kilka podejrzeń, które chciałbym jak najszybciej potwierdzić. Bez nich nadal będę tkwił w miejscu.

– Wiesz, że mam grafik i...

– Wiem, i dlatego proszę cię podwójnie mocno. Mam błagać? Zjawić się w zakładzie i paść przed tobą na kolana?

Gawiński westchnął.

– A twoja partnerka? Tatiana?

– Tamara.

– Właśnie, Tamara. Jest z tobą?

Podkomisarz Haler od pierwszego spotkania wyraźnie przypadła patologowi do gustu. Przekomarzał się z nią i kokietował, jakby miał dwadzieścia, a nie siedemdziesiąt lat.

– Kazałem jej się wyspać. Z samego rana ma przesłuchać faceta, który odnalazł ciało. Trochę nim to wstrząsnęło, więc daliśmy mu czas na zebranie się do kupy.

– Ani ociupinkę się nie dziwię, że „trochę nim to wstrząsnęło”. – Gawiński wypuścił powietrze w słuchawkę. – Dobrze. Rzucam grafik w diabły i biorę się do tych zwłok. Nie zawracaj mi proszę tylko głowy dzwonekami. Znasz kod do pracowni, a ja będę na ciebie czekał.

– Dzięki.

Komisarz chciał dodać coś jeszcze, lecz lekarz już się rozłączył.

Deryło wszedł do zakładu medycyny sądowej dokładnie o czwartej dwadzieścia sześć rano. Dwie minuty później dotarł do właściwej pracowni. Zwrócił uwagę na duży, elektroniczny zegar zawieszony nad stołem sekcyjnym.

Gawiński nawet na niego nie spojrział. Stał pochylony nad metalowym stołem, na którym leżały zwłoki. Boczna rynienkę wypełniały płyny ustrojowe zmieszane z wodą. W pomieszczeniu zapach środków odkażających mieszał się ze swądem śmierci. Lekarz splukał rynienkę i sięgnął do emaliowanego pojemnika, w którym trzymał najważniejsze narzędzia. Miał zwyczaj pracować bez asysty technika według sobie tylko znanej metody. Oczywiście w przypadku ważącej pięćdziesiąt kilogramów kobiety było to wykonalne, a samo przetransportowanie męskiego ciała często wymagało zachodu dwóch osób.

Deryło podszedł do stołu. Włożył dłonie do kieszeni i po raz kolejny w ciągu kilkunastu godzin zerknął na zamordowaną. Jej ciało zostało umyte, a skóra z twarzy zdjęta. Gawiński wywinął ją na podbródek, oddzielając od tej naddartej na czerepie. Tamten fragment, wraz z puklami włosów, ściągnął na kark. Odsłonięta w ten sposób czaszka przypominała zakrwawione białko obranego częściowo jajka. Jego szczyt ścięto, by dobrać się do tego, co istotne – w tym wypadku nie żółtka, lecz mózgu.

Deryło patrzył na to wszystko już bez najmniejszych emocji.

– Zawsze się zastanawiam, czy mówiąc „dobrze cię widzieć”, nie popełniam grzechu – odezwał się wreszcie.

– Uwierzysz mi, jeśli powiem, że mam tak samo?

– Nie uwierzę, że się nawróciłeś i martwisz rachunkiem sumienia.

Gawiński wyprostował się i sięgnął po potężne nożyce do cięcia żeber. Jego spojrzenie na moment spotkało się ze wzrokiem Deryły. Był kompletnie łysy, nosił okrągłe okulary i miał pociągłą, małą twarz przypominającą pysk szczura. W momentach skupienia mrużył oczy i marszczył nos. Tak też stało się teraz.

– Powiedziałeś, że masz kilka podejrzeń – odezwał się, ponownie pochylając nad zwłokami. – To one cię tu zwabiły o tej porze? Podejrzenia?

– Podejrzenia to niestety sedno mojej roboty.

– Cieszę się, że w tym łańcuszku jestem jedynie elementem weryfikującym.

Deryło odchrząknął. Obrócił między palcami starożytnym srebrnym sestercem i się wyprężył.

– Dlatego chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił. I to nim rozetniesz jej klatkę piersiową.

– Co takiego?

– Obróć ją na brzuch. W terenie nie mogłem tego zrobić.

Gawiński ostrożnie odłożył nożyce i zerknął na komisarza.

– Najpierw mówisz mi, co mam robić, a teraz, w jaki sposób to robić? Autopsji nigdy nie zaczyna się od...

– Nie chodzi o autopsję. Chcę tylko coś zobaczyć.

– Wykonałem już pełną dokumentację fotograficzną ciała w stanie, w jakim mi je przywieziono.

Deryło pstryknął palcami.

– No tak.

– Tam. – Gawiński skinął głową na laptop stojący na biurku w rogu pomieszczenia. – Jest uruchomiony.

Komisarz jeszcze raz zerknął na poharatane zwłoki i ciężkim krokiem podszedł do biurka. Poruszył myszką, czekając, aż ekran się rozjaśni. Zabytkowy komputer cicho zarzęził.

– Podejrzewam, że zabójca może działać według określonego klucza. Mam nawet teorię, co to za klucz, ale...

– Wiesz, że nie chcę znać żadnych szczegółów.

– Zanim to gównem się uruchomi, już dwa razy byś mi ją obrócił.

Gawiński westchnął.

– Czego szukasz? Mów, może zwróciłem już na to uwagę.

Deryło odwrócił się od laptopa i podzielił się z lekarzem swoim przypuszczeniem. Chwilę później twarz Gawińskiego przebiegł tik zaskoczenia.

– Niech cię cholera. Skąd o tym wiedziałeś?!

Adam Lipert przetarł oczy. Po kilkunastu godzinach siedzenia przed laptopem piekły go, a mięśnie karku zdrętwiały. Dawno nie zaliczył tak długiego rzutu pisarskiego. W jego trakcie dołożył prawie sześćdziesiąt tysięcy znaków. Sześćdziesiąt tysięcy znaków! Gdyby codziennie działał z podobną zapalczywością, ukończyłby książkę w tydzień.

Podniósł się od biurka i przeciągnął. Sięgnął po kieliszek wina, lecz zostało w nim już tylko kilka kropli. Obok stała pusta karafka. Dobrze, że przezornie rozwodnił ulubiony riesling, gdyż w przeciwnym razie martwiłby się o rezultat pracy. Dawniej kilkakrotnie zdarzało mu się tworzyć na rauszu. Gdy trzeźwiał, okazywało się, że albo nie zapisał tekstu i wyłączył komputer, albo że jego bełkotu nie da się czytać. Co z tego, że ostatnią kropkę stawiał w euforycznym uniesieniu...

– Dość, dość, dość...

Przeciągnął dłońmi po twarzy i jeszcze raz zerknął na ekran. Literki mieniły mu się przed oczami. Musiał odpocząć. Ale, gdyby tak...

Nie.

Choć akcja zbliżała się do punktu kulminacyjnego, powinien nabrać do niej dystansu. Wstrzymać się i nieco zatęsknić za tekstem. Tak uczono na kursach. Wykładowcy często wspominali o ciągach pisarskich, które kończyły się katastrofą.

Zapisał tekst i wyłączył monitor. Nie chciało mu się spać. Był tak pobudzony, jakby brał bezpośredni udział w tych szalonych wydarzeniach. Poniekąd zresztą go brał. W pewnym momencie fikcja zlewała się z rzeczywistością i wypełniała cały jego świat.

Adam szybkim krokiem przeszedł dokoła stojącego pośrodku pokoju stołu. Zrobił kilka wymachów i rozciągnął mięśnie karku. Ostatnie sceny jeszcze kotłowały mu się w głowie, lecz powoli wychodził z fabuły. Zaburczało mu w brzuchu. Uświadomił sobie, że odkąd przed kilkunastoma godzinami zjadł kanapkę, poza winem nie miał niczego w ustach.

Skręcił w krótki, obity boazerią korytarz i zapalił światło. Upiorna biel LED-owych żarówek zakłuła go w oczy. Spuścił wzrok, po czym, patrząc na swoje bose stopy, przeszedł do kuchni. Otworzył lodówkę, lecz ta była pusta. Znalazł w niej jedynie zgniłego banana, margarynę oraz resztę konfitur. Nie miał już jednak pieczywa.

– Cholera...

Ostatnio zbyt mocno skupił się na realizacji marzeń, a zbyt słabo trzymał rzeczywistości. Mistrzowie romantycznej poezji przymierali głodem, ale on nie pozował na wieszczka. Po prostu chciał stworzyć dobrą powieść. Napisać te parędziesiąt tysięcy zdań, które chwycą za czytelnicze gardła i sprawią, że będzie mógł się z tego wyżywić.

– Idiotyizm...

Utrzymywał się z pracy dorywczej, a poza tym i tak miał zbyt czułe serce. Nie potrafił przejść obojętnie obok bezdomnego, a ostatnio dał niemal całą wypłatę staruszce kwestującej na schronisko dla zwierząt. Pan Kamiński dostał od niego dwunastoletnie whisky single barrel tylko dlatego, że pomógł mu uruchomić auto z rozładowanym akumulatorem. Do tego nigdy nie brał pieniędzy za zakupy, które przynajmniej raz na dwa tygodnie robił częściowo sparaliżowanej sąsiadce.

O, tak. Być może był romantycznym idiotą. A może – z perspektywy dzisiejszych czasów – po prostu dziwakiem.

Wyciągnął konfiturę i zjadł ją łyżeczką wprost ze słoika. Następnie nastawił czajnik, w którym błyskawicznie zabulgotała woda. Chciał zrobić kawę, ale się rozmyślił. To nie był dobry pomysł.

Zaczynało mu się kręcić w głowie, a powieki, mimo pobudzenia umysłu, kleiły się. Wiedział, że powinien się przespać. Jeśli miał być tak wydajny jak dotychczas, musiał się zdrzemnąć. Choćby chciał, nie był w stanie oszukać natury.

Potem przyjdzie czas na realizowanie marzeń.

„Cierpliwość to klucz do sukcesu” – powtarzał jeden z bestsellerowych autorów.

Może miał rację.

Tak jak przypuszczaliśmy. Z jej pleców zdarto prostokątny kawałek skóry. Dokładnie taki, jaki mógłby służyć za fragment okładki książki...

Deryło zdawał Tamarze telefoniczną relację przed drzwiami sali sekcyjnej. Minęła już szósta i uznał, że może do niej zadzwonić. Nie tylko jej nie obudził, ale też, jak się okazało, podkomisarz była już na komendzie. Czekala na rezultaty badań przeprowadzanych przez techników.

– Czyli wszystko się zgadza...

– Tak. Zabójstwo popełniono niemal dokładnie w taki sam sposób, jak w książce Lubowa.

– I w taki sposób, w jaki on nie zabił jeszcze dotąd w rzeczywistości.

– Niestety. Nie ma mowy o przypadku.

Haler bezgłośnie zaklęła. Już poprzedniego dnia razem z Deryłą pomyśleli o tym samym. Igor Lubow zamordował dziewięć osób, a w jego książkach było łącznie dziesięć ofiar. Działał według określonego schematu. Publikował pozycję, skrzętnie realizował działania zabójcy i dopiero później wydawał kolejną część. Śledczy zbyt późno dostrzegli tę korelację. Jednak udało im się ocalić przynajmniej jedno życie. Jak widać, do czasu.

– Czyli mamy już komplet ofiar?

– Nie wiem. – Deryło łypnął w stronę drzwi sali sekcyjnej, ale te pozostawały zamknięte. Gawiński wciąż przeprowadzał autopsję. – Zdaję się tylko na wspomnienia i analizy sprzed lat. Czytałem większość jego pozycji, ale nie wszystkie. Z kryminałami mam na bakier, a te podsuwano mi jako materiał badawczy.

Haler westchnęła.

– Chyba będę musiała wybrać się do biblioteki. Całkowicie przez przypadek przypomniałam sobie o tej scenie. Książki Lubowa czytałam z dziesięć lat temu...

– Brzmi, jakbyś wtedy ledwo wygrzebała się z pieluch.

– Głowę daję, że właśnie tak było. Swoją drogą, mamy coś więcej?

Deryło nerwowo przeszedł w tę i we w tę. Część zakładu medycyny, w której się znajdował, mieściła się pod ziemią i na korytarz wpadało tylko nieco światła przez świetliki umieszczone pod samym sufitem. Poza tym na dworze ledwie świtało. Gdyby nie kilka archaicznych jarzeniówek, pomieszczenie tonęłoby w mroku.

– Nic. Gawiński poprosił mnie, żebym nie patrzył mu na ręce. Starzeje się.

– Już ja znam to twoje patrzanie na ręce. A on zna je tysiakkroć lepiej, więc ani trochę mu się nie dziwię.

– Poza tym zacząłem głośno myśleć.

– Czyli opowiadać mu o sprawie?

– Zwał, jak zwał. Nie był z tego przesadnie zadowolony.

Powszechnie znana była niechęć patologa do poznawania szczegółów śledztw. Zawsze z najwyższą starannością wykonywał swoją robotę, lecz nie wnikał w nic więcej. Czasem o coś podpytał, ale wkrótce sam ucinął temat. Dawniej Deryło przypuszczał, że lekarz potrzebował się z kimś podzielić ponurymi ciekawostkami, a jako odludek nie miał z kim. Zdawało się, że to słuszne rozumowanie, bo od śmierci żony – swojego jedyne go powiernika – niemal całkowicie odciął się od niuansów śledztw.

– Eryku?

Głos Halera wyrwał go z zamyślenia.

– Jesteś tam?

– Mhm.

– A co, jeśli Lubow był rzeczywiście niewinny?

Nim Deryło zrozumiał sedno tego pytania, drzwi otworzyły się i w progu stanął patolog. Ponuro skinął do komisarza głową. Jego szczurza twarz skrzyła się od potu.

– Muszę kończyć. – Deryło pośpiesznie się rozłączył, po czym zwrócił się do patologa. – Mamy coś ciekawego?

Gawiński zawrócił na salę sekcyjną.

– To jakieś szaleństwo... – wycedził, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Macie pierwsze zdanie i pierwsze akapity, a na waszych czołach pojawiły się kropelki potu. Wasze oczy lśnią, a zamysłone twarze noszą ślad oblędu. Dobrze, to bardzo dobrze. Właśnie o to w tej zabawie chodzi. Macie ze sobą już komplet pasażerów i lepiej, abyście ich teraz nie pogubili. Nie liczcie na tych, którzy dołączają po trzecim rozdziale.

Dlatego gdy akcja się rozkręci i nabierze szaleńczego tempa, spowolnijcie ją. Przecież nie zależy wam na sprincie. Delektujcie się kolejnymi scenami. Weźcie oddech i spójrzcie na wszystko z dystansu.

Zatrzymajcie się.

Istotne jest samo kosztowanie emocji, a nie zaliczenie kolejnej książki. Spójrzcie na to oczami czytelnika i uświadomcie sobie, że prędzej wy sami – pisząc – dostaniecie zawału serca niż on w trakcie lektury. To smutne, ale prawdziwe. Czasy pensjonarek mdlejących przy opisie wzniosłych anonsów dawno minęły.

Pamiętajcie – nie jesteście strażą pożarną ani policją pędzącymi do wypadku. Wznosicie się ponad akcją i choć historia was niesie, nie możecie stracić nad nią całkowicie kontroli. Dlatego przed pisaniem nie pijcie i nie bierzcie narkotyków. Wielu artystów ćpało, lecz wy macie napisać kilka porządných scen. Nic więcej. Jeśli chcecie, zabawcie się nieco później, niech to będzie wasza odroczone gratyfikacja. Znam takich, którzy tylko w ten sposób potrafią się zmobilizować. Każdego dnia mówią sobie – od dziś jestem abstynentem, aż do momentu, gdy nie napiszę dziesięciu stron. Ale ostrzegam was, to zła droga. Niektórzy z nich każdego dnia zwiększali czcionkę i dziś byłiby w stanie napisać co najwyżej swój autograf, którego nikt już nie chce.

Zatraćcie się w stworzonym przez was świecie, ale wiedźcie, kiedy powiedzieć stop. Pisząc dwie doby bez przerwy, w pewnym momencie ockniecie się i zobaczycie przed sobą betonową ścianę. Nie zdążycie wyhamować. Mówię o tym, bo wiem, jak bolesne to uderzenia. Zaliczyłem je parę razy.

Ach, tak. Ciągle ślęczycie nad pierwszym zdaniem? Owszem, jest ono ważne. Jednak nie bierzcie sobie go tak mocno do serca. Zmienicie je jeszcze dziesiątki razy. Musicie ruszyć dalej.

No, śmiało.

– Najpierw ty.

Deryło kurtuazyjnie odsunął krzesło, wskazując Haler, by usiadła. Jego zachowanie sprawiło, że podkomisarz szeroko otworzyła oczy i zaczęła się niepokoić wynikami autopsji jeszcze mocniej niż dotychczas.

– Źle? – zapytała oględnie.

– Najpierw ty.

Deryło swym ciężkim, marynarskim krokiem obszedł biurko, ale nie usiadł. Oparł się oburącz o blat, po czym zerknął na żurawia origami. Zdawało mu się, że ptak przekrzywia łebek i łypie na niego z pogardą.

– No dobrze. – Haler przestała analizować zachowanie przełożonego i rozluźniła się. Położyła ręce na kolanach. – Facet, który znalazł zwłoki, jest nadal całkowicie roztrzęsiony i więcej gada o swojej córce oraz psie Brytanie, niż odpowiada na pytania.

– Nikogo nie zauważył? Po drodze nie minął żadnego auta albo innego pojazdu?

– Tak, tatuśku. Zadałam oba te pytania i na oba dostałam tę samą odpowiedź. O tej porze w tej okolicy nie ma żywego ducha.

– Żywego może i tak...

Deryło wreszcie usiadł na fotelu. Sięgnął po leżącą na wierzchu kartkę, lecz zaraz cofnął dłoń. Co by się stało, gdyby właśnie teraz zrobił tysięcznego żurawia? Jakie miałyby to znacznie? Szybko odgonił od siebie te myśli.

– Ten człowiek w niczym nam nie pomoże – zawyrokowała Haler.

– A poranny raport techników?

– Nadal nie mają kompletnie nic. No, może z wyjątkiem dość wątpliwych śladów traseologicznych oraz góry śmieci z kanału, którą nadal analizują. Moim zdaniem tracą przy tym tylko czas. Psy nie złapały żadnego tropu, więc ten, kto to zrobił, zapewne zatrzymał się nad samą skarpią, wywalił zwłoki i odjechał. Chyba że użył środka utrudniającego podjęcie tropu. Jest ich co najmniej kilka, do tego można je zrobić w domowych warunkach.

Deryło westchnął. Ponownie się podniósł i podszedł do szafki. Wyciągnął dwie filiżanki, po czym postawił je pod dyszle ekspresu do kawy. Podkomisarz, podobnie jak on, lubiła aromatyczne, podwójne espresso.

– Sądzę, że chwilę tam spędził – odezwał się, gdy maszyna zaczęła mielić ziarna. – Ciało było upozowane, a nie jedynie niedbale wrzucone do kanału. Sprawcy chodziło o konkretny efekt.

– Tego nie wiemy – broniła się Haler. Analiza psychologiczna była jej domeną, lecz w tym wypadku doświadczenie komisarza zwyciężało z najpokazniejszymi zasobami teorii.

– Wiemy. Lubow opisał nie tylko obrażenia ofiary, ale również miejsce odnalezienia zwłok.

– W jaki sposób?

– Ofiara spoczywająca na plecach, z rozłożonymi rękoma i głową skierowaną na północ. To wszystko się zgadza. Gdyby po prostu wrzucił ciało do kanału, leżałoby na boku albo w chaotycznej pozie. Poziom wody jest zbyt niski, żeby je unieść.

– Nawet jeśli, mógł to zrobić wyjątkowo szybko. Zapewne dlatego psy nie zwęszyły tropu, a to świadczy o przygotowaniu i opracowanym planie. Oceniałabym go jako sprawcę zorganizowanego,

który... Dziękuję. – Haler upiła łyk podanej przez komisarza kawy. – W każdym razie domyślam się, że Gawiński znalazł na plecach wycięty płat skóry?

Deryło skinął głową. Zawartość filiżanki pochłonął niemal jednym haustem.

– Dokładnie jak w książce.

– Jednak odkąd cię zobaczyłam, masz minę, jakbyś wypił kwas solny, więc jest coś jeszcze?

No, mów, do licha!

– Gawiński nie chciał mnie słuchać. Zarzekał się, że jest lekarzem oraz naukowcem i nie wierzy w morderców zabijających nadal po własnej śmierci.

Haler wzruszyła ramionami.

– Co do zasady, ja też nie. Zdawało mi się, że ty również, ale...

Deryło spiorunował ją wzrokiem.

– Nie kończ. Śpiączka nie rozbudziła we mnie wrażliwości na zjawiska paranormalne.

Podkomisarz machnęła dłonią, jakby podobna myśl w ogóle nie mogła jej przyjść do głowy.

– Wobec tego na co trafił Gawiński?

– Pod powiekami ofiary znalazł strzępki papieru z miniaturowym tekstem. Rozumiesz to przesłanie? Cholerny sukinsyn.

– Co to za afery z tym Lubowem?

Inspektor Knap wypuścił kłąb brzoskwiniowego dymu. Siedział za wielkim, zastawionym szpargałami biurkiem. W stojącym obok niego pudle piętrzył się stosik osobistych przedmiotów. Ramek ze zdjęciami, dyplomów oraz statuetek-nagród, które zgromadził przez lata służby.

Knap, starszy od Deryły prawie o dekadę, był najbardziej zaawansowanym wiekiem naczelnikiem wydziału w kraju. Jego przechodzenie na emeryturę stało się wręcz legendarne. Od wielu lat zdawało się, że kolejnego dnia ostatecznie powie „dość”, tymczasem niezłomnie trwał na stanowisku. Kiedy przed dwoma miesiącami spakował do kartonu prywatne szpargały, po raz kolejny poniosła się plotka o wakacie na komendzie. I jak zwykle znów nic się nie zmieniło.

– Właśnie miałem napisać raport... – zaczął pokrętnie Deryło.

– Rozmawialiśmy o nim – zapewniła Haler.

Przed paroma minutami zostali wezwani do inspektora na dywanik. Knap był wyjątkowo wyrozumiałym szefem, ale nie lubił dowiadywać się o istotnych aspektach śledztw od osób trzecich.

– Dotarła do mnie pogłoska, że zabójca naśladuje Lubowa, a od wczoraj nie mam w tej sprawie żadnej notatki od prowadzących śledztwo.

– Chciałem...

– Nie obchodzi mnie, co pan chciał, komisarzy. O ile dobrze pamiętam, Lubow zabił siedem czy osiem osób.

– Dziewięć.

– I teraz ktoś go naśladuje.

– Raczej wchodzi w jego skórę, a różnica jest całkiem spora.

Knap zerknął na Deryłę spode łba. Rzadko kiedy wybuchały pomiędzy nimi kłótnie, lecz jeżeli już do nich dochodziło, to przybierały one katastroficzne rozmiary. I groziły, że w geście honoru któryś z nich naprawdę odejdzie na emeryturę. A być może nawet obaj.

– To bardzo luźne skojarzenie – wtrąciła pośpiesznie Haler. – Nie ma sensu raportować o każdym domysle. Prawda? Ma pan, inspektorze, dość do roboty niż czytać o każdym naszym przypuszczeniu.

– Jak widać, nie tylko waszym.

Deryło przestąpił z nogi na nogę.

– Można zapytać, kto wpadł na ten pomysł?

– Ludzie czytają książki. – Knap po raz kolejny wypuścił kłąb dymu. – Wystarczyło powiązać kilka faktów, dorzucić plotki krążące o liście pożegnalnym Lubowa i to wszystko. Nie odkryliście Ameryki.

– Ale mamy już potwierdzenie – tryumfalnie oznajmił komisarz. Oczekał, aż Knap zaczerwienieje z ciekawości i natychmiast dodał: – Z pleców ofiary wycięto kawałek skóry, podobnie jak w fabule powieści...

– Mów dalej.

– Właściwie poza strzępkami papieru pod powiekami nie mamy nic ciekawego. Ta kobieta zmarła w wyni...

– Strzępki papieru pod powiekami? – Knap z irytacją parsknął. – Mamy kolejnego cholernego

dewianta, który zacznie mordować w tempie Kuby Rozpruwacza?

– Przekazaliśmy je do laboratorium. Być może uda się odczytać z nich tekst.

– A więc jest jeszcze tekst...

Haler odchrząknęła. Zrobiła krok, aby stanąć nieco przed Deryłą. Dzięki temu znalazła się pomiędzy nim i biurkiem inspektora. Uśmiechnęła się spokojnie.

– Autopsja została zakończona ledwie przed godziną. Nie mieliśmy kiedy o tym pana poinformować. Poza tym...

– Prasa nic nie wie?

Pytanie Knapa zmieszało jego podwładnych. Deryło łypnął na Halera i wzruszył ramionami.

– Na razie nie. Przynajmniej tak mi się zdaje, ale, jak widzę, sprawa jest bardziej popularna, niż sądziłem.

– Niech tak zostanie jak najdłużej. Zabierzcie się do roboty i raportujcie mi o wszystkim.

O wszystkim, zrozumiano?

Padły dwa przytaknięcia. Deryło wbił dłonie do kieszeni gotów do wyjścia, lecz Knap znacząco przysunął się do biurka.

– To naśladowca? – zapytał nieco przyjaźniejszym tonem. – Czy Lubow działał w zмовie z kimś, kto postanowił po latach kontynuować jego dzieło?

Tym razem Halera wyrwała się do odpowiedzi.

– Mamy do czynienia z bardzo charakterystyczną sprawą. Lubow opisywał morderstwa, a potem ich dokonywał. Na świecie było kilka takich przypadków, ewentualnie z odwrotną kolejnością działań. – Podkomisarz jak zwykle w chwili skupienia przymknęła oczy. – Psychologicznie autorzy często wchodzą w głęboką relację z odbiorcami, więc istnieje szansa, że mamy do czynienia nie tyle z naśladowcą, co z kimś chcącym kontynuować jego dzieło. Kimś, kto nadal chce tkwić w fabule książek i mimo śmierci autora domaga się kontynuacji. Istnieje nawet specjalnie ukuty termin psychologiczny...

– Starczy, starczy! – Knap odłożył elektronicznego papierosa i podniósł się znad biurka. – Możecie odejść.

– No i rzecz jasna istnieje opcja, że Lubow wstał z grobu – dodał na odchodne Deryło. – Ale to już tylko głupie domysły, prawda? A może powinienem napisać o nich opasły raport?

Po opuszczeniu gabinetu Knapa Deryło spędził godzinę, usiłując cokolwiek wyciągnąć od techników. Tak, jak przekazała mu Haler, na miejscu odnalezienia zwłok nie trafiono na żadne ślady, które można by jednoznacznie przypisać do sprawcy.

Odciski opon z pobocza należały do kilku różnych pojazdów, co nie powinno dziwić, gdyż zakręt był dość ostry i część kierowców po prostu wypadła z łuku. Z wyciągniętych z kanału śmieci można by skonstruować bombę biologiczną, lecz żadnego nie dało się powiązać z zabójstwem. Ponadto mimo trzech prób psy nie podjęły żadnego tropu.

– A strzępy papieru przekazane przez Gawińskiego?

– Dotarli do nas ledwie przed kwadransem. To laboratorium, a nie chińska fabryka.

Po rzuceniu tego bon mota kryminalistyk się rozłączył. Komisarz był wściekły. Zaprzyjaźniona z nim laborantka przebywała na zwolnieniu i nie widział żadnych szans popędzenia zespołu. Poza tym musiał przyznać, że i tak zazwyczaj działali wyjątkowo szybko. A w podobnych sprawach nie można było popełnić najdrobniejszego błędu.

Okazało się, że w okolicy kanału nie zainstalowano żadnych kamer. Najbliższy monitoring obejmował tereny wokół rezydencji ulokowanych na pobliskiej skarpie. Zgodnie z zapewnieniami właścicieli w ich polu nie znajdowała się ani ulica, ani choćby fragment kanału. Mimo to policjanci zabrali do analizy dyski kilku z nich.

Przez cały dzień nie zgłosił się też żaden świadek ani rodzina zamordowanej kobiety. Choć zaczęto już porównania z bazą danych, na rezultaty należało jeszcze poczekać.

Haler wymknęła się z komendy tuż przed piętnastą. Deryło pozostał w gabinecie, swoim zwyczajem czekając na przełom, który sam z siebie nigdy nie nadchodził. Wszystko wskazywało, że technicy również przedstawią jakiegokolwiek konkrety dopiero następnego dnia. O ile w ogóle te się pojawiają.

Do osiemnastej wypił kilka kaw i pogrążony w myślach złożył całą kolekcję żurawi. Przed dziewiętnastą wszystkie z nich trafiły do kosza.

W głowie Deryły kłębiły się różne scenariusze. Wydawało mu się, że być może dochodzi do istotnych wniosków, lecz zaraz traktował je jako banały.

A co, jeśli Lubow był niewinny?

Pytanie zadane przez Haler wybrzmiało ponownie i nie dawało mu spokoju. Taka konstrukcja wydawała się absurdalna, ale jednak...

Może po jego śmierci prawdziwy zabójca postanowił znów działać. Może informacja o niej rozbudziła jego mordercze instynkty, uspione przez świadomość, że wszystkie poprzednie zbrodnie uszły mu na sucho i odpowiada za nie kto inny?

Tuż po dwudziestej Deryło dwukrotnie próbował dodzwonić się do Tamary, ale ta nie odebrała. Wyszedł z komisariatu, gdy było już zupełnie ciemno.

A co, jeśli Lubow był niewinny? To pytanie wciąż nie dawało mu spokoju. Powracało raz po raz.

Adam Lipert przygryzł końcówkę długopisu. Robił to odruchowo w chwilach najgłębszego skupienia. Przeczytał napisane przez poprzednią godzinę linijki i sapnął. Ostatnie zdania nie miały sensu. Po prostu tragedia.

Miał tę umiejętność, że wciąż potrafił spojrzeć na swoją pisaninę z dystansem. Potrafił wczuć się w rolę postronnego czytelnika i ocenić się całkowicie na chłodno. Błędy stylistyczne łatwo było poprawić, ale główny problem dotyczył rytmu tekstu. Chciał, żeby płynęło się przez niego jak przez najprzyjemniejszą poezję.

Może to właśnie był jego problem? Może traktował prozę zbyt poetycko i wbrew pozorom, mimo lodowatego osądu, miał zaburzoną perspektywę? Może wcale nie potrafił się zdystansować?

Zamknął notes i schował go do głębokiej kieszeni płaszcza. Podniósł się z ławki, po czym kilkakrotnie szybko zacisnął i rozprostował dłonie. Zrobiło się chłodno. Nawet nie przypuszczał, że pisanie wciągnie go tak mocno.

Zerknął na zegarek. Minęła dwudziesta druga i od paru ładnych godzin tworzył w świetle pobliskiej latarni. Nie zwracał uwagi na przechodzących w tę i we w tę ludzi. Teraz tłum wyraźnie się przerzedził, a z pobliskich restauracji i klubów dobiegała coraz głośniejsza muzyka. Ktoś zbił gdzieś butelkę. Z jednej z bram dobiegł pijacki śmiech.

Adam zapiął płaszcz i włożył dłonie do kieszeni. Zrobiło mu się naprawdę zimno. Kolejne takie rzuty pisarskie mogą się skończyć przeziębieniem. W lecie mogłyby się sprawdzić, ale nie zimą. W ogóle pomysł wychodzenia z domu, żeby popisać, był głupi. Kierował nim jak zwykle jakiś romantyczny duch każący poszukiwać natchnienia.

Natchnienie było głęboko w nim samym – właśnie tak wyczytał w jednym z podręczników nauki pisania. Należało usiąść przed pustą kartką, a potem zapełnić ją swoją wyobraźnią. Bez czerpania inspiracji z szumiących drzew lub deszczu ciurkającego po rynnie. Tego typu literatura była naiwna i sztuczna.

Być może.

Ruszył w drogę powrotną. Samochód zaparkował w jednej z bocznych uliczek Starego Miasta, bo choć na nim nie mieszkał, miał wszelkie niezbędne pozwolenia. Właściwie po przeprowadzce zachował je przez całkowity przypadek, lecz to było nieistotne.

Przy ratuszu już ustawiono i ubrano choinkę. Mieniły się na niej srebrzyste bombki oraz świeczki na prąd. Paręnaście metrów dalej stał oświetlony zaprzęg z parą aniołków dmących w trąby. Kolejna instalacja znajdowała się za przejściem dla pieszych. Adam nie zwrócił na nią uwagi. Cieszyło go, że przynajmniej w tym roku nie ma wielkich banerów z logiem sponsorów dekoracji.

W Bramie Krakowskiej jak zwykle siedziała staruszka z kilkoma bukietami sztucznych kwiatów oraz ręcznych wyszywanek. O tej porze częściej padała ofiarą pijackich wybryków, niż udawało się jej cokolwiek sprzedać. Adam zatrzymał się i zerknął na wystawiony przez nią lichy towar.

– Czy ten bukiet postoi chociaż kilka dni? – Mrugnął i wskazał na największy pęk kwiatów z włóczki.

– Codziennie mam świeże, więc od rana się nie zestarzał.

– Jeden dzień w plecy...

– Słucham?

– Nie, nic. – Adam potrząsnął głową. – Poproszę.

Znów zwyciężyła w nim dusza romantyka. Nie potrzebował tych cholernych kwiatów, ale nie mógł patrzeć na starowinę.

– Zapłacę podwójnie, jeśli pójdzie pani już do domu. Zimno się robi.

– Zachowaj pan pieniądze dla swojej kobiety.

– Ile się należy?

– Nic. Chyba już mi się nie podobają.

Lipert wyciągnął kilka banknotów. W podobnej cenie mógłby kupić porządny bukiet w kwiaciarni. Położył je przy ręcznie wyplatany koszyku.

– Ale...

Nie pozwolił staruszce skończyć.

– Żadnego ale. Tylko niech pani idzie już do domu.

Wziął bukiet i ruszył w głąb Starego Miasta. Skręcił w Olejną, po czym minął kilka słabo oświetlonych, zniszczonych kamienic. Za dnia okolica prezentowała się całkiem nieźle, ale po zmroku nie uchodziła za najbezpieczniejszą. Tym bardziej że nie mieściła się przy nim praktycznie żadna knajpa i uliczka była opustoszała.

Dlatego Adam, słysząc kroki z naprzeciwka, zwiększył czujność. Od samochodu dzieliło go ledwie kilkanaście metrów. Nagle zza załomu muru wynurzyła się postać w rozwianych szatach. Szła szybko, zbliżając się w jego stronę. Ich spojrzenia się spotkały.

Deryło rozsiadł się w fotelu citroëna. Zamknął oczy i zastanowił się, czy jechać od razu do domu, czy gdzieś indziej. Rzadko zdarzały mu się podobne dylematy. Tyle że z dnia na dzień czuł coraz większą niechęć do własnego mieszkania. Miał wrażenie, że uleciała z niego cała dawna, dobra atmosfera. Zastąpiły ją jego niemal zmaterializowane myśli o śmierci i samotności.

Wiedział, że po powrocie znów będzie się wpatrywał w jedno ze zdjęć lub ze szklaneczką koniaku bądź whisky zanurzy się w rozważaniach. Dziś miał dla nich jeszcze jeden temat.

Nie, to nie była obiecująca perspektywa. Tyle że nie miał zbyt wielu alternatyw. Choć istniała jedna, która kusila go już od dawna...

Wyjął telefon i wybrał numer Brzeskiego. Po chwili odezwał się wesoły, kobiecy głos.

– Cześć, Eryku, to ja.

– Andrzej? Przez ostatnie godziny straciłeś klejnociki? – Deryło uznał ten żart za debilny. Natychmiast się zreflektował. – Dobrze cię słyszeć, Alicjo. Jak się macie?

– Powiedz raczej, jak ty się masz!

– Chodzę, myślę, zdaje mi się nawet, że całkiem racjonalnie. Tylko ciągle nie mogę uwierzyć, że przez dekadę, kiedy byłem w śpiączce, świat tak niewiele się zmienił...

Alicja nerwowo zachichotała. Nie miała pewności, czy komisarz mówi poważnie, czy sobie żartuje.

– Twój mąż twierdzi, że to była dekada kryzysu. Załamanie gospodarcze i jakieś katastrofy. Postanowiłem nie wnikać, więc...

W telefonie zatrzeszczało. Deryło pomyślał, że Alicja przytrzymuje go ramieniem i być może pokazuje Brzeskiemu na migi, że jego szef kompletnie zwariował.

– Przepraszam. Trzyma się mnie idiotyczny humor.

– Uff... Już zaczynałam podejrzewać, że...

– Andrzej mnie wkręcił? Nie jest aż tak nikczemny.

Alicja się zaśmiała.

– Skoro używasz słowa „nikczemny”, to znaczy, że wracasz do formy. A co do Andrzeja – zawiesiła na moment głos – bierze właśnie prysznic. Zaraz mu przekażę słuchawkę. Jeśli to pilne, to go popędzę.

– Nie. Właściwie nie. – Deryło westchnął. – Chciałem go porwać na wieczór. Pozwolisz mi?

– A bierz go w cholerę. Rozumiem, że nie chodzi o pracę, tylko wasze męskie, durne wkręcanie się dziesięcioletnimi śpiączkami?

Deryło uśmiechnął się i włożył do stacyjki kluczyk.

– Właśnie tak. Dwa piwa, kilka tępych docinków i do domu.

– Skoro tak... Obiecuj mi tylko, że Andrzej nie wróci kompletnie pijany i rano nie potknę się o niego zwiniętego na wycieracze.

Komisarz przypomniał sobie ten wybryk sprzed lat.

– Masz jak w banku – zapewnił. – Skoro ja nie mogę się upić, nie dam tej frajdy innym.

– Trzymam za słowo.

– Po wybudzeniu ponoć coś mi się poprzestawiało i zrobiłem się wrzodem na dupie.

Tym razem Alicja zachichotała całkowicie bez troski.

– Zawsze nim byłeś. Ale cieszę się, że zyskałeś tego świadomość.

Aviator znajdował się kilka kroków od Placu Teatralnego – kulturalnej przestrzeni Lublina zaadaptowanej po wyburzeniu straszącego przez kilkadziesiąt lat niedokończonego gmachu filharmonii. Sale koncertowe mieściły się w nowym, przysadzistym budynku stanowiącym architektoniczne połączenie schronu przeciwbombowego oraz modernistycznej Ściany Płacu. To położenie zapewniało Aviatorowi stały napływ klientów. Dlatego gdy Deryło wraz z Brzeskim tuż przed dwudziestą trzecią weszli do środka, znaleźli miejsce jedynie przy barze.

– Dobrze i to. – Aspirant usadowił się na wysokim hokerze. Aby komisarz go usłyszał, musiał przekrzykiwać głośną, latynoską muzykę.

– Nie najlepsze, jeśli obaj mamy zakaz picia.

– Ja o swoim nic nie wiem. Słyszałem coś z drugiej ręki, a to się chyba nie liczy.

Deryło gestem ręki zwrócił uwagę znajomego barmana.

– Kopę lat! Wódeczki, koniaczku?

– Dla mnie woda z cytryną, a dla kolegi cola.

– Panowie na służbie? – Dwudziestokilkuletni barman doskonale wiedział, czym się zajmuje Deryło. Zresztą wiedział mnóstwo o większości stałych klientów. To był jeden z wyznaczników tego, jak dobry jest w swojej robocie. A był naprawdę świetny.

– Dziś Światowy Dzień Abstynenta – ponuro wtrącił Brzeski.

– I anonimowego alkoholika – dodał komisarz.

Barman obrzucił ich zdziwionym spojrzeniem.

– Rozumiem! – krzyknął tryumfalnie. – Pora jeszcze młoda, a panowie już potrzebujecie klina. To się nazywa udany wieczór.

Po chwili przed policjantami stanęły dwie butelki oraz szklanki z lodem.

– To chyba najsmutniejsze wyjście do baru w moim życiu – skwitował Brzeski. Po chwili podejrzliwie łypnął na Deryło. – Chciałeś pogadać o czymś konkretnym? O tej nowej sprawie?

– Nie. Świat jest chory, ale nie gadajmy o chorobach.

– Sącząc przy barze wodę i colę, nie wyglądamy na zdrowych.

– I w tym rzecz.

Brzeski puścił oko do blondynki, która, przekrzykując muzykę, zamawiała trzy kolejki kamikaze. We wszystkich kolorach.

– Odważnie! Kiedyś po takiej serii wróciłem do domu w gorszym stanie niż japoński pilot po wbiciu się w krążownik.

Blondynka obrzuciła go przelotnym spojrzeniem. Uśmiechnęła się, ale nie podjęła tematu. Gdy odeszła, Deryło klepnął aspiranta w ramię.

– Musisz coś sobie uprzytomnić – odezwał się tonem mentora. – Mimo że jesteś przystojny i z mojej perspektywy wciąż młody, dla niej jesteś starcem.

– Ledwo skończyłem trzydziestkę.

– Czyli jest od ciebie niemal o połowę młodsza. Prawdy nie przeskoczysz, choćbyś nałożył na włosy tonę żelu i ogolił tę imitację zarostu na zero.

Brzeski, udając niedowierzanie, pokręcił głową. Napił się coli wprost z butelki, po czym teatralnym gestem odstawił ją na bar.

– Ale mogę ją wylegitymować i sprawdzić, czy ma osiemnastkę.

– To jest najgłupsze, co mógłbyś zrobić. Jeżeli kolejne nasze wyjście do baru ma się zakończyć skandalem, z góry mówię pass. Na trzeźwo tego nie zniosę.

– To ty mnie zaprosiłeś.

Deryło uśmiechnął się ponuro.

– Chciałem zepsuć ci wieczór. Lubię patrzeć, jak świat cierpi razem ze mną.

– Wiesz co? – Aspirant kuksnął go w ramię. – Kiedy leżałeś w śpiączce, byłeś znacznie bardziej znośny.

Przez kolejną godzinę rozmawiali w tym samym tonie. Deryło z rzadka wracał myślami do sprawy Lubowa, a duchy jego mieszkania umknęły niemal całkowicie. Rozluźnił się i po raz pierwszy od dawna poczuł naprawdę przyjemnie.

Dobry nastrój uleciał z niego natychmiast po wyjściu z knajpy. Demony powróciły i mimo że Brzeski zaproponował mu podwózkę, postanowił wrócić do mieszkania na piechotę.

Cztery kilometry pokonał w nieco ponad trzy kwadransy. Gdy otworzył drzwi, zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy wraca o tej porze z baru całkowicie trzeźwy. Ta myśl, potwierdzająca, jak wiele w jego życiu się zmieniło, wprawiła go w jeszcze gorszy nastrój.

Sprawdził komórkę, lecz nie miał żadnych wiadomości od Haler. Mimo że minęła już pierwsza nad ranem, postanowił do niej ponownie zadzwonić. Wybrał numer i odczekał, aż automatyczna sekretarka poprosiła, aby zostawił wiadomość.

– Cholera...

Nie wiedział, czy ma racjonalne powody do niepokoju, ale był przekonany, że ten nie pozwoli mu zasnąć. Nie mylił się.

Adam Lipert zacisnął dłoń na karcie do samochodu. Od pocziwego renault mégane dzieliło go jedynie kilka metrów. Poza mężczyzną w rozwianej szacie, który szedł z naprzeciwka, ulica całkowicie opustoszała. Pobliskie kamienice zdawały się bezлюдne. W oknach nie paliło się żadne światło. Część z nich była zresztą stłuczona.

Adam przyśpieszył kroku. Zszedł z chodnika na ulicę i napiął mięśnie. Postać w szacie minęła jego auto. Po raz kolejny ich spojrzenia się spotkały. Przez moment Lipertowi wydawało się, że w oczach mężczyzny dostrzega błysk. Mogło to być odbicie odległej latarni lub...

Nie zamierzał tego analizować.

Od nieznanego dzieliło go ledwie kilka kroków. Trzy sekundy lub mniej.

Dwie.

Wyczuł charakterystyczny zapach ziół i kadzideł. Zapach, jaki doskonale pamiętał z czasów, gdy bywał w kościele. Nagle zrozumiał, że przerażające szaty to zwykły habit mnicha.

Jeden.

Zakonnik minął go ze wzrokiem wbitym w bruk. Wydawał się całkowicie pochłonięty modlitwą albo najgłębszymi przemyśleniami. Coś cicho szeptał.

Lipert nagle się wyprężył. Strumień myśli przelał mu się po umyśle i zmobilizował do działania. Gwałtownie się odwrócił. Jednym susem dopadł do zakonnika i chwycił go od tyłu za szyję. Przytknął mu do grdyki kartę samochodową.

A potem z całej siły ją wcisnął.

Zakonnik szarpnął się, lecz nie dał rady się wyrwać. Mimo że Lipert nie sprawiał wrażenia mocarza, był bardzo silny. Regularne ćwiczenia i żelazna samodyscyplina uczyniły go maszyną do zabijania.

Zresztą nie tylko do zabijania.

Z ust duchownego dobył się charkot. Lipert przyciągnął go jeszcze mocniej tak, że wyglądali jak dwóch spitych kumpli, którzy się podtrzymują. No, może obrazek ten nieco psuł habit franciszkanina...

Dlatego należało działać błyskawicznie.

Lipert rozejrzał się, lecz w zasięgu wzroku nadal nie było nikogo. Odetchnął. Duchowny przestał się już szamotać, więc nieco poluzował uchwyt. W mgnieniu oka dowlókł go do samochodu. Szarpnął drzwi, które na sygnał z karty automatycznie się odblokowały. Wepchnął swoją ofiarę na tylne siedzenie i wyciągnął ze schowka linkę.

Znał wiele sposobów wiązania. Ciągle się samodoskonalił i poznawał nowe techniki. Na koniec pozostawało mu jedynie wepchnąć do gęby braciszka knebel.

Robota została skończona.

Choć właściwie był to dopiero początek.

W tym momencie przestał o sobie myśleć jako o Adamie Lipercie – bohaterze jednej z powieści, który dokonywał sadystycznych morderstw. Na powrót stał się Igorem Lubowem.

DZIEŃ TRZECI

Deryło zjawił się na komendzie tuż po szóstej. Gdyby Citroën odpalił za pierwszym razem i nie wymagał małej reanimacji, byłby niemal godzinę wcześniej.

Natychmiast po wejściu do gabinetu uruchomił ekspres. Marzył o kawie. W domu wypił jedną, gęstą z kawiarki, lecz to nie było w stanie postawić go na nogi. Po całkowicie bezsennej nocy czuł ciężar w głowie i dokuczała mu drętwota mięśni.

– Ja też poproszę!

Wykrzywane tuż za nim słowa sprawiły, że filiżanka niemal wypadła mu z rąk.

– Cholera... Bawisz się w podchody?

Przy jego biurku stała Haler. Miała rozpromienioną twarz, w uśmiechu odsłoniła zęby, a ręce spłotła na piersi. Przypominała reklamową figurę wyciętą z kartonu. Powinna tylko wskazywać na drzwi, a obok niej znajdowałyby się napis: „Serdecznie zapraszamy na wyprzedaż”.

– Przepraszam. Zostawiłeś uchylone drzwi... Jezu, tatuśku, jak ty wyglądasz?!

– Coś nie tak?

– Spałeś tej nocy?

– Prawdę mówiąc, to nie. I możesz śmiało zapytać o jeden z powodów, dlaczego tak się stało. Obwiniający ton Deryły nie pozostawiał wątpliwości. Haler spoważniała i spuściła wzrok.

– Wiem, wiem... Komórka. Nieodebrane połączenia zobaczyłam dopiero dziś rano.

– To nieodpowiedzialne.

– Przepraszam, ale jestem już dużą dziewczynką.

– Co nie znaczy, że...

Deryło urwał. Nagle zdał sobie sprawę, że posuwa się za daleko. Nie miał żadnego prawa kontrolować Tamary ani ingerować w jej życie po robocie. To, że w ostatnim czasie dotknęło go tak wiele tragedii, nie stanowiło usprawiedliwienia. Nie mógł przenosić na podwładną wszelkich lęków i uczuć wiążących się z Wiktoria. Tyle że w niezwykle sposób Tamara w ciągu roku stała się mu niemal tak samo bliska.

– To ja przepraszam... – bąknął. – Może zaczniemy ten dzień jeszcze raz?

– Pewnie. – Haler wyprostowała się i uśmiechnęła, że właśnie go zobaczyła po raz pierwszy. – Jezu, tatuśku, wyglądasz jak trup! Nie spałeś?

Komisarz uśmiechnął się. Podał Tamarze filiżankę kawy i sięgnął po swoją.

– Wszedłeś mi wczoraj na ambicję. – Haler upiła łyk i dmuchnęła, studząc napój. – Zacząłeś analizować tę sprawę od strony psychologicznej i wychodziło ci to znacznie lepiej niż mi. Mogłeś się odnieść do faktów.

– Tak, bo jakieś sto lat temu w czasach nastoletniości słyszałem o Igorze Lubowie, a potem czytałem jego książki. Tylko dlatego.

– Nie bądź taki skromny. Jak zwykle zaimponowałeś mi, a jednocześnie nakłoniłeś do nadrobienia zaległości.

Deryło spojrział na nią spode łba.

– Nie mów, że przez noc przeczytałaś jego powieści.

– Właśnie tak. Poza tym akta sprawy i trochę notek prasowych. Dlatego miałam wyciszony telefon.

– Czyli po zarwanych nockach jak żywe trupy wyglądają tylko tacy starszankowie jak ja. – Komisarz westchnął i wykonał ponaglący gest ręką. – Mów, mów. Już nie przerywam.

Tamara sięgnęła po krzesło i usiadła. Przymknęła oczy, przygotowując się do przedstawienia Deryle wyczerpującego sprawozdania. Starła się błyskawicznie uporządkować zebrane w nocy informacje. To była jedyna rzecz, której nie zdążyła jeszcze zrobić. Poprawiła się, uważając, by nie wywrócić przytrzymywanej między udami filiżanki.

– Igor Lubow był w dzieciństwie molestowany. Przebywał w ośrodku adopcyjnym i dopiero po latach wypłynęła wieść, że kilku pracowników było nadmiernie czułych na wdzięki małych chłopców. To pierwsza z ciekawostek, bo molestowanie w ogromnym stopniu wpływa na rozwój psychiczny dziecka.

– No dobrze. Ale Igor Lubow leży dwa metry pod ziemią...

– Może tak, może nie. – Haler wciąż nie otwierała oczu. – Wiesz, że psychologią jedynie się interesuję, lecz nie mam ściśle naukowej wiedzy. Dlatego moje dywagacje mogą być chybione. Mimo wszystko opieram je nie na wróżeniu, lecz na logice oraz doświadczeniu.

Deryło odstawił filiżankę i odchrząknął.

– Chyba nie wpadłaś na to, w jaki sposób ten świr morduje nawet po swojej śmierci?

Haler nagle na niego spojrzała. Na jej twarzy pojawił się niepewny uśmiech.

– Miałabym kilka koncepcji, lecz wcale nie to jest najciekawsze...

Macie te cholerne pierwsze zdania?

Podobają się wam? Daję głowę, że dwie trzecie z was i tak je zmieni. Pozostali wcale nie napisali ich lepiej. Ci pierwsi będą stanowić te lepsze dwie trzecie, które chcą coś wynieść z tej całej paplaniny. Dwie trzecie, które dążą do doskonałości.

Ci, którzy nie zmienią swoich pierwszych zdań, właściwie siedzą tu całkowicie bez sensu. Mogliby już wyjść, ale pewnie jeszcze nie wiedzą, w której są grupie. Zapewne każdy z was się teraz zastanawia, czy jego zdanie jest w porządku.

Nigdy nie jest.

Wbijcie sobie do głów, że wszystko zawsze można zrobić lepiej. Istotne jest, aby w odpowiednim momencie potrafić powiedzieć „stop” poprawkom. W przeciwnym razie nigdy nie skończylibyście redagowania. Zawsze coś będzie was irytowało i nakłaniało do dokonania zmian.

Mówię wam, gdy dostaniecie wasze wydrukowane książki – czego wam szczerze życzę – złapiecie się za głowy. Wpadniecie w panikę. Dopiero wtedy zrozumiecie, jak fatalne pierwsze zdanie napisaliście. I że każde kolejne jest jeszcze gorsze.

Pamiętajcie, że taki moment nadejdzie. Dlatego teraz dajcie z siebie wszystko. Postawcie przed sobą jednak jasny cel, który przyćmi wasz strach, a jednocześnie nakaze kiedyś uznać, że ta ostatnia kropka jest akceptowalna. Bądźcie swoimi najsurowszymi krytykami.

Ci z was, którzy zdołają to zrobić – wygrają. Ci, którzy będą zachwyceni ze swojej pracy i uznają, że stworzyli arcydzieło literatury – powtarzam – właściwie już mogliby wyjść.

Znowu wyrzucam część osób z tej sali? Wybaczcie, lecz musicie sobie uświadomić jedno. Jest was piętnaścioro, więc jeśli dobrze pójdzie, książkę skończy pisać połowa. Bądźmy optymistami i uznajmy, że to osiem osób. Patrząc po wyrazach waszych twarzy, gdy skupialiście się na samym pierwszym zdaniu, to naprawdę przesadny optymizm. Ale mniejsza.

Poważne wydawnictwa dostają miesięcznie kilkadziesiąt propozycji. Łatwo policzyć, ile stanowi jeden czy dwa debiuty publikowane na miesiąc. To mniej niż nawet jeden na osiem. Mniej niż jeden na piętnaście.

Wasze szanse rzecz jasna zwiększa obecność na tym kursie. To, że mnie słuchacie, z automatu ustawia was na lepszych pozycjach wyjściowych. Musicie jednak uważać, bo już na pierwszym zakręcie z łatwością możecie rozbić wasz bolid.

Dlatego słuchajcie mnie nadal uważnie. Mam wam do przekazania kilka szalenie istotnych informacji. Zaraz dociśniemy gaz do podłogi.

– Tak jak wspomniałam, przeczytałam praktycznie każde dostępne słowo, które wyszło spod ręki Lubowa. Być może pominęłam parę wywiadów... No i felietonów. – Haler znacząco wywróciła oczami. – Ich się nie da czytać. Jednak rzeczywiście w jego *Martwych, którzy wiedzą lepiej* opisał scenę mordu, w której ofierze zostają odcięte palce, a potem kobieta jest brutalnie biczowana. Tyle że coś mi nie pasuje.

Deryło słuchał Tamary w pełnym skupieniu. Jego wielkie palce bezwiednie zaginały maleńką kartkę, tworząc z niej żurawia. Gdy Haler umilkła, również przerwał tę misterną robotę.

– Mam cię prosić o ciąg dalszy czy kolejny odcinek zostanie wyemitowany za tydzień?

Haler pokręciła głową i wyciągnęła z kieszeni opakowanie draży miętowych. Poczęstowała nimi komisarza, a gdy ten odmówił, wyssała dwie.

– Przepraszam, ta pieruńsko mocna kawa stanęła mi w gardle.

– Błagam, przejdźmy do rzeczy! Jeszcze zdążysz się nassać tych dropsów...

– Spokojnie, Eryku. Zmierzałam do tego, że w całej sprawie widzę kilka rozbieżności. Po pierwsze – Haler uniosła palec serdeczny – Lubow w trakcie procesu był cholernie dumny z tego, co zrobił. Wręcz rozpyływał się nad swoimi czynami i nie okazał najmniejszej skruchy.

– No i?

– Nawet gdyby udało mu się przekazać komuś list, po jaką cholere wyznawałby, że jest niewinny, i potem się zabijał?

– Może ktoś go zastraszał? Groził jego rodzinie albo bliskim...

– Myślałam nad tym i uznałam, że to dopuszczalna koncepcja, ale też ma swoje słabe strony. W końcu dowody bezsprzecznie wskazywały na niego, a w trakcie procesu podał szczegóły, których nie mógł znać nikt inny niż sprawca. Po analizie akt nie mam wątpliwości, że to właśnie on był mordercą. Chyba że po aresztowaniu go podmieniono. W Meksyku był przypadek, gdzie brat bliźniak odsiadywał karę zamiast drugiego, ale nigdzie nie znalazłam informacji o rodzeństwie Lubowa.

Deryło odchylił się w fotelu. Założył dłonie za głowę i ciężko sapnął.

– Rozdwojenie jaźni albo najzwyklejsza ściema. Komuś się nudziło i wysłał ten list dla żartu.

– Nawet jeśli – środkowy palec Haler wystrzelił w górę – w tym momencie przechodzimy do punktu drugiego. W końcu mamy wiadomość, w której rzekomy Lubow stwierdza, że jest niewinny. A jednocześnie ktoś popełnia morderstwo dokładnie w jego stylu.

Komisarz ciężko odsunął się od biurka i przeciągnął. Nagle sobie uświadomił, że zapomniał o porannej porcji ćwiczeń. Nie zważając na Haler, zaczął serię wymachów.

– To wszystko już wiemy. Nie spałaś całą noc, a porządkujesz jedynie stare fakty.

– Właśnie przechodzę do sedna, panie w gorącej wodzie kąpany. – Tamara rozgryzła drażę i ją przełknęła. – On morduje tak, jakby nadal pisał.

– Co takiego? – Deryło momentalnie zamarł w bezruchu. Zerknął na podkomisarz spode łba.

– Lubow dokładnie opisywał zbrodnie, a potem mordował jota w jotę według przygotowanego wzorca. Nie robił odstępstw.

– Mówiłaś o odciętych palcach i biczowaniu. Ja też pamiętałem ten fragment z książki...

– Zgadza się. Pamiętaliśmy go całkiem dobrze, ale nie dość dobrze.

Deryło dał spokój rozciąganiu i oparł się o zagłówek fotela. Świdrował Haler coraz bardziej

zniecierpliwionym spojrzeniem.

– On nie zostawiał pola na wątpliwości – Tamara nieśpiesznie kontynuowała. – A w przypadku tego ostatniego zabójstwa różnic jest sporo. Wiek ofiary, kolor włosów, ułożenie zwłok, które tylko częściowo odpowiadało temu z książki. Lubow nie pozwalał sobie na takie odstępstwa. Włącznie z tym, że wycięte fragmenty skóry miały określoną wielkość, gdyż miały służyć do stworzenia książki i imitować charta virginea, które...

– Charta virginea?

– To średniowieczne pergaminy wykonywane ze skóry jagnięcych płodów. Sednem były ich niewielkie wymiary...

Deryło wyprostował się i lekceważąco machnął ręką.

– Może po śmierci stał się niedbały? Może przykłada mniejszą wagę do szczegółów? – Parsknął. – Wybacz, ponosi mnie.

– Pomyślałam, że powinniśmy...

W tym momencie rozległ się jazgot starego telefonu stojącego na biurku komisarza. Deryło wywrócił oczami i sięgnął po słuchawkę. Gdy usłyszał głos laboranta, natychmiast mocniej przycisnął ją do ucha.

– Mam dość ciekawe wieści, komisarzu...

– Szykuj kluczyki...

Deryło pośpiesznie ruszył do wyjścia. Nim Haler zdążyła go o cokolwiek zapytać, wypadł na korytarz. Jego ciężkie kroki poniosły się echem.

– Kluczyki? Dopiero się zarzekałeś, że nie zrobisz z siebie idioty i worka bagażowego na moim motocyklu.

– Chwilowo to odwołuję.

– Czyżby twój arcyzabytkowy klasyk niedomagał?

– Powiedzmy, że jest w gorszej formie.

Deryło nie zamierzał wspominać o porannych problemach. Machnął ręką do dyżurnego, który otworzył drzwi na zamek elektroniczny. Do holu właśnie wszedł Brzeski, ale komisarz dał mu znać, że się śpieszy. Aspirant był wyraźnie pochłonięty własnymi myślami, bo jedynie odmachnął. Być może Alicja wysuszyła mu głowę po zbyt późnym, jej zdaniem, powrocie z bezalkoholowej libacji.

– Dokąd mamy jechać?

Haler zrównała się z komisarzem na parkingu. Wskazała na stojący w głębi motocykl. Turystyczny gigant z kuframi zajmował niemal całe miejsce. Poza powietrzem Tamara przewoziła w kufrach kompletny strój dla pasażera, ale komisarz wziął tylko kask.

– Halo, Eryku, muszę wiedzieć, gdzie mam jechać.

Deryło westchnął i podniósł przyłbicę.

– Prosektorium. Ofiara została zidentyfikowana i zaraz będzie tam rodzina.

– Zidentyfikowana? Wiemy coś o niej?

– Jeszcze nic. Ale mam nadzieję, że to się zaraz zmieni.

Haler założyła kurtkę oraz rękawice. Weszła na motocykl i zdjęła go z nóżki.

– Wskakuj.

Deryło usadowił się za nią. Czuł, że pod ciężarem jego ciała uginają się resory.

– Nienawidzę tego.

– Jazdy ze mną? Obiecuję trzymać się przepisów i nie robić niczego głupiego.

– Tego też. – Komisarz sapnął, słysząc ryk odpalanego silnika. – Ale przede wszystkim nie cierpię rozmów z ludźmi, którzy właśnie potwierdzili, że zmasakrowane zwłoki to ktoś im bliski.

Mariusz Wilski był drobnym, trzydziestokilkuletnim mężczyzną o okrągłej twarzy. Siedział przed drzwiami prosektoryjnej chłodni i tępo patrzył w ścianę. Obok niego stał jeden z techników, lecz rozmowa najwyraźniej się nie kleiła. Zapewne dostał zadanie doczekania, aż na miejscu zjawi się Deryło. Gdy go tylko zobaczył, wymownie wskazał na mężczyznę i zaraz gdzieś się ulotnił.

– Już po identyfikacji. – Haler westchnęła. – O jej rezultat nawet nie trzeba pytać.

– Ano...

Deryło wyprzedził partnerkę i zbliżył się do Wilskiego. Odchrząknął. Mężczyzna obrzucił go pustym spojrzeniem i nagle jakby coś w nim ożyło, poruszył się. Ucisnął wyciągniętą dłoń. Na słowa powitania komisarza i Haler jedynie wybełkotał coś pod nosem. Przygryzł usta. Chwilę później odwrócił się do ściany, po czym jego ciałem wstrząsnął spazm płaczu.

Policjanci odczekali, aż się uspokoi. Trwało to niespełna minutę, po której Wilski otarł zaczerwienione oczy i pociągając nosem, ponownie na nich spojrzął.

– Nasze wyrazy współczucia – zapewniła Tamara.

– I wsparcia – dodał Deryło. Nie zamierzał jednak zwlekać z konkretami. – Proszę mi wybaczyć, jeśli pytania będą niedyskretne, ale chcemy zrobić wszystko, aby dorwać sukinsyna, który zrobił to pańskiej żonie.

Była to dość sztapmowa formułka, używana przez niego w podobnych sytuacjach. Nie znaczyło to, że nie odczuwał empatii. Po prostu gdyby przez lata służby zbyt mocno przeżywał emocje innych, jego własne demony stałyby się jeszcze liczniejsze.

– Usiądziemy? – zaproponował, wskazując na ławkę, do której dostawił dwa stojące pod ścianą krzesła.

Ukradkiem zerknął na telefon, na którym widniał MMS z informacją o zaginionej Elenie Wilskiej. Przeczytał go pobieżnie po tym, jak zeszywniały od emocji zszedł z motocykla Tamary. Dzięki niemu mogli zaoszczędzić nieco czasu i przygotować bardzo ogólnikową taktykę na przesłuchanie.

Pierwsze pytania były ogólne i miały na celu wybadanie rozmówcy. Wilski, choć kompletnie zagubiony, odpowiadał dość merytorycznie. Mówił przyjemnym, niskim tonem, choć głos często mu się łamał. O Elenie opowiadał w czasie teraźniejszym, by zaraz z przerażeniem się poprawić.

Ślub wzięli jedenaście lat temu i jego zdaniem wszystko układało się jak należy. To znaczy normalnie. Nie przemilczał, że czasem się kłócili – nawet bardzo ostro, ale w zasadzie o nic poważnego. Nie było żadnych zdrad, poważniejszych problemów finansowych, a przyszłość kreśliła się w optymistycznych barwach.

Elena była miłością ze studiów Mariusza. Kiedy o tym mówił, jego szczerą, prostą twarz na moment się rozpuściła. Najwyraźniej wciąż kontestując rzeczywistość, po prostu chciał się wygadać, a Deryło mu nie przerywał. Jediną próbę przejścia do konkretów storpedowała Haler, nakłaniając mężczyznę do dalszych wyznań.

Elena Wilska była o dwa lata młodsza od swojego męża i pracowała w laboratorium jednej z lubelskich firm spożywczych. Z opowieści wydawała się ucieleśnieniem dobroci, może nieco zbyt naiwnym, ale tylko przez to, że pełnym ideałów. Nie było mowy o żadnych wrogach. Zresztą mimo otwartości na ludzi Wilsy nie mieli nawet wielu przyjaciół. Wolny czas spędzali zazwyczaj w domu

sami ze sobą. Czasem wyskakiwali do restauracji albo do kina. Elena regularnie biegała, korzystając z aplikacji, które monitorowały ogólną kondycję jej ciała. Pokonywała od trzech do dwunastu kilometrów, ale...

Deryło nie wytrzymał i wtrącił się w słowotok Mariusza.

– Czy pańska żona wspominała panu o jakichś stalkerach, mobbingu w pracy lub czymś podobnym?

Mężczyzna zerknął na niego z oburzeniem.

– Nigdy.

– Jest pan pewny, że nie skarżyła się na przykład na natrętnego sąsiada lub kogoś nachalnie piszącego do niej na portalu społecznościowym?

– Nie.

– Nie to znaczy co?

Haler ukradkiem szturchnęła Deryłę, ale ten nie zwrócił na to uwagi.

– Nie skarżyła się.

– I nie wspomniała w ostatnich dniach czy nawet miesiącach o jakiejś kłótni? Z kimkolwiek, szefem, przyjaciółką... Niech pan nie myśli tylko o mężczyznach.

Wilski spuścił głowę między ramiona i głośno pociągnął nosem. Wydawało się, że zaraz ponownie się rozplacze, lecz zdołał się opanować. Spojrzał ponuro na komisarza. W jego wzroku było teraz coś wyzywającego. Widocznie – co w podobnych momentach zdarzało się często – potraktował Deryłę jak wroga, który drąży ranę.

– Nie – odparł cierpko.

Komisarz się wyprostował.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć – odezwał się, nim Haler wkroczyła ze swoim zestawem pytań. – Gramy do jednej bramki. Im więcej informacji uzyskam, tym szybciej uda nam się znaleźć sprawcę. Jeśli chce pan tego samego, powinien być z nami całkowicie szczerzy.

– Wiem.

– Więc zapytam ponownie. Nic panu nie przychodzi na myśl?

Wilski potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Przepraszam, ale nie. Wiele lat temu nachodził ją jakiś facet, ale nawet nie pamiętam jego imienia. Zdaje się, że to jej pierwsza miłość...

– Gdyby się panu cokolwiek przypomniało – Haler podała mu wizytówkę – proszę dzwonić o każdej porze i z każdą sugestią.

– Dziękuję...

– Niech się pan także wysili i przypomni sobie dane pierwszej miłości żony. Poproszę także o listę nazwisk waszych znajomych, przyjaciół i kręgu osób, z którymi pańska żona utrzymywała bliski kontakt.

– Zaręczam pani, że nie będzie ich wiele...

Deryło podniósł się i nagle zmrużył oczy.

– Co to?

Wilski podążył za jego wzrokiem, ale najwidoczniej nie zrozumiał pytania.

– Co ma pan na myśli?

– To.

Komisarz wyciągnął dłoń ku zawieszonemu na jego szyi wisiorkowi. Mężczyzna nagle się cofnął i schował go pod koszulę.

– To? – zapytał zmieszany. – Nic, nic...

– Naprawdę wierzysz w Boga?

Clown spojrzał na zakonnika spode łba. Powoli wypuścił powietrze.

– Dokładnie do tego samego metalowego stelażu przed paroma dniami przypiąłem pewną dziewczynę. Następnie zatłukłem ją na śmierć pejcem.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Żebyś wiedział, że czeka cię coś jeszcze gorszego. No więc, wierzysz w Boga?

Zakonnik przytaknął. Miał około czterdziestu lat i bladą twarz ze skrząciami się w świetle gromnic oczami. Wbił wzrok gdzieś w ścianę. Jego broda nie była długa, lecz gęsta i zdawało się, że mimo ascetycznej sylwetki ma puciołowate rysy.

Habit leżał kilka metrów dalej, a mężczyzna pozostał w białym T-shircie oraz bokserkach. Siedział z podkulonymi rękoma i nogami, które skuto kajdankami i przywiązano do stelaża. Na betonowej podłodze wokół były rdzawo-brunatne ślady. Krew Eleny Wilskiej wsiąkła i zabarwiła porowatą powierzchnię.

– Wierzysz...

Clown jednym susem dopadł do zakonnika, po czym zarzucił mu na głowę foliowy worek. Błyskawicznie owiązał mu go pod brodą. Skrępowany mężczyzna spojrzał na niego przerażony. Odruchowo nabrał głęboki oddech, a folia przykleiła mu się do warg. Zaparowała od wypuszczanego przez niego powietrza.

– Pewnie teraz słyszysz mnie znacznie słabiej?! Głośniejsze ode mnie jest pulsowanie krwi w twoich skroniach i bicie serca. Prawda?

Duchowny się szarpnął. Jego oczy rozwarły się, a twarz poczerwieniała. Usiłował przyciągnąć językiem folię i przegryźć ją, ale ta mu się wymykała.

– Śmierć przez uduszenie to okropność. Za chwilę zaczną pękać naczynia krwionośne w twoich wnętrznościach. Zapewne po tym przebieg twoich ostatnich chwil wydedukuje patolog przeprowadzający sekcję. Twoje narządy wewnątrz będą przekrwione i obrzmiałe. W oczach już zaraz pojawią się wybroczyny, a sinica ustąpi dopiero, gdy twoje truchło zacznie się rozkładać. Przez najbliższe sześćdziesiąt, może dziewięćdziesiąt sekund będziesz starał się nabrać oddech, choć to całkowicie bezcelowe. Poza tym...

Duchowny zaczął drżeć. Obrócił się na bok, a jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Zaparowany worek niemal przykleił się do jego nienaturalnie wytrzeszczonych oczu. Blade wargi przywarły do folii.

– Poza tym zapewne już teraz marzysz o utracie świadomości. Słyszysz pisk i dudnienie? Tak właśnie zostało to opisane w książce...

Twarz zakonnika wykrzywiła się w grymasie. Jego ręce przebiegł skurcz. Wbił paznokcie w szorstki beton tak mocno, że jeden z nich złamał się na pół.

Clown nagle się nad nim nachylił i zerwał z jego głowy worek. Brutalnie pociągnął mężczyznę za ramiona.

– Tak będzie ci wygodniej. Wdech, wydech... No już. Raz, dwa, trzy...

Duchowny ze świstem wciągnął ustami powietrze. Ponownie upadł na bok, ale jego pierś poruszyła się w oddechu. Zakaszłał i przebrał nogami.

– Brawo, brawo... Widzę, że wcale nieśpieszno ci do twojego Pana.

Kolejne kasznięcie.

Clown sięgnął do kieszeni kombinezonu. Wyciągnął z niej kilka kartek i przyglądał je gniewnym ruchem.

– Wtedy zabójca obrzucił go lodowatym spojrzeniem, po czym zadał mu zagadkę – odczytał, przekrzywiając głowę. – „Słyszysz go, a nie widzisz. Spotkasz, lecz nie schwytasz. Dla jednych dobrem on, dla innych czystym złem. Kim jest?” Od niego zależy twoje życie.

– Dlaczego zapytałeś o ten wisiołek?

Haler utkwiała w Deryle pytające spojrzenie. Przygryzła usta, lecz zaraz jej twarz przebiegł grymas zrozumienia.

– No tak! – Plasnęła się dłonią w czoło. – Dwa splecione księżyce. Takie same, jakie nosiła bohaterka *Cmentarnej mgły*. O to ci chodziło?

– Właśnie z tym mi się skojarzyły... Widziałaś jego reakcję?

– Tak. Ale z drugiej strony w ten sposób zareagowałyby większość z nas. Zazwyczaj traktujemy biżuterię jako coś dość prywatnego, co często kojarzy się z konkretnymi intymnymi przeżyciami. To pamiątki, prezenty lub nawiązania do...

Deryło machnął ręką.

– Tak, wiem. Dlatego odpowiedź, że to po prostu ozdoba, przyjąłem z rezerwą, ale w jakiś sposób mnie zadowoliła.

– Zaskakująco łatwo przestałeś drążyć temat.

– Nie miałem po co. Najpierw wydało mi się to niezwykle, ale potem...

Haler rzuciła Deryle kask motocyklowy i założyła swój.

– Potem uznałeś, że wisiołek z dwoma księżycami to w zasadzie nic wyjątkowego?

– Właśnie. To popieprzone, ale śladów fabuły można doszukiwać się we wszystkim. W wypitej coli, rysach twarzy, miejscu, w którym się jest... Po prostu we wszystkim. W końcu opisów u Lubowa nie brakuje.

– Być może właśnie taki jest zamysł tego psychologa? Mamy doszukiwać się podtekstów nawet tam, gdzie ich nie ma?

– A może... – Deryło usiadł za Halera i wrzeszczał jej wprost do ucha, przekrzykując ryczący silnik. – A może to wszystko stanowi naszą nadinterpretację? Może naciągnęliśmy fakty i całkowicie mylnie powiązaliśmy tamten list z zamordowaną kobietą? Czekaj chwilę!

Tamara posłusznie powstrzymała się przed dodaniem gazu. Komisarz wyciągnął wibrującą komórkę. Dzwonił jeden z kryminalistyków. Kiedy zdjął kask i wreszcie nacisnął właściwy klawisz, było zbyt późno. Kryminalistyk rozłączył się, a mimo próby Deryły nie odebrał telefonu.

– Kto to? – dopytała Halera.

– Laboratorium. Skoro zbastowali po jednej próbie, to pewnie nic istotnego...

– Zadzwoń jeszcze raz.

– To cały nasz plan? Prezentuje się mało zachęcająco.

Mimo zniechęcenia komisarz ponownie wybrał numer i odczekał, dopóki automatyczna sekretarka nie poinformowała go o możliwości zostawienia wiadomości po usłyszeniu sygnału.

– Cholera... To by było na tyle.

– Wcale nie. – Tamara energicznie opuściła przyłbicę. – Wydaje mi się, że jest ktoś, z kim warto porozmawiać.

Warkot motocykla zagłuszył pytanie Deryły.

– Kojarzę to miejsce...

Deryło oddał Haler kask i przeczesał palcami włosy. Znajdowali się przed wejściem na teren sporej posiadłości ze starodrzewiem oraz przysadzistym, zaniedbanym dworem. Kolumny portyku obłupane były z tynku, a czerwień odsłoniętych cegieł sprawiała ponure wrażenie. Elewacja budynku, choć zapewne pomalowana niezbyt dawno, miała liczne zacieki. Z dachu zwisała urwana rynna, a w ziemi pod nią deszczówka wytłukła sporą nieckę.

Mimo że trawnik w najbliższej okolicy dworu został przystrzyżony, nieco dalej rosły już chaszczce. Wśród pozostałych z dawnego parku potężnych grabów zaszczepliły się dziesiątki dzikich bżów oraz pokrzyw.

– To dom Bernarda Wejcherta...

– Zgadza się.

Haler dziarsko pchnęła furtkę i ruszyła przez krótki podjazd. Deryło po chwili ją dogonił. W tym miejscu był tylko raz przed bardzo wielu laty. Z zewnątrz budynek prezentował się wtedy jeszcze gorzej, a nigdy nie znalazł się w środku. Jego podróż do tego oddalonego od Lublina o kilkanaście kilometrów miejsca miała czysto rutynowy charakter. Bernard Wejchert był jedynym ocalałym z rąk Igora Lubowa. Tego szczęścia nie miała jego młodzianka narzeczona. Narzeczeni zostali przez pisarza obezwładnieni w trakcie snu, skrzepowani i uprowadzeni. Wszystko odbyło się zgodnie z uprzednio spisany scenariuszem.

– Co jest...

Tamara raz po raz naciskała dzwonek do drzwi. Słychać było wibrujący wewnątrz dźwięk, lecz nikt nie otwierał.

– Może poszedł na zakupy albo na spacer. – Deryło westchnął. – A może już tu nie mieszka...

Nie był zadowolony z obrotu spraw. Haler mogła go wcześniej poinformować o swoim pomysle, by zdołał sobie odświeżyć wydarzenia sprzed lat. Doszedł do wniosku, że wszystko przygotowała z premedytacją, aby przetestować własne metody przesłuchań i zdobywania informacji. Choć może był nazbyt podejrzliwy. Gdy zamierzał ją o to zapytać wprost, drzwi się nagle otworzyły.

W progu stanął przystojny, około czterdziestoletni mężczyzna z zaczesanymi na bok włosami oraz krótkim zarostem. Podciągnął spodnie i poprawił klamerkę paska. Obrzucił ich ponurym spojrzeniem, po czym bez słowa cofnął się, zapraszając tym gestem policjantów do środka.

Haler przedstawiła się i zaczęła pokrętnie wyłuszczać powód ich wizyty. Po kilku słowach Bernard jej przerwał.

– Wiem, dlaczego tu jesteście. Widziałem rano reportaż...

Tamara i Deryło wymienili spojrzenia. Sprawa najwyraźniej trafiła już do mediów, co nigdy nie było dobrą wiadomością.

Przeszli za gospodarzem przez spory, ciemny hol i weszli do znacznie jaśniejszego salonu. Jego ściany były pomalowane na zielono-butelkowy kolor, a wystrój stanowiły stylowe, biedermeierowskie meble – dwie mahoniowe szyfoniery, fornirowana czereśnią witryna oraz okrągły stół kawowy otoczony kompletem krzesel. Wszystko wyjątkowo gustowne i pasujące do wiszących na ścianach starych olejów. Jedyny współczesny akcent stanowiły kolorowe zdjęcia.

– Pięknie tu. – Deryło z uznaniem pokiwał głową.

Bernard Wejchert wzruszył ramionami i usiadł przy stoliku.

– Wiecie, dlaczego mnie wybrał przed laty?

Nie musiał wyrażać się jaśniej, by zostać natychmiast zrozumianym.

– Dlatego, że ten dom pasował do opisu z jego książki – wycedził. – Przyznał, że trafił na jego zdjęcie przypadkowo w jakiejś gazecie. Kupiłem go jako ruderę i remontowałem całe życie. I robię to nadal... Choć chyba straciłem do tego serce. A teraz dowiaduję się, że być może Lubow był niewinny i że przed paroma tygodniami przekreślił się w swojej celi.

Deryło i Haler bez pytania o pozwolenie usiedli naprzeciw mężczyzny. Komisarz całkowicie oddał inicjatywę Tamarze. Sam w milczeniu rozglądał się po pomieszczeniu. Nie miał pojęcia, w czym Wejchert mógłby im pomóc. Podziwiał natomiast niewielką kolekcję porcelany oraz dziewiętnastowiecznego szkła. Sam pasjonował się antykami.

– Nigdy nie widział pan jego twarzy. – Haler zamierzała wykorzystać swój moment. – Zawsze był w stroju clowna...

– W stroju clowna występował morderca z wszystkich jego książek.

– Właśnie. Swoją drogą, wiem, że minęło kilka lat, ale może zapamiętał pan jakieś charakterystyczne cechy jego zachowania? Ruchy albo sposób mówienia?

Wejchert zamrugnął i spuścił wzrok. Następnie zerknął na ścianę, na której wisiały fotografie jego oraz wysokiej, szczupłej brunetki. Przez chwilę się im przyglądał, jakby prosił ją o pozwolenie na rozmowę.

– Panie Bernardzie?

– Przepraszam... – Drgnął ponownie, łypiąc na Haler. – Sam nie wiem. Niczego takiego nie pamiętam...

– Proszę się skupić.

– Modulował głos tak, że brzmiał bardzo nienaturalnie. To jedyne, co przychodzi mi na myśl. Poruszał się całkiem zwyczajnie – oczywiście jak na kogoś w kombinezonie amerykańskich skazańców i masce clowna na twarzy.

– A czy w jego słowach było coś niezwykłego?

Bernard parsknął.

– Jeśli tak można nazwać wieczne mówienie, że się kogoś zaraz zabije, to chyba tak. – Zastanowił się, po czym dodał: – Poza tym ciągle powtarzał, że dzięki temu, co właśnie robi, stanie się nieśmiertelny.

– Nieśmiertelny? Używał dokładnie tego słowa?

– Tak... Akurat to zapamiętałem całkiem nieźle.

Ciałem Wejcherta wstrząsnął mimowolny dreszcz. Mężczyzna przygryzł wargę, ale zaraz się opanował. Deryło był pełen podziwu, w jak ogólnikowy sposób Haler potrafiła dotrzeć do tego, co było dla niej istotne. I ani razu nie zahaczyła o temat zamordowanej narzeczonej Wejcherta.

– Czy zrozumiał pan, co miał na myśli? – dopytała podkomisarz.

– Z nieśmiertelnością? Zapewne nie chodziło mu o nic dosłownego. Raczej o to, że w książkach już tkwi jego własne życie. A papier nie przepadnie wraz z jego śmiercią.

– Typowa chęć nadania wszystkiemu sensu. – Haler zerknęła na Deryło, lecz ten nadal siedział bez słowa. Ponownie odwróciła się do Wejcherta. – Swoją drogą, wiedział pan, że Lubow w dzieciństwie był molestowany?

– Tak. Ten temat poruszył jego adwokat w trakcie procesu.

– A czy kiedykolwiek wspominał coś o swoim życiu prywatnym? O rodzicach? Coś, co nie trafiło do akt i z czym nie mogłam się zapoznać ja ani komisarz?

Deryło czujnie odchrząknął.

– Nie byłem świadkiem w tej sprawie. Moja rola ograniczała się do udziału w machinie, która doprowadziła do skazania Lubowa.

– Jego adwokat w mowie końcowej wspominał, że wychował się w rodzinie zastępczej, a nie, jak mówiono, w domu dziecka. – Wejchert spojrział czujnie na Haler. – To właśnie rodzice, którzy się

nim zajmowali, molestowali go oraz inne dzieci. Odebrano im wszelkie uprawnienia i skazano. Ale jakie to ma znaczenie?

Tamara wzruszyła ramionami.

– Chciałam się upewnić, że dobrze pamiętam notkę, którą przeczytałam gdzieś całe lata temu. Poza tym każda informacja może okazać się istotna...

– Co o tym myślisz?

Deryło przetarł ręce dezynfekującą chusteczką i usiadł przy stoliku. Znajdowali się w niewielkiej włoskiej restauracji przy wjeździe do Lublina. Zamówili dania, które mogły zostać podane najszybciej. Deryło tortellini z mięsem oraz szpinakiem w sosie serowym, a Tamara makaron fusilli z kwiatami cukinii i serem pecorino.

Żołądki obojga z upragnieniem wyczekiwały jedzenia. Mimo że dopiero minęło południe, zgodnie uznali, że bez zastrzyku kalorii nie wytrzymają już ani chwili dłużej. Deryło poprowadził Halera do restauracji, w której jadł przed laty. I której wystrój, co stwierdził z pewnym zadowoleniem, nie zmienił się od tamtego czasu ani o jotę – stanowił niemal kalkę typowo włoskiej knajpki, wraz z ceratowymi, kraciastymi obrusami i neapolitańskimi malowidłami na ścianach.

Haler cicho cmoknęła. Odkąd zamówili dania, intensywnie myślała. Starła się powiązać wszelkie uzyskane ostatnio informacje i wykrzesać z nich cokolwiek konstruktywnego.

– Zbrodnia jest dla pewnych ludzi atrakcyjna. Jedni lubią o niej czytać lub oglądać ją w telewizji, a inni posuwają się nieco dalej. – Mówiąc to, porządkowała strzępy myśli. – Często z samej ciekawości. Nie chodzi jedynie o seryjnych morderców, ale również tak zwanych morderców masowych, a nawet terrorystów. FBI prowadziło badania, które pokazały pewną powtarzalność masakr w amerykańskich szkołach. Zdarzają się one bodajże co trzydzieści dwa dni.

Deryło usiadł i oparł się łokciami o stół.

– To niczego nie dowodzi. Jeżeli coś się wydarzy raz w roku, a potem trzy razy w kolejnym, średnio mamy już dwa incydenty na rok.

– Powtarzalność była zdecydowanie bardziej przewidywalna. Swoją drogą, w Polsce również mieliśmy przypadek naśladowcy. Chodziło o Wampira z Zagłębia i...

– Tak, wiem. Joachima Knychałę, który mordował po straceniu Marchwickiego, jakby ten nadal żył. Tyle że ich łączyło dość banalne *modus operandi*.

– To bez znaczenia. Istotny jest sam fakt.

– Chyba nie wiem, do czego zmierzasz.

Komisarz przesunął się, robiąc miejsce, by kelnerka postawiła na stole przystawki oraz sztuce.

– Do tego, że w tamtych przypadkach nagłośnienie sprawy stało się inspiracją dla działań kolejnych osób.

Gdy tylko kelnerka odeszła, oboje policjanci rzucili się na kawałki świeżego pieczywa, które maczali na przemian w dwóch rodzajach oliwy. Halera, przeżuując, mówiła dalej.

– I tu też dostrzegam istotną analogię. Przecież przed paroma dniami media podały informacje o śmierci Lubowa.

– Według ciebie to był bodziec, przez który komuś zwyczajnie walnęło w dekiel? Odkleiło się, bo zobaczył reportaż w telewizji?

– Tylko w ten sposób potrafię to wytłumaczyć. Kuba Rozpruwacz „dorobił się” co najmniej kilkunastu naśladowców. Dlaczego nie miałyby ich mieć Lubow?

– Wobec tego skąd list o jego niewinności?

Halera wzruszyła ramionami.

– Przypadek? Zbieg okoliczności? Być może zupełnie bez związku z zabójstwem tej

dziewczyny, a my dorabiamy całą ideologię.

– A może przeciwnie...

Deryło sapnął. Przez chwilę siedzieli przy stoliku w milczeniu. Pograżyli się we własnych rozmyślaniach, skubiąc od czasu do czasu nasączone oliwą pieczywo. Przerwała im dopiero kelnerka niosąca zamówione dania.

– Fusilli...

– Dla mnie. – Haler sięgnęła po sztucce. – Nie jesz? – zapytała, gdy Deryło, mimo że i jego porcja wylądowała już na stole, nawet nie drgnął.

– Szlag!

– Co się stało?

– Wstawaj. – Komisarz poderwał się od stołu. – Musimy jak najszybciej tam jechać.

Haler zerknęła najpierw na niego, a potem na talerz parującego makaronu. Sos z kwiatów cukinii wyglądał obłędnie.

– Niby gdzie?

– Do Wejcherta. Szybko!

– Ale...

– Nie ma czasu na tłumaczenia. Jedziemy!

– Eryku, co się dzieje?!

Haler zeskoczyła z motocykla i popędziła za komisarzem. Kilkunastokilometrową trasę pokonali w parę minut. Złamała chyba wszystkie możliwe przepisy, a przy tym ocierała się o granice zdrowego rozsądku. Nawet jej udzieliły się emocje i czuła adrenalinę w nogach.

Tymczasem Deryło, mimo dotychczasowych oporów, najwyraźniej nie zwrócił na jej szaleńczą jazdę żadnej uwagi. Podobnie jak i na jej pytanie.

Pchnął furtkę, po czym pobiegł do wejścia. Energicznie raz za razem naciskał dzwonek. Słysząc było jego brzęk dobiegający z wnętrza dworu.

– Możesz mi...

Po raz kolejny zlekceważył pytanie Haler i cicho zaklął. Zbiegł ze schodków, a następnie obiegł kolumnę. Dopadł do jednego z okien po prawej. Przytknął do niego dłoń i zerknął do środka.

– Hol... – syknął, jakby starał się rozeznac w rozkładzie pomieszczeń.

Przebiegł wzdłuż muru i zatrzymał się przy następnym oknie. Było osadzone dość głęboko w murze, więc musiał się nachylić. Światło odbijało się od niego inaczej niż przy poprzednim i nie potrzebował osłaniać niczego dłonią. Zaglądał do wnętrza salonu.

Było tak, jak się spodziewał.

– Szlag!

Nie miał czasu na zastanawianie się. Osłonił twarz marynarką i natarł barkiem na okno. Szyba z trzaskiem rozpadła się na drobiny. Ostre kawałki szkła nadal sterczały z ramy, lecz komisarz, nie zważając na to, pośpiesznie się podciągnął.

Wtaszczył swoje potężne ciało i w jednej chwili znalazł się w salonie. Obawiał się jednak, że było już zbyt późno.

– Nie rób tego! – wrzasnął.

Wejchert stał na skraju stołu i przeniósł na niego wzrok. Jego szeroko rozwarte oczy wyrażały bezgraniczne zdziwienie. W tym momencie postąpił krok na przód. Pasek przytwierdzony do sznura zawieszzonego na żyrandolu i opiętego wokół jego szyi się zacisnął.

Mężczyzna wisiał.

Technik kryminalistyki ponownie zerknął w okular mikroskopu. Obraz wyświetlał się również na ekranie jednego z komputerów, lecz mężczyzna wolał klasyczne metody. Dopiero gdy ręcznie ustawił odpowiednią ostrość, usiadł na fotelu i sięgnął po myszkę. Kilka kliknięć wystarczyło, by przesunąć badany przedmiot na specjalnie przystosowanym do tego pulpicie.

– Masz coś? – Krępa brunetka pochyliła się nad jego ramieniem. – Czy to tylko podarta instrukcja obsługi pralki?

Technik zamyślił się. Kliknął i pulpit wraz z badanymi przedmiotami wysunął się spod mikroskopu. Mężczyzna za pomocą pincety poprzesuwał drobne strzępy. Przez chwilę przypatrywał się im, mrużąc oczy.

– To bez sensu... – mruknął.

– Szukanie sensu nie należy do twoich obowiązków. Ani do moich.

Mężczyzna westchnął i przetarł dłońmi zmęczone oczy. Ponownie umieścił obiekty pod mikroskopem.

– Jasne, że nie, ale... Przecież ta sprawa to czyste szaleństwo.

– Już przez to przechodziłeś, co? Podobno pamiętasz śledztwo w sprawie Lubowa?

– Mhm. – Kryminalistyk się zasepił. – Właśnie dlatego to dla mnie czyste szaleństwo.

Odsunął się od biurka i zdjął rękawice. Wyrzucił je do kosza, po czym wstał.

– Jakbym miał cholerne *déjà vu*. A niektórzy wierzą, że *déjà vu* to przebłysk wspomnień z naszych poprzednich żyć...

– Skąd wiedziałeś?

Deryło sapnął. Spojrzał na Halera i bezradnie rozłożył ręce. Znajdowali się w poczekalni izby ratunkowej szpitala przy Alei Kraśnickiej.

– Ty z nim rozmawiałaś, a ja rozglądałem się po salonie... Moją uwagę zwróciło nietypowe mocowanie żyrandola, choć najpierw potraktowałem to tylko jako kaprys Wejcherta. Dopiero w knajpie zrozumiałem, że kiedy do niego przyszedliśmy, podwiesił sznur pod hak, aby całkowicie go nie rozplątywać. Wcześniej zapewne sprawdzał, czy konstrukcja utrzyma jego ciężar i nie zleci razem z nim na ziemię.

– I to wszystko?

– Praktycznie tak. No, może jeszcze to, że gdy do niego weszliśmy, wyjątkowo nerwowo poprawiał klamerkę paska.

Haler z uznaniem pokiwała głową. Niezmiennie pozostawała pod wrażeniem nadzwyczajnego instynktu komisarza. Gdyby nie on...

Prawda była taka, że Deryło podtrzymał Wejcherta w ostatnim momencie. Na szczęście sznur był zbyt krótki, by na skutek siły ciężenia nastąpiło zerwanie kręgów szyjnych oraz uszkodzenie rdzenia. Wejchert jedynie się podduśił. Poza solidnym siniakiem na krtani po jego desperackiej próbie za kilka dni nie powinno być śladu.

Gdyby jednak Deryło nie zjawił się na miejscu i go nie podparł, zadałby sobie jedną z najgorszych śmierci. Przez kilka, może nawet kilkanaście minut męczyłby się, starając nabrać powietrza. Najpierw miałby dość siły, by wziąć płytki oddech, lecz ten pozwoliłby jedynie wydłużyć cierpienie o kolejne sekundy. Dławiłby się i szarpał. Prawdopodobnie nie udało mu się uwolnić dłoni z prowizorycznie związanych kajdan. Wierzałby w konwulsjach jak ryba wyrzucona na brzeg.

Lekarz dał im znać, że mogą wejść na salę. Było to duże pomieszczenie, na którym znajdowało się kilka łóżek podzielanych parawanami. Wypełniał je dźwięk szpitalnej aparatury oraz gryzący aromat środków czyszczących i wszelkich wydzielin ciała.

– Kilka minut. – Lekarz zerknął na policjantów, upewniając się, że przyjęli jego uwagę do wiadomości. – Zapewne będzie miał problemy z mówieniem, ale ogólnie nic mu nie dolega. Przynajmniej fizycznie.

– Kilka minut – spokojnie powtórzyła Halera.

Podeszli z komisarzem do łóżka wskazanego przez doktora. Minęli parawan oraz metalową szafkę, po czym przyciągnęli obrotowe stołki. Wejchert leżał na plecach, z odchyłoną do tyłu głową i wzrokiem wbitym w sufit. Na ich widok nawet się nie poruszył. Oddychał cicho, rżąc tak, jakby w krtani wszczepiono mu rezonator. Jego przystojna, blada twarz była pokryta kroplami potu. Szyję miał obwiązaną watą oraz ligniną.

– Dlaczego? – Deryło oparł się o skraj łóżka i zacisnął palce na pościeli.

Bernard powoli nabrał powietrza.

– Mógłbym zapytać o to samo – wychrypiał.

– Dlaczego co?

– Dlaczego mnie pan uratował?

– Bo wiem, że mimo wszystko chce pan żyć.

Wejchert usiłował się zaśmiać, lecz zamiast tego wybuchnął kaszlem. Zwinął się i przymknął z bólu oczy.

– Jakby mi podrzynali gardło... – szepnął.

– Powie więc pan dlaczego? To wszystko, co teraz chcę wiedzieć.

– Zdajecie sobie sprawę, jak jest żyć bez najbliż... – Kolejny wybuch kaszlu zmusił Wejcherta do zmiany pozycji. Sięgnął po stojący na szafce kubek z wodą, ale nie napił się. – Żyłem w pustce od lat – wycodził. – Czekałem tylko na moment, aż ten sukinsyn wyzionie ducha. Teraz nie mam już żadnego powodu, żeby żyć.

– Czego się pan obawiał? – Haler przysunęła się bliżej łóżka.

Deryło nie rozumiał, co miała na myśli, ale Bernard najwyraźniej nadawał z nią na tych samych falach. Uśmiechnął się ponuro.

– Tego, że ucieknę albo jakimś cudem zostanie ułaskawiony. Ale tak samo bałem się, że... – Odchrząknął i ciężko nabrał powietrza. – Że będzie jakaś amnestia czy cokolwiek... Sam nie wiem. Choć jednocześnie każdego dnia czekałem, aż trafi na wolność i będę mógł go odnaleźć i zabić.

– Teraz niech pan żyje na przekór niemu.

– Chyba wolę wybrać się już do narzeczonej...

Deryło i Haler wymienili ponure spojrzenia. Komisarz podniósł się, po czym delikatnie klepnął Wejcherta w ramię.

– Doskonale pana rozumiem. – Westchnął.

Kilka minut później podziękowali lekarzowi za wyrozumiałość i skierowali się do wyjścia. Deryło nagle się odwrócił.

– Swoją drogą, kiedy go wypuścicie?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Dwa dni obserwacji, konsultacja z psychiatrą i to wszystko.

– On może nadal chce się zabić.

– Wiecie, ilu jest potencjalnych samobójców? Są dorośli i zazwyczaj wcale nie chcą pomocy.

– Albo tylko tak im się zdaje – wtrąciła Haler.

Gdy chwilę później przemierzali główny hol szpitala, Deryło zatrzymał się przy jednym z automatów.

– Kawy?

– Jeszcze pytasz? Najlepiej w formie kroplówki albo zastrzyków dożylnych.

– O to pewnie musiałabyś poprosić doktora.

W tym momencie Deryło przypomniał sobie o nieodebranym telefonie od kryminalistyków. Wyciągnął komórkę i zobaczył, że laboratorium ponownie chciało się z nim skontaktować. Zerknął na zegarek. Minęła już szesnasta, więc mógł liczyć jedynie na dyżurnego, od którego uzyskanie jakiegokolwiek sensownej informacji graniczyło z cudem.

Z pewną niechęcią wybrał prywatny numer laboranta, który do niego dzwonił. Ten odebrał niemal natychmiast.

– Przepraszam, ale nie miałem nawet minuty...

Kryminalistyk zbył tłumaczenie komisarza westchnięciem.

– Ślady traseologiczne nie dadzą się zidentyfikować – odezwał się po chwili. – Nie jesteśmy w stanie ustalić ani modelu, ani nawet marki opon. W zasadzie co do rozmiaru też mamy kilka rozbieżnych zdań, więc to bez sensu.

– A ślady butów?

– Szczałkowe odbicie podeszwy męskiego adidasa w rozmiarze czterdzieści trzy lub cztery. Wiem, że to mało precyzyjne, a co więcej, zdaje się, że ślad może mieć kilka dni. Bryłki ziemi były zaschnięte, a ich krawędzie naruszone przez czynniki atmosferyczne. Zapewne wilgoć nad brzegiem kanału spowodowała, że reszta zniknęła.

– Szlag...

Deryło zerknął na Halera i przytrzymując słuchawkę ramieniem, bezradnie rozłożył ręce.

– Przeszukanie śmieci oraz odpadów też nic nie dało. Pogrzebaliśmy w zużytych kondomach, puszkach piwa i im podobnych...

– Nie pociesza mnie pan.

– Naszą uwagę zwrócił jedynie nietypowy pierścionek. Był zagrzebany w mule, ale analizując pływ wody, uznaliśmy, że istniało prawdopodobieństwo, że dostał się tam całkiem niedawno.

– Pierścionek?

Komisarz upił łyk kawy i mocniej przytknął słuchawkę do ucha. Pokazał Halera na migi, żeby ruszyła za nim do wyjścia.

– Tak, pierścionek. Z nietypowym oczkiem i w niezwykłym kolorze – ciągnął kryminalistyk. – Naprawdę przykuł naszą uwagę.

– Proszę o jego zdjęcie i jak najszybciej...

– Niech się pan nie nastawia, komisarzu. Ustaliliśmy, że to dodatek do jednej z gazet dla nastolatek sprzed paru lat. Nie wykazaliśmy najmniejszego związku z ofiarą.

Deryło wyszedł przez rozsuwane automatycznie drzwi i ciężko sapnął.

– Czyli nie mamy nic konkretnego?

– Tylko jedno. – Kryminalistyk był wyraźnie zadowolony z napięcia, jakie budował. – Najlepsze zostawiłem oczywiście na koniec.

– W takim razie niech pan przestanie mi zawracać dupę głupotami i przejdzie do rzeczy.

– Spokojnie, komisarzu, to pan nie odbierał przez cały dzień.

– To, co robiłem albo czego nie robiłem...

Laborant po raz kolejny wszedł Deryło w słowo.

– Mam na myśli badanie strzępków papieru spod powiek. Udało się z nich co nieco odtworzyć. To naprawdę ciekawe.

– Co takiego?

– Wysłałem je na wewnętrzny mail – kryminalistyk parsknął z satysfakcją i się rozłączył.

Spalony dom. Śwąd zwęglonych ciał oblepia wasze przełyki. Znacie ten obrzydliwy, kwaśnawy posmak przypalonego mięsa. Staracie się go przełknąć, lecz nie jesteście w stanie. Zamiast tego zbiera się wam na wymioty. W ustach czujecie żółć oraz ostatni posiłek. Pomyślcie o tym, co jedliście, i wymieszajcie tego smak z rzygami. A teraz dodajcie do tego fakt, że nie macie języka, bo to on jest tym, co tak naprawdę zjedliście jako ostatnie. Wasz własny, żylasty język. Połknęliście go razem kilkuset mililitrami mdłej krwi.

Zaczyna robić się wam niedobrze? Cieszę się.

Pisząc, musicie tworzyć cały świat. Zaczynacie od jednego elementu i idziecie dalej. Punkt wyjścia może być dowolny. Spalony dom, pachnąca łąka, samochód, w którym przez tydzień leżały zwłoki. Swoją drogą, w takiej sytuacji i przy pewnych warunkach, aby go sprzedać, należałoby wypruć wszystko do cna. Płyny ustrojowe wnikają w tapicerkę, a nawet wchodzą w reakcję z elementami metalowymi. Zazwyczaj auta samobójców odnalezionych po paru dniach idą do kasacji. Nikt nie chce dostać ich w spadku.

Zdradzę wam pewną tajemnicę. Pamiętajcie, że człowiek ma pięć zmysłów, i wykorzystajcie to przy pisaniu. Wtedy będziecie oddziaływać na czytelnika z wielu stron. Analizowałem prace wielu autorów i naprawdę nieliczni pamiętają o wszystkich zmysłach. Opisując tylko aspekty wizualne, nie będziecie tak przekonujący, jak dodając do tego smak oraz zapach. Ta trójca to baza. Konsystencja może ją dodatkowo wzbogacić.

Pamiętajcie jednak o utrzymaniu równowagi. Tworzycie świat, lecz przeniesiecie się do niego dopiero wtedy, jeśli zrobicie to dobrze. Jeżeli przebiegnie was gęsia skórka lub zdacie sobie sprawę, że z nerwów rozgryźliście sobie wargę. Bądźcie zdenerwowani i spoceni. ŚmieJCie się razem z waszymi bohaterami, ale i bójcie się wraz z nimi. Czujcie ich ból. Czujcie ich strach. Bądźcie nimi.

Nie ma nic lepszego od uczucia przeniesienia się do innego świata. Może to zakrawa na wariactwo, ale daję wam słowo, że można się do niego przenieść. Po powrocie do tej drugiej, prawdziwej rzeczywistości możecie czuć ulgę lub rozczarowanie. Ważne, żebyście coś czuli. Jeśli przez cały czas byliście świadomi, że od twórczonego przez was świata dzieli was ekran komputera lub kartka papieru, spieprzyliście robotę. Jeżeli ten świat dla was w ogóle nie istnieje, a widzicie jedynie litery, słowa i zdania – dajcie sobie spokój. Nie nadajecie się. To kolejna z rzeczy, których moim zdaniem nie da się wyuczyć. Choć, między nami, możecie zaryzykować – jest grono autorów, którzy piszą tak sztucznie, że od ich książek wręcz cuchnie plastikiem, a mimo to te sprzedają się w ogromnych nakładach.

Ja stawiam na szczerłość.

Autentyzm to najlepsze, co możemy zaoferować czytelnikowi. Śmiech i zwiewanie bywają zaraźliwe. Ale zaraźliwe są również ból i strach. Będąc autentycznymi, zarazicie nimi waszych odbiorców.

Dlatego pisanie czasem po prostu musi boleć. Zaraz to zrozumiecie dokładniej.

Haler i Deryło przebili się przez popołudniowe korki i przed siedemnastą dotarli z powrotem na komendę. Komisarz natychmiast przygotował pioruńsko mocne kawy. Szykowali się na długie posiedzenie, choć nie bardzo wiedzieli, do czego się zabrać. Poza tym kofeina musiała im wystarczyć zamiast posiłku. Ich włoskie dania zapewne już trafiły do kosza.

Kryminaliści wyostrzyli i powiększyli tekst z papierowych strzępów wyciągniętych spod powiek zamordowanej. Składało się na niego kilka niekompletnych zdań stanowiących zapewne fragment opisu zabójstwa.

...ępnie wyciągnął nóż i drżąc z pod...

uderzył smród wnętrzości i niestrawionego jeszcze osta...

...łókl ciało, nie zważając, że całe płaty skóry od...

Haler nie miała wątpliwości, że to opisy z książek Lubowa. Nie pamiętała ich, ale uznała, że należy to sprawdzić w pierwszej kolejności. Poza tym wciąż istniały pozycje, których nie opublikowano. Musieli je zdobyć.

Gdy Deryło postawił na biurku parujące kawy, podkomisarz pobierała na komputer zapisane poprzedniej nocy na swoim wirtualnym dysku książki. W kilku słowach wyjaśniła to przełożonemu, lecz ten jedynie spojrzął na nią podejrzliwie. Nie miał pojęcia o wirtualnych dyskach ani o książkach na komputerze.

– To legalne czy piractwo? – zapytał wreszcie.

– Trochę tak, trochę tak.

– Nie wiedziałem, że jest coś pośredniego między działaniem zgodnym z prawem i kradzieżą.

– Miałam na myśli to... Cholera. – Haler kilkakrotnie kliknęła i przeciągnęła dłońmi po twarzy.

– Ten komputer chodzi jak krew z nosa. W ogóle nie ma pamięci. Nawet zwykłe ebooki...

Deryło usiadł przy niej i zerknął na ekran.

– Nie wiem, o czym do mnie mówisz.

– Pamięć RAM można by przyrównać do pojemności albo gabarytów mózgu. Choć biorąc pod uwagę, że ludzki mózg waży dwa kilogramy, a wieloryba dziewięć, i ma przy tym ponad dwieście miliardów połączeń nerwowych... Przepraszam.

Czując na sobie spojrzenie komisarza, Haler pośpiesznie otworzyła kolejne dokumenty i wyciągnęła telefon. Przez następne godziny sama przeglądała ich zawartość na niewielkim ekranie, a Deryło przypadła rola wyszukiwania odczytanych przez kryminalistów fragmentów zdań w plikach. Krótki kurs, jak należy to robić, komisarz zdał celująco.

Minęła już dwudziesta, gdy zniechęcony Deryło ciężko sapnął. Odchylił się w fotelu i przytknął palce do skroni. Miał wrażenie, że zaraz tryśnie mu z nich krew.

– To bez sensu. Te fragmenty do niczego nie pasują.

Haler również na nic nie trafiła. Zrezygnowana chwyciła się ostatniej nadziei.

– Mogą stanowić jedynie wskazówkę – odezwała się bez przekonania. – Wyszukuję podobne kombinacje słów albo szukam ich w układzie tekstu. Sprawdzam pierwsze linijki i...

– Daj spokój.

– To musi coś znaczyć.

Deryło podniósł się z fotela i ruszył do wyjścia. Nawet nie spojrzął na Tamarę.

– Dlaczego? Z uporem maniaków zawsze doszukujemy się sensu, ale jego może nigdzie nie być. Chaos – wycedził, stając w progu gabinetu. – W głowie wielu szaleńców jest chaos.

Haler z niechęcią pokręciła głowę.

– Chaos to również pewien porządek, tyle że nie znamy zasad, jakie nim rządzą.

– Jestem chyba zbyt zmęczony na filozofowanie. Wracaj do domu i się prześpij. Jutro znów będzie dzień.

– Jeszcze chwilę posiedzę, tatuśku.

Deryło bez pożegnania cicho zamknął drzwi. Znów odezwało się w nim potwornie złe przeczucie. Nie potrafił nawet skonkretyzować, czego dotyczy, ale nerwy zacisnęły mu żołądek. Po wyjściu z komisariatu głęboko wciągnął powietrze. Było chłodne i rześkie, lecz nie zrobiło mu się ani trochę lepiej.

Nagle mdły posmak wypełnił mu usta. Zdążył jedynie nachylić się nad wąski pas zieleni, po czym zwymiotował. Wmówił sobie, że zaszkodziła mu nadmierna ilość wypitej kawy.

Deryło przysunął stojącą na biurku zieloną bankierkę i odchylił się w fotelu. Sięgnął po książkę leżącą na stoliku obok gramofonu. Była to gruba, kilkusetstronicowa pozycja ze skórzaną, nieco podniszczoną okładką. Na jej przedzie znajdował się złożony monogram, w którym litera „L” oplatała ozdobną literę „I”.

Księga była na tyle duża, że niewygodnie trzymało się ją na kolanach. Komisarz podciągnął się i oparł ją o podbrzusze. Powiódł palcem po żłobieniu monogramu, jakby chciał obetrzeć zebrany w nim kurz. Obrócił wolumen i dokładnie obejrzał jego grzbiet. Poza symbolem z frontowej okładki zdobiły go wzory w kształcie ludzkich ust. Jak na zawołanie niektóre z nich się otworzyły. Wryte w skórce wargi poruszyły się, nie wypowiadając przy tym słowa. Wydobył się z nich charkot niczym ze zduszonej krtani Wejcherta.

Jednocześnie skóra okładki zaczęła się marszczyć i rolować. Zgniłe, szerniałe płyty odpadały z niej prosto na brzuch komisarza. Deryło zerwał się jak oparzony. Rzucił wolumin na podłogę i zeskoczył z fotela. Rąbnął biodrem o biurko tak, że spadła z niego lampka. Tępy ból rozlał się po całym jego ciele.

Nagle nastąpiła ciemność.

Zamrugął.

Bolała go głowa, a w ustach czuł nieprzyjemny posmak. Zamrugął raz jeszcze. W ciemności powoli wyostrzał się wystrój jego gabinetu. Masywne art-decowskie biurko z lat trzydziestych, okrągły stolik z gramofonem, czerniony zegar angielski. Do tego ściany pełne obrazów oraz fotografii...

Wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Znow zasnął na fotelu i znow miał koszmary. Mimo że starał się uspokoić oddech, serce wciąż waliło mu w piersi jak oszalałe. Powoli się podniósł, lecz zdał sobie sprawę, że zdrętwiały mu nogi. Rozmasowywał przez chwilę łydki. Nieprzyjemne mrowienie nie ustępowało, więc chwytając się blatu, przyciągnął się do biurka. Po ciemku sięgnął ku leżącemu na wierzchu blokowi z kolorowymi kartkami.

Jak zwykle w chwilach koncentracji chciał zająć ręce składaniem origami. To pozwalało mu lepiej myśleć. Tymczasem jakiś pomysł, jakiś fragment snu lub luźne skojarzenie tłukło mu się w tyle głowy. Czuł, że to coś istotnego. Coś, co pomogłoby pchnąć śledztwo do przodu.

– Szlag... – syknął, nie mogąc sobie przypomnieć.

Zmiał żurawia i cisnął nim na oślep w stronę kosza na śmieci. W ciemności nie widział nawet jego zarysu. Szurnięcie papieru o papier potwierdziło, że trafił.

– Jeden zero – szepnął. – Tylko co dalej?

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nocne pomysły zbyt często przyjmuje się z euforią. Rankami okazują się wytworem sennej fantazji i są równie przydatne jak wrócenie ze snów. Przed wielu laty trzymał nawet przy łóżku notatnik, aby wyłapać każde z podobnych skojarzeń, lecz poza tym, że zapisywanie wrywało go z koszmarów, nie przynosiło żadnej korzyści. Pomysły bywały tak absurdalne, że zarzucił prowadzenie tych notatek w obawie, że gdyby jego żona do nich zajrzała, mogłaby zwątpić w jego zdrowie psychiczne. Tego wolał uniknąć.

Wstał z fotela i podparł się o biurko. Gdzieś z oddali dobiegał go szum pojedynczych przejeżdżających ulicą aut. Ich światła na ułamki sekund delikatnie rozjaśniały wnętrze pokoju. Gdyby zasłonił żaluzje, tkwiłby pogrążony w całkowitym mroku. Jak w grobie.

Ta ponura myśl nasunęła mu cały ciąg skojarzeń. Nagle uchwycił to, nad czym się zastanawiał przed chwilą. Strzęp myśli dopasował się do całości. Wcale nie był absurdalny. Tak mu się przynajmniej zdawało.

DZIEŃ KOLEJNY I NASTĘPNE

Pomysł Deryły okazał się logiczny nawet rano. Jego zarzewiem stała się informacja, którą uzyskali od Wejcherta. Mężczyzna wspomniał o rodzinie zastępczej, w której molestowano dzieci. Komisarz nakazał sprawdzenie losów zarówno rodziców, jak i wychowanków. Informacje miały spłynąć w ciągu najbliższych godzin lub maksymalnie dwóch dni. Jak zwykle w podobnych sprawach poruszano się na skraju procedur oraz ochrony danych osobowych.

W międzyczasie Haler uporczywie poszukiwała związku między dawnymi ofiarami Lubowa oraz śmiercią Eleny Wilskiej. Nie potrafiła znaleźć żadnych relacji poza inspiracją fabułą książki. W tym ostatnim przypadku ta była jednak aż nadto swobodna. To nieustannie męczyło podkomisarz. Statystycznie seryjni zabójcy mogli naginać swoje zasady, zresztą często nawet dzięki temu byli rozpracowywani, lecz nie robili odstępstw od najważniejszego rytuału. To wykluczało obie opcje, które Tamara nazywała „fantastycznymi”: morderstw z zaświatów oraz tę, że Lubow został skazany mimo swojej niewinności. A jednak... Pytania oraz domysły wciąż nie dawały jej spokoju.

Na zlecenie Deryły informatycy za pomocą specjalnych algorytmów przeszukali książki Igora Lubowa pod kątem ich korelacji z fragmentami znalezionymi na strzępach pod powiekami Wilskiej. Najwyższa zgodność wynosiła niespełna sześćdziesiąt procent przy sześciu wyrazach, więc trudno było mówić o tożsamości.

Dane o parze, która przysposobiła Lubowa, nadeszły dwa dni po zadanym zapytaniu. Jacek i Zofia Janiccy zostali skazani, choć ostatecznie żadne z nich nie trafiło za kraty. Rozwiedli się. Mężczyzna zmarł dwa lata temu, natomiast kobieta od prawie pięciu lat przebywała w jednym z domów opieki. Ze względu na stan zdrowia rozpytanie jej na jakąkolwiek okoliczność było niemożliwe.

Poza Lubowem para swego czasu wychowywała łącznie troje dzieci: dwóch chłopców i dziewczynkę. Jeden z chłopców mieszkał na stałe w Stanach Zjednoczonych i nic nie wskazywało na to, by w ciągu ostatniej dekady choć raz wrócił do Polski. Drugi popełnił samobójstwo w wieku szesnastu lat. Powiesił się w Starym Gaju, co zrzucano na karb depresji wywołanej między innymi problemami z własną orientacją seksualną. Dziewczynka miała obecnie trzydzieści osiem lat i mieszkała w Warszawie. Zgodnie z pośpiesznie uzyskanymi informacjami była współwłaścicielką przedszkola.

Ogólnie żadne z uzyskanych przez śledczych danych nie wykazywały jakiegokolwiek związku z zabójstwem Eleny Wilskiej. Jej sprawa wydawała się całkowicie odosobnionym przypadkiem. Jedyne plusem była cisza, jaka panowała w mediach. Dziennikarze najwyraźniej nie chcieli wywoływać burzy, mając jeszcze mniej informacji. Najwyraźniej sprawa nie kwalifikowała się do statusu sensacji i poza kilkoma notkami nie odbiła się niemal żadnym echem.

Wreszcie nadszedł pewien przełom.

Deryło rozparty w fotelu patrzył za okno gabinetu. W oddali widać było zarys Starego Miasta oraz dominującej nad nim Wieży Trynitarzkiej. Z tej perspektywy znacznie przewyższała Bramę Krakowską, a przede wszystkim była od niej mocniej oświetlona.

Po niebie przesuwaly się ciężkie, stalowe chmury. Zapowiadało się na deszcz lub pierwszy w tym roku śnieg. Zimny wiatr, jęcząc, przeciskał się przez szczelinę okna.

Przed kwadransem Haler przysłała do komisarza z kilkoma wymagającymi jego podpisu raportami. Deryło nawet ich nie przejrzał. Pograżony w zamyśleniu nagryzmolił parafki, nie siląc się na ich rozwinięcie.

Rozmowa również się nie kleiła. Tamara zabrała się do porządkowania piętrzących się na biurku Deryły dokumentów. Komisarz i tak do nich nie zaglądał, a stosy stawały się niebezpiecznie wysokie, grożąc w każdej chwili zawaleniem. Przy okazji mogłyby kogoś pogrzebać żywcem.

– Istotne, że nie ma kolejnych ofiar. – Deryło ponownie odwrócił się od okna i przysunął do biurka. – To akurat dobra wiadomość.

Haler nawilżyła opuszkę palca i przełożyła kilka kartek.

– Albo nic o nich nie wiemy.

– To znaczy?

– Morderca wciąż może rozgrywać swoją turę gry.

– Mówisz tym swoim mentorskim tonem, jakbyś już zawyrokowała, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. A może to tylko incydent? – Deryło wyrzucał z siebie słowa coraz szybciej, jakby zaklinał rzeczywistość. – Może śmierć tej kobiety to kompletnie banalna sprawa, którą sprawca ukartował na wybryk szaleńca? Skąd wiesz, że ktoś jeszcze zginie? Pracowałem przy co najmniej kilkunastu makabrycznych zabójstwach, które sprowadzały się do kłótni przy kieliszku. Rozumiesz? Do cholernej kłótni po przeholowaniu wódki, a widząc stan zwłok, pomyślałabyś, że w mieście pojawił się Ed Gein albo Kuba Rozpruwacz.

Haler westchnęła. Doskonale wiedziała, że komisarz nie ma żadnych wątpliwości co do charakteru sprawy, lecz stara się chwytać każdej nadziei. Robił to za każdym razem, jakby w ten sposób chciał przekonać samego siebie, że świat nie jest tak popieprzony, na jaki wygląda. Postanowiła być jednak bezlitosna.

– Po pierwsze, gdyby to była kłótnia przy kieliszku, sprawcą powinien być ktoś z najbliższego kręgu ofiary – stwierdziła swym rzeczowym tonem. – Sprawdziliśmy wszystkie osoby wskazane przez Wilskiego i chyba zgodnie skreśliliśmy je z listy podejrzanych. Zresztą Wilski też jest czysty.

– Chyba że kogoś wynajął...

– Nic na to nie wskazuje. Poza tym nie mamy najdrobniejszego motywu.

Deryło jakby zrozumiał swą chwilową naiwność. Odchylił głowę do tyłu i ciężko sapnął.

– Swoją drogą, śmierć nastąpiła wskutek rozmyślnego, długotrwałego katowania, a nie od pojedynczego ciosu młotkiem... To nie była nawet ich zadana w amoku seria. Poddaję się.

– Właśnie. Psychologicznie wszystko wskazuje na wielokrotnego albo seryjnego mordercę.

– Nie czekaj, aż dopytam o różnicę, bo ją znam.

Haler uśmiechnęła się i ponownie zabrała do segregowania dokumentów. Przekładała je z jednej do drugiej koszulki, układając w sobie tylko zrozumiały sposób. Komisarz nie miał nic

przeciwko temu, bo do akt niemal nie zaglądał. Każdą ich linijkę Tamara była w stanie dosłownie wyrecytować. Być może przyswajała treść właśnie w trakcie segregowania.

Sam sięgnął po kartkę papieru, ale zaraz ją odłożył. Pochłonięty myślami poruszył myszką, rozjaśniając ekran komputera. Przez kolejnych kilka minut bezmyślnie przeglądał najnowsze wiadomości na Gońcu Lubelskim.

Nagle jego wzrok spoczął na linku do jednego z newsów. Pośpiesznie kliknął. Nowa karta wczytywała się bardzo powoli i Haler dostrzegła grymas nerwowego wyczekiwania na twarzy komisarza. Natychmiast wychyliła się, zerkając na ekran. Gdy strona się załadowała, Deryło momentalnie przebiegł wzrokiem nagłówek.

– Niech to szlag – zaklął i zerwał się od biurka. – Chyba jak zwykle miałaś rację.

– Musisz zniszczyć swoje demony. – Clown zamachnął się młotkiem jak kijem golfowym. – Musisz uderzyć je niczym piłeczkę i wybić daleko od siebie. Choć ten żart brzmi lepiej po angielsku. Wiesz, co znaczy *balls*?

Zakonnik skinął głową. Jego nogi były rozchylone i przytrzymał je sznur. Nie miał na sobie żadnej bielizny. Po twarzy spływał mu pot. Napięte mięśnie klatki piersiowej drżały, przesuając się pod skórą. Zza knebla wydobywał się charkot.

– Pożądanie to jeden z grzechów. Choć nigdy nie zrozumieć dlaczego. Czy w Biblii nie napisano „idźcie i rozmnażajcie się”? Sednem świata jest rozmnażanie dobrych genów, a ludziom usiłuje się wmówić, że Bóg odebrał to prawo swoim najwierniejszym sługom.

Clown pokręcił teatralnie głową, po czym cicho zagwizdał. Nagle nachylił się tak, że jego maska znalazła się tuż przed twarzą zakonnika. Głęboko wciągnął powietrze.

– Szaleństwo. Musisz mi wybaczyć, że cytuję z pamięci, ale nie wziąłem ze sobą książki. Trudno się przygotować na każdą okazję. Nie przewidziałem, że dorwę akurat zakonnika. To zabawne. Nie sądzisz?

Odpowiedzią był coraz głośniejszy charkot. Duchowny szeroko rozwarł oczy, a z jego nosa ciekł śluz.

– W każdym razie zepsułeś mi część zabawy. W *Upiornym śnie* klecha rozwiązał trzy zagadki, a ty poległeś już na pierwszej. „Słyszysz go, a nie widzisz. Spotkasz, lecz nie schwytasz. Dla jednych dobrem on, dla innych czystym złem”. Kim jest?

Charkot zamienił się w rżenie. Zakonnik drżał.

– To wiatr, ty idioto!

Clown błyskawicznie się przesunął i chwycił jądra duchownego. Przycisnął je do podłoża, po czym zamachnął się młotkiem.

Pierwsze uderzenie spowodowało niemal agonalny spazm dręczonego. Zakonnik odchylił głowę do tyłu, a jego twarz gwałtownie poczerwieniała.

Drugie uderzenie zmiażdżyło jedno z jąder. Moszna gwałtownie obrzękła, a z członka trysnęła krew. Duchowny przeraźliwie się szarpał, lecz więzy były zbyt mocne.

Trzecie uderzenie clown zadał pod kątem i młotek rozdarł skórę moszny. Wokół było coraz więcej śluzu i krwi. Zwieracze duchownego popuściły, co rozszerzyło oprawcę. Tłukł niemal na oślep, kilkakrotnie uderzając w podłogę. Wpadł w furję. Nagle się wyprostował i wyrwał z ust zakonnika knebel. Ten nie zdążył wydać z siebie żadnego dźwięku. Potężny cios młotka wybił mu kilka zębów oraz naruszył policzek. Krew ściekała po gęstej brodzie, do której przywarły fragmenty białego szkliva. Dwa wybite niemal w całości przednie zęby przykleiły się do podbródka duchownego.

Clown był w amoku. Uchwycił podbródek ofiary i natarł na niego kolaniem. Gdy zakonnik bezwładnie upadł na ziemię, z całej siły rozwarł mu usta. Nie bacząc na krew, kawałki zębów oraz przygryzionych policzków, chwycił jego język. Usiłował go wyrwać, lecz ten się mu wymykał. Choć przed chwilą był wysuszony od knebla, teraz ślizgał się w krwi.

– Ty sukinsynu! – Clown trząsał się z wściekłości. – W książce zostały rozwiązane trzy zagadki, a ty nie odpowiedziałeś na żadną! Ale nie martw się, pomogę ci. Będiesz mógł się skupić na medytacji. Już nigdy nie przeszkodzi ci w tym erekcja. Teraz zajmujemy się nieumiarkowaniem

w jedzeniu i piciu. To również grzechy, prawda?

Wreszcie półżywy zakonnik przestał stawiać opór. Wysunął język, a wtedy clown zdzielił go z całej siły w podbródek. Zęby zgrzytnęły i mięsista tkanka potoczyła się po zakrwawionej brodzie. Zakonnik jęknął. Chwilę później stracił przytomność.

– To dopiero początek – syknął clown. – Przewód pokarmowy jest naprawdę długi. Dziś pozbawimy cię wszystkich pokus. Dokładnie tak, jak w książce.

– Skoro tak się śpieszymy, może pojedźmy motocyklem...

Deryło łypnął na Halera spode łba i wskoczył do kabiny pocziwego Citroëna. Ku jego satysfakcji samochód odpalił już za pierwszym razem. Po chwili podkomisarz zajęła miejsce pasażera, a chwilę później auto wytoczyło się z parkingu komendy.

– Możesz mnie oświecić, co zobaczyłeś? Zdążyłam tylko przeczytać nagłówek działu o zaginionych, a potem musiałam cię gonić.

– Przed trzema dniami zaginał franciszkanin. Kwestował na Starym Mieście, a potem stracono z nim wszelki kontakt. Nie zjawił się na noc w klasztorze.

– Może uznał, że za pieniądze z puszki urządzi się lepiej niż zamknięty za murami?

– Nie sądzę. Po prawie dwudziestu latach w zakonie już raczej za późno na podobne pomysły.

Poza tym...

Deryło poprawił się w fotelu i dodał gazu. Silnik Citroëna wydał z siebie nieprzyjemny warkot. Samochód zaczął powoli nabierać prędkości, lecz mimo wszystkich wysiłków komisarza przejechali skrzyżowanie już na czerwonym świetle.

– Skoro zaginał trzy dni temu, parę sekund nas nie zbawi – zrugła go Halera. – Do tego... – Spojrzała na przełożonego i zmrużyła oczy. – Chyba wiem, dlaczego ci tak śpieszno. Szukasz nawiązania do *Zbiczczeszczanego*?

– Mhm.

– Ale w tej książce Lubowa zakonnikowi udaje się przeżyć.

– Właśnie. Dlatego ciągle wierzę, że mamy szansę...

Deryło robił, co mógł, by wycisnąć z Citroëna ukryte pokłady mocy. Jak na złość te nie chciały się objawić. Droga do domu zakonnego, w którym zaginiony miał do dyspozycji pokój, zajęła policjantom prawie pół godziny. Połowę czasu stracili na przebudowywanym rondzie Honorowych Krwiodawców, choć nie było to dobre usprawiedliwienie.

Gdy się wylegitymowali, wysoki, lekko przygarbiony ksiądz nakazał im chwilę zaczekać. Wykonał kilka telefonów, wreszcie zaprosił ich do kolejnego pokoju. Było to spore, przestronne pomieszczenie wypełnione zapachem kadzidła oraz wilgoci. Największą uwagę przykuwał w nim zawieszony na ścianie wielki krzyż z figurą udręczonego Chrystusa. Biblioteczka, biurko i kilka obrazów sprawiało przy nim wrażenie wyjętych z domku dla lalek. Przez wysokie, łukowate okna do środka wpadało sporo światła, w którego promieniach widać było drobinki unoszącego się w powietrzu kurzu.

Zza biurka powstał stary, pomarszczony mężczyzna w sutannie. Strzepnął z rękawa niewidzialny pyłek, po czym obrzucił policjantów uważnym spojrzeniem. Jego błękitne oczy lustrowały ich przez kilka sekund. Wreszcie wskazał im dwa proste krzesła naprzeciw biurka.

– Usiądźcie, proszę.

Tamara i Deryło zajęli miejsca. Po chwili komisarz przeszedł do rzeczy, wyjaśniając powód ich wizyty. Ksiądz najwyraźniej został już o niej uprzedzony, gdyż na biurku miał przygotowaną teczkę z papierami. Na wierzchu za gumką znajdowało się zdjęcie zaginionego.

– Brat Mateusz miał kwestować na rzecz remontu prezbiterium w kościele Miłosierdzia Bożego – wyjaśnił. – To zabytkowy budynek, którego strop wzniesiono nietypową techniką łącz...

Deryło niecierpliwie wszedł mu w słowo.

– O której godzinie po raz ostatni mieliście od niego jakąś informację?

– Brat miał ze sobą telefon komórkowy, ale ten rozładował się, więc oddał go innemu bratu.

– Pytałem o godzinę.

– Około dziewiętnastej. Powiedział, że odbierze telefon kolejnego dnia rano i się pożegnał.

Zamierzał kwestować, aż na rynku nie będzie już żadnych ludzi.

– O tej porze roku o dwudziestej drugiej jest już prawie pusto... Przynajmniej nie w weekend.

A o ile dobrze liczę, brat Mateusz zaginął w poniedziałek.

– Zgadza się.

Haler złożyła dłonie na kolanach i pochyliła się w stronę księdza.

– Czy wcześniej zdarzało się coś podobnego?

– Co ma pani na myśli?

– Zaginięcie lub dłuższa, niezgłoszona nieobecność jednego z braci. Brak kontaktu z zakonem, przełożonymi i innymi duchownymi...

Ksiądz pokręcił głową.

– Nie. Nigdy. Nawet w przypadku porzucenia życia kapłańskiego zawsze wszystko odbywało się zgodnie z procedurą ubiegania się o dyspensę oraz...

– Wiadomo, jaką kwotę mógł zebrać brat Mateusz?

Kolejne wejście w słowo Deryły ksiądz odebrał z wyraźną irytacją. Wyprostował się i obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Opanował nerwy, po czym odezwał się jedynie lekko wzburzonym tonem.

– Na każde z tych pytań już odpowiadałem.

Deryło wymienił z Haler zakłopotane spojrzenia.

– Co takiego? – bąknął zaskoczony. – Komu?

– Zaginięcie zostało formalnie zgłoszone na policję oraz do mediów. W obu przypadkach zasugerowano, że to może być wynik ostatniej emisji tego filmu o pedofilii wśród księży. Opętańcza nagonka. – Ksiądz w geście rezygnacji rozłożył dłonie. – A że brat Mateusz udzielał się w kółkach wsparcia najmłodszych wiernych, sam nabrałem pewnych wątpliwości. Rozumiecie chyba państwo...

Deryło sapnął. W jego umyśle zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza.

– Podejrzewał go ksiądz o molestowanie dzieci?

– Broń Boże! – Duchowny gorąco zaprotestował. – Na myśli miałem jedynie ogólną atmosferę i zwątpienie, które pewnie rodzi się w sercach wielu braci. Przecież to naturalne, jeśli jest się ze wszystkich stron atakowanym. Pan Bóg wystawia nas na próbę.

Kiedy kilka minut później Haler oraz Deryło opuścili dom zakonny, komisarz był wściekły. Na sztywnych, lekko zdrętwiałych nogach zmierzał do citroëna. Parskał i sapał.

– Co za dureń nie przekazał tego do naszego wydziału?! Czemu ta sprawa od razu nie trafiła na moje biurko?

– Znacznie bardziej piekliłbyś się, gdyby zarzucono cię każdym raportem o zaginionych.

Deryło nic nie powiedział. Wsiadł do auta i z impetem trzasnął drzwiami. Szyba dosłownie zabrzęczała w metalowej ramie. W tym samym momencie rozległy się tony sarabandy Haendla i komisarz sięgnął do kieszeni. Zerknął na wyświetlacz, po czym pośpiesznie odebrał.

– Ja pieprzę... – wycedził po pierwszych słowach dzwoniącego. – Już tam jadę!

– Ciało znalazły dzieciaki, które jeździły na rowerach po lesie... Zgłosiły to rodzicom, ci pojawili się na miejscu razem z całym zastępem znajomych i zanim nas powiadomiono, okolica została pewnie kompletnie zdeptana...

Brzeski szedł obok Deryły i skrzętnie przekazywał wszystko, co usłyszał od patrolu, który jako pierwszy zjawił się na miejscu. Gdy stwierdzono, że ofiarą jest duchowny, a do tego również to, że bez wątpienia doszło do zabójstwa, od razu powiadomiono komisarza. Sprawa nie została jeszcze formalnie powiązana z morderstwem Eleny Wilskiej, ale aspirant nie miał co do tego żadnych wątpiwości.

– Cierpiał tak samo, jak ta kobieta z rzeki – ciągnął. – Na pierwszy rzut oka widać, że zanim zginął, zaserwowano mu cały przegląd tortur...

– Technicy na miejscu?

– W drodze. Mamy co najmniej kwadrans, zanim przyjadą. To tam...

Brzeski wskazał na niewielki jar. Na jego brzegach stało paru policjantów. Znajdowali się w lesie kilkaset metrów od dworca kolejowego Lublin-Zachód. Wybudowana przed paru laty pośrodku niczego stacja nie wydawała się najlepszą inwestycją, przynajmniej ze względów czysto logistycznych. Dawała podróżnym do wyboru albo wędrówkę ulicą wśród bezdroży ku jednemu z lubelskich osiedli, albo spacer po niewielkim lesie, na skraju którego stacja była położona.

Deryło przeskoczył pień złamanego drzewa i odwrócił się, czekając na Halera. Podał jej dłoń, a chwilę później oboje znaleźli się nad dwumetrowym, naturalnym zagłębieniem terenu. Jego krawędzie porastały mech i niska trawa, które w znacznej mierze pokrywała warstwa gnijących liści. Z paru miejsc sterczały korzenie pobliskich drzew.

– Cholera... – Haler zeszła do połowy wysokości zbocza i przykucnęła. Machnęła dłonią, odganiając muchy, które nawet o tej porze roku w jakiś cudowny sposób wyczuły padlinę. – Tego na pewno nie było w żadnej książce. To nie ma nic wspólnego ze *Zbezczeszczonym*...

Na makabrycznie okaleczone ciało zakonnika jedynie zarzucono habit. Niemal całe dno wąwozu wypełniały wnętrzności. Wyrwane z jamy brzusznej jelita dosłownie rozlały się niczym mieszanka podrobów. Z częściowo przysłoniętej klatki piersiowej sterczały postawione na sztorc żebra. Do niektórych z nich przyczepiły się długie strzępy skóry oraz ścięgien. Kawałki innych organów wały się wszędzie wokół. W kontraście do nich twarz zakonnika była wyjątkowo biała. Również na niej widniały ślady obrażeń.

– Zamordowano go gdzieś indziej. – Haler przygryzła wargę. – Tu jest zbyt mało krwi. Ciało zostało przetransportowane, a cała scena odpowiednio zaaranżowana zapewne dziś w nocy.

– Jesteś tego pewna? – Deryło założył ręce na piersi. Razem z Brzeskim stali na samym skraju jaru.

– Tak. Nawet obstawiam, że już nad ranem. Nie ma śladów, aby tą apetyczną mieszanką zajęły się dzikie zwierzęta. Poza paroma zimowymi muchami, rzecz jasna.

Tamara zsunęła się jeszcze niżej i naciągnęła na dłoń rękaw bluzki. Przez tę prowizoryczną osłonę dotknęła odrzuconej na bok dłoni zmarłego.

– Przy takich obrażeniach trudno odnosić się do stężenia pośmiertnego, ale moim zdaniem to jeszcze nie ustępuje. Zgon nastąpił nie później niż wczoraj wieczorem. A nawet bliżej północy.

– Masz jakiś pomysł, co było bezpośrednią przyczyną?

– Mam jakieś sto pomysłów.

Deryło westchnął. Zmrużył oczy i zrobił kilka kroków w bok.

– W ogóle czy to na pewno ten nasz brat Mateusz? Nie przypatrzyłem się dobrze jego zdjęciu...

– Nie mam żadnych wątpliwości.

Deryło w pełni polegał na fotograficznej pamięci Tamary. Skoro ta uznawała coś za pewnik, musiało tak być.

Gdy po paru minutach podkomisarz ruszyła w górę jaru, nachylił się i pomógł jej z niego wyjść.

– Morderca się rozkręca... – sapnął. – Lubow mordował co parę miesięcy, a teraz mamy ofiarę co parę dni. Bestia stała się jeszcze bardziej bestialska.

Haler przygryzła wargę i rozejrzała się po okolicy. Przez chwilę wodziła wzrokiem wśród bezlistnych koron drzew.

– Być może zabił spowodowany tym artykułem, który czytałeś. To interakcja, o której zawsze mówię, a którą twórcy podręczników o psychologii morderców zbyt rzadko biorą pod uwagę. Wywołuje sprzężenie zwrotne i presję na morderczy instynkt.

– Może. – Deryło wzruszył ramionami. Jeszcze raz łypnął na zmasakrowane ciało zakonnika i się odwrócił. Przebiegł go nieprzyjemny dreszcz. – Przynajmniej zyskał pewność, że rzeczywiście mamy do czynienia ze sprawcą seryjnym, a nie incydem przy kieliszku...

Gdy tylko Haler i Deryło zjawili się na komendzie, komisarz został wezwany przed oblicze Knapa. Tamara chciała iść z nim, lecz w końcu dała się przekonać, że to głupi pomysł. Kupiła w automacie kawę i pogrążona w myślach snuła się korytarzami komisariatu. Wreszcie zaszyła się w gabinecie.

Aby uporządkować chaotyczne skojarzenia, potrzebowała konstruktywnej rozmowy. Burzy mózgów lub merytorycznej wymiany zdań z profesjonalistą. Uznała, że na to pierwsze nie ma czasu. Tym bardziej że przypomniała sobie o zanotowanym niedawno kontakcie do specjalisty, który w ostatnim czasie zyskiwał coraz większy rozgłos. Pośpiesznie odszukała w telefonie kontakt do profilerka Oresta Remberta. Przed paroma miesiącami głośno było o jego roli w rozpracowaniu działającego w okolicach Gdańska mordercy, którego sprawę wiązano z grobami sprzed wielu lat. Analogii do lubelskiego śledztwa nie trzeba było się zbyt długo doszukiwać.

Dopiła kawę i wybrała numer stacjonarny. Po chwili usłyszała melodyjny, kobiecy głos.

– Komisarz Liza Langer, słucham?

– Dzwonię do doktora Remberta...

– Ach tak... – W słuchawce rozległy się trzaski i stłumiony przez odległość krzyk: – Do jasnej cholery, zatrzymaj tę pieprzoną kołyskę! Tłucze mi się to w mózgu! Jakaś babka do ciebie.

Kilka sekund później powitał ją rozchichotany mężczyzna. Jego dobry humor ulotnił się momentalnie, gdy Tamara przedstawiła mu, w jakiej sprawie dzwoni. Po jej ogólnym nakreśleniu Rembert poprosił o chwilę do namysłu. Następnie w dość chaotycznej formie rzucił kilka uwag co do podobnych śledztw i gładko przeszedł do statystyk.

– Swego czasu FBI przeprowadziło badania, z których jednoznacznie wynikało, że seryjni zabójcy to pierworodne dzieci. Prawdopodobieństwo oscyloowało wokół około osiemdziesięciu procent...

– Igor Lubow był wychowywany w domu dziecka, a następnie przez rodzinę zastępczą.

– Jednak jego chyba nie bierzemy pod uwagę?

– No tak. – Haler sama przed sobą nie potrafiła wyzbyć się podejrzenia, że jakimś cudem od lat wciąż grasuje ten sam morderca.

– Wspomniała pani, że ciało tej kobiety zostało odnalezione w jakimś kanale, prawda?

– Zgadza się. W ścieku deszczowym...

– Czy na pani oko to oczywiste miejsce na podrzucenie zwłok?

– Chyba nie rozumiem.

– Wspomniała pani o dopasowywaniu zbrodni do fabuły książek, ale kanałów w Lublinie zapewne nie brakuje. Można się na nich skupić. Chodzi mi o to, czy widząc to miejsce, od razu nasuwa się skojarzenie, że właśnie w nim można spokojnie pozbyć się ciała i jednocześnie pozostać niezauważonym.

Haler zastanowiła się przez moment.

– Nie. Chyba nie. Wybrałabym mnóstwo innych miejsc...

– Wobec tego sugeruję skupienie się na podejrzanych mieszkających w pobliżu. Kolejna statystyka dowodzi, że pierwsza ofiara zostaje zamordowana lub jej zwłoki są porzucone w terenie bezpiecznym dla sprawcy. Może w pobliżu mieszkać, pracować albo chodzić na spacer...

– A to ciekawe. Akurat z tymi danymi spotykam się po raz pierwszy i muszę przyznać, że nie do końca mnie przekonują.

– FBI wciąż oficjalnie nie publikuje większości swoich analiz. Interpol zresztą też.

Rembert nie zdradził, skąd miał dostęp do „nieoficjalnych” danych, a Tamara nie zamierzała go o to pytać.

– Proszę również pamiętać, że większość socjopatycznych, seryjnych morderców nie działa impulsywnie. – Profiler wyraźnie się rozkręcał. – Pokrótce opisała mi pani obrażenia dwóch pierwszych ofiar, ale zazwyczaj błędnie zakłada się, że w momencie popełniania czynu działają w amoku. Oni, wręcz przeciwnie, pozbawiają swoje ofiary życia w sposób wyjątkowo przemyślany. W chwili zbrodni mogą zachodzić u nich procesy podobne do transu, lecz to wyjątkowo wyrachowany trans...

– Tak, wiem. Działają według planu i nie pozwalają sobie na odstępstwa.

– Otóż to. Dlatego często, analizując szczegóły, myślimy o tym, że powinni coś zrobić inaczej, niż miało to miejsce. Zastanawiamy się nad tym, czy nie popełnili błędu, a w rzeczywistości rozmaite odstępstwa to właśnie element ich planu.

Haler przymknęła oczy. Intensywnie analizowała słowa gdańskiego profiler. Było w nich coś istotnego, ale nie potrafiła jeszcze nanieść tego na obraz prowadzonego śledztwa. Do rzeczywistości przywołało ją dopiero wymowne chrząknięcie Remberta.

– Pani komisarz?

– Zastanawia mnie jeszcze kwestia naśladowcy – odezwała się po chwili. – Posiada pan procentowe dane dotyczące sprawców o takim charakterze?

– To margines marginesu. Medialny, lecz właściwie zawsze stanowiący pochodną innych przesłanek.

– Proszę jaśniej.

– Mam na myśli to, że podobni sprawcy nie działają tylko po to, by naśladować pierwotnego zabójcę. Ich główną motywacją niemal zawsze jest coś innego. Czasem chcą udowodnić, że potrafią to zrobić jeszcze lepiej, czasem chcą stać się elementem jego legendy... Od odpowiedzi na pytanie, dlaczego naśladują cudze czyny, do ich ujęcia jest zazwyczaj jeden, i to mały, krok.

Haler oparła się plecami o ścianę i nie otwierając oczu, intensywnie myślała. Słowa Remberta podsuwały jej pewien pomysł.

Wtedy profiler powiedział coś, co sprawiło, że poczuła, jak po jej plecach przechodzą ciarki.

Paulina Karska oderwała wzrok od laptopa. Miała już napisane cztery tysiące znaków, a nie dotarła choćby do połowy zamierzonego tekstu. Jak zwykle będzie musiała go okrajać. Naczelný za żadne skarby świata nie zgodzi się, aby przekroczyła narzucony limit. Bez znaczenia był temat, jaki wybrała.

Przetarła oczy i spojrzała za okno. Rozciągał się z niego przyjemny widok na zakątki Starego Miasta. Redakcja „Lubelskiego Faktu” mieściła się w jednej z kamienic przy Jezuickiej. Wychylając się w jedną stronę, mogłaby dostrzec Bramę Krakowską, a w drugą Wieżę Trynitaruską. Patrząc na wprost, widziała zachowane od wieków w niezmienionej formie podwórko oraz ostatnie pozostałości średniowiecznych murów miejskich.

Paulina przeciągnęła się i wstała od biurka.

– Już laba? – zapytał siedzący przy biurku obok mężczyzna. Mimo że w pomieszczeniu było całkiem ciepło, miał na sobie kraciasty polar, spod którego wystawał kołnierzyk również kraciastej koszuli.

– Muszę zebrać myśli.

– Trafiałaś na coś ciekawego?

– Na nic więcej, o czym byśmy nie rozmawiali.

Enigmatyczna wymiana zdań to było coś normalnego. Każdy zajmował się swoją robotą, ale w poszukiwaniu inspiracji podpytywano współpracowników. Ci, aby samemu nie pozostać w tyle, stronili od uwag. Odkąd naczelný wprowadzili wynikowy system wynagradzania, atmosfera w redakcji przypominała tę z domu pogrzebowego. I podobnie jak w nim, w pomieszczeniach na trzecim piętrze kamienicy najczęściej panowała martwa cisza. Przerywało ją jedynie pikanie komputerów oraz rżenie starych drukarek. Życie odżywało dopiero w pomieszczeniu socjalnym.

Paulina przeszła obok biurka przeraźliwie wychudzonej brunetki, która łypnęła na nią ponad ekranem laptopa. W jej spojrzeniu skrzyła się nieukrywana niechęć. Od tygodni miała do niej pretensje, lecz nie chciała powiedzieć o co. Pieprzyć to. Karska minęła ją, nie zważając na ciche parsknięcie.

Chwilę później nastawiła ekspres do kawy i czekała, aż ten zmieli ziarna. W pomieszczeniu momentalnie rozniósł się przyjemny aromat. W momencie gdy podstawiała pod dyszel filiżankę z firmowym logo, drzwi otworzyły się i do środka weszła brunetka. Była o wiele starsza od Pauliny, a dopiero gdy stała, w pełni dało się dostrzec jej anorektyczną sylwetkę. Ciasny top opinał się na jej płaskich piersiach, a zwężone zapewne rurki zwisały na cienkich jak patyki nogach. Swego czasu Karska podejrzewała, że jej redakcyjną koleżankę może trawić jakaś ciężka choroba, lecz plotka niosła, że ta jest zafiksowana na punkcie diety oraz zdrowego odżywiania. To właśnie rezultaty tego „zdrowego odżywiania” były widoczne jak na dłoni.

– Kawy? – zapytała z niechęcią, jednak szanując różnicę wieku oraz stażu pracy.

Brunetka pokręciła głową. Oparła się plecami o ścianę i splotła ręce na piersi.

– Chciałam tylko pogadać.

– O czym?

– O zawieszeniu broni.

Paulina podejrzliwie łyknęła na koleżankę. Upiła łyk gorącej kawy i odstawiła ją na blat szafki.

- Nie rozumiem. – Udała słodką idiotkę.
- Doskonale rozumiesz. Myślisz, że cię nienawidzę, a to nieprawda.
- Jest mi to obojętne.
- Wcale nie.

Brunetka uśmiechnęła się znacząco. Jednocześnie w kącikach jej oczu pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Jesteś naiwna i niedoświadczona. Myślisz, że swoimi tekstami zbawisz świat, ale to tak nie działa.

– Ja...

– Pozwól mi skończyć. Jeśli chcesz się utrzymać w tej redakcji, musisz harować jak wół, ale jednocześnie być bezwzględna. Nie pozwól, żeby tobą sterowano.

– Kto miałby mną sterować?

Brunetka nie odpowiedziała. Sięgnęła po kawę Karskiej i wypila ją haustem niemal do dna. Następnie bezgłośnie opuściła pokój. Paulina chciała za nią pobiec, lecz w ostatniej chwili się powstrzymała. Podejrzewała, do czego pije brunetka. I sprawiło jej to głęboką przykrość.

Zamrugnęła, by się nie rozplakać.

W momencie gdy Tamara rozmawiała z Orestem Rembertem, Deryło maszerował do gabinetu na piątym piętrze komendy. Na korytarzu minął pyszałkowego inspektora Bickiego. Obrzucił go pogardliwym spojrzeniem i nawet nie odpowiedział na pytanie o samopoczucie.

Chwilę później zapukał do drzwi opatrzonej tabliczką „z-ca naczelnika insp. A. Knap”. Odpowiedziała mu cisza, więc nacisnął klamkę.

Knap jak zwykle siedział za biurkiem i popalał elektronicznego papierosa. Pokój wypełniał sztuczny aromat brzoskwiń, a kolejne kłęby dymu ulatywały ku sufitowi. Wszystkie okna były przy tym jak zwykle zamknięte.

– Chciał pan ze mną rozmawiać?

Deryło, niczym na audyencji, ruszył sztywnym krokiem w stronę biurka. Z Knapem od lat byli na „ty”, lecz w oficjalnych, biurowych sytuacjach komisarz często używał formalnego zwrotu.

– Siadaj.

Knap ciężko westchnął, ale z przejściem do konkretów zaczekał, aż Deryło usadowi się na niewygodnym krześle.

– Czy mi się tylko zdaje, czy drugi raz w ciągu paru dni trafiam na dywanik? – Komisarz splótł ręce na piersi i się uśmiechnął. – Niedługo zacznę poczytywać to za mobbing.

– Cieszę się, że dopisuje ci dobry humor.

– Po prostu wiem, że tym razem to pan został pierwszy poinformowany o odnalezionej ofierze, więc nie może być mowy o żadnym zaniechaniu z mojej strony. Poczucie krytej dupy wprawia mnie w doskonały nastrój.

– Świetnie. – Knap odłożył papieros na plik kartek i spojrzał komisarzowi prosto w oczy. Przez jego szarą twarz przemknął cień lodowatej satysfakcji. – W takim razie mam nadzieję, że tego nastroju nie zepsuje ci również fakt, że poprowadzisz konferencję prasową.

Deryło momentalnie spowaźniał. Wytrzymał spojrzenie Knapa i gniewnie prychnął.

– To żart? Powinniśmy trzymać tę sprawę jak najdalej od mediów. Druga ofiara została odnaleziona wkrótce po tym, jak pismaki poinformowały o jej zaginięciu.

– Dlatego nie możemy już dłużej niczego ukrywać. Swoją drogą, nie ma pan chyba wątpliwości, że to ofiary jednego sprawcy?

Komisarz obrócił między palcami sesterce. Przez głowę momentalnie przebiegło mu kilka teorii spiskowych. To, że minął się w korytarzu z Bickim, jeszcze je potęgowało. Podinspektora od lat stawiano w roli następcy Knapa, ale czasem przewijały się głosy, że powinien nim zostać właśnie Deryło. Tyle że ten nie miał na to najmniejszej ochoty. Mimo to Bicki mógł się czuć zagrożony.

– Chcecie mnie wystawić? – Komisarz pochylił się ku Knapowi. – O to chodzi?

– Nikt nikogo nie zamierza wystawiać.

– Wobec tego niech pan przekaże to rzecznikowi. To jego robota.

Inspektor pokręcił głową. Ponownie wziął papieros, ale się nie zaciągnął.

– Ty jesteś gwiazdą i prowadzącym śledztwo. Musimy cię pokazać – zawyrokował. – Udobruchamy wiele dusz, a przy okazji sprawimy radość mediom, które dopytują się o „bohaterskiego komisarza”.

Ostatnie dwa słowa inspektor wypowiedział z emfazą. Albo tak się tylko Deryło zdawało.

W każdym razie po latach dobrych, wręcz serdecznych stosunków ich relacja staczała się po równi pochyłej. I nie była to jego wina. Słyszał mnóstwo historii o gliniarzach gorzkniejących z dnia na dzień w ostatnich tygodniach służby. Teraz miał przed sobą dobitny przykład.

Podniósł się z krzesła i skierował do wyjścia. Zgarbił się jak byk szykujący się do ataku.

– Pieprzę to... – syknął, chwytając klamkę. – Mam być królikiem wyciąganym z kapelusza dla udobruchania społeczeństwa?

Zerknął na Knapa. Inspektor spokojnie rozsiadł się w fotelu i wypuścił kłąb dymu.

– To rozkaz.

– Skoro tak, rozkazom się nie odmawia.

Deryło uśmiechnął się pogardliwie i wyszedł.

Konferencja przypominała cyrk albo przynajmniej niezły stand-up. Przybyło na nią kilkudziesięcioro dziennikarzy, którzy stłoczyli się w pomieszczeniu wielkości niewielkiej kawalerki. Deryło rozmyślnie wybrał mniejszą z dwóch dostępnych sal. W razie czego zamierzał się tłumaczyć nieprzewidzeniem takiego zainteresowania.

Po krótkim wstępie Róży-Burzy, czyli rzeczniczki komendy, wygłosił krótkie, ironiczne oświadczenie, po czym zgodnie z zaleceniem Knapa zgodził się odpowiedzieć na kilka pytań.

– Oczywiście łączymy obie sprawy – wyjaśniał szpakowatemu dziennikarzowi w okrągłych okularach. – To w końcu zabójstwa, a jak pan wie, mają one zawsze wiele wspólnego. Ktoś pada ich ofiarą. A samo to czyni je odpowiednio istotnymi, aby traktować je ze szczególną starannością i łączyć ze sobą.

Ta bezsensowna odpowiedź uciszyła dziennikarza i pobudziła wszystkich pozostałych.

– Czy mają jakieś cechy wspólne? – dopytała młoda, krępa kobieta z dyktafonem.

– Już odpowiedziałem na to pytanie. Cechą wspólną są, rzecz jasna, martwi ludzie.

– I nic więcej? *Modus operandi* sprawcy albo...

Deryło nie pozwolił jej skończyć.

– *Modus operandi*? – Udał zaskoczonego. – To chyba łacińska nazwa jakiejś potrawy albo, co gorsza, napitku? Choć przyznam, że brzmi okropnie.

Kilka osób nerwowo się zaśmiało, ale większość jedynie wymieniła porozumiewawcze spojrzenia. Komisarz nie zamierzał całkowicie przeholować.

– Mówiąc poważnie... – odezwał się po chwili – dopiero analizujemy elementy wspólne. Ciało zaginionego zakonnika zostało odnalezione dosłownie przed kilkoma godzinami, na miejscu wciąż trwają prace kryminalistów. Więcej będziemy mogli powiedzieć dopiero, gdy zostaną przebadane zebrane tam ślady. Tyle że to potrwa.

– A pana zdaniem?

– Nie uważam się za uprawnionego do szafowania własnymi przemyśleniami. Choć, zdaje się, przed chwilą właśnie to zrobiłem.

W sali ponownie rozległy się nerwowe chichoty. W stronę podestu, na którym stał komisarz, ktoś wyciągnął mikrofon z kostką jednej z najbardziej opiniotwórczych stacji informacyjnych – IiN. Deryło zerknął na ubraną w biały kostium młodą dziennikarkę. Była to ładna, elegancka kobieta, która często przewijała się w telewizji oraz prasie.

– W jaki sposób się pan odniesie do sugestii, jakoby Igor Lubow był niewinny, a ostatnie ofiary to dzieło mordercy zabijającego od blisko dekady?

A więc jakimś cudem i ta teoria przeciekła już do mediów. Być może właśnie dlatego Knap naciskał na zorganizowanie konferencji prasowej, a co więcej – może za przeciek odpowiadał on sam lub Bicki. Deryło, zastanawiając się nad odpowiedzią, pośpiesznie rozważał oba te scenariusze. Choć na pierwszy rzut oka wydawały się nieprawdopodobne, w gruncie rzeczy żaden z nich niczego nie ryzykował. Komisarz już dawno nauczył się, że na komendzie nie istnieją przyjaźnie. No, może z paroma wyjątkami.

Odszukał wzrokiem Haler. Tamara stała w rogu pomieszczenia, przypatrując się jego wystąpieniu. Mimo że znajdowała się w półmroku, w jej spojrzeniu wyczuł przyganę. Zapewne nie

pochwalała jego błazeństw ani tumiwisizmu. Była zbyt skrupulatna i zbyt poważna. Jednocześnie wiedział, że może jej w stu procentach zaufać. Westchnął i powstrzymał się przed kolejną głupawą odpowiedzią.

– Muszę pozostawić to pytanie bez komentarza.

– Ale...

– Proszę nie drażnić. To informacje mające szczególne znaczenie dla przebiegu śledztwa.

– W takim razie skąd to podobieństwo do mordów z jego książek? Chyba śledczy mają jakieś koncepcje i mogą...

Deryło przestał słuchać. Jego wzrok skupił się na dziennikarzu stojącym tuż obok drzwi. Około czterdziestoletni mężczyzna z pociągłą twarzą ubrany był w trzyczęściowy staromodny garnitur. Spod marynarki błyskała dewizka zegarka oraz czerwone paski szelek. Do kieszonki miał wsuniętą purpurową poszetkę.

Komisarz zmrużył oczy. Przez jego głowę momentalnie przetoczyło się skojarzenie z jedną ze scen z książek Lubowa. Występował w niej dokładnie tak ubrany mężczyzna. To nie mógł być zwykły przypadek.

Przeprosił i zszedł z podestu. Jakby nigdy nic skierował się do drzwi, po czym nagle rzucił się w pościg za nieznanym.

– Co ci odbiło? – Knap kręcił głową.

Przechadzał się w tę i we w tę po gabinecie. Haler siedziała na jednym krześle, a Deryło na drugim.

– Wyjść w środku konferencji? To wyglądało, jakbyś za kimś wybiegł...

– Bo tak było.

– Co takiego?

Tamara i inspektor bacznie spojrzeli na Deryłę. Ten odchylił głowę do tyłu i przymknął oczy.

– Chyba mi ciągle paruje łepetyna – bąknął rozdrażniony. – Przemroziło mi parę styków, a teraz ciepło doprowadziło do zwarcia.

– Robisz sobie jaja, prawda? – Knap w końcu usiadł na fotelu i z wściekłością odsunął dokumenty. – Mam nadzieję, że Róża cię wytłumaczy.

– Jestem o tym przekonany.

– Ale...

– Mam omamy i dopasowuję świat do wymyślonej rzeczywistości. Jednak nie ma to wpływu na mój osąd prowadzonego śledztwa.

– To tylko twoje zdanie.

Haler odchrząknęła, gotowa interweniować.

– Przez ostatnie dni bardzo intensywnie pracowaliśmy... – zaczęła tłumaczyć siebie i komisarza. – Niemal nie spaliśmy. Wyrabialiśmy nadgodziny jak chińscy robotnicy.

Knapowi nie było do żartów. Zacisnął usta i po raz kolejny gniewnie pokręcił głową. Machnięciem dłoni dał znać, że mogą zniknąć mu z oczu.

Gdy znaleźli się na korytarzu, Tamara natychmiast zatrzymała się przy Deryle. Uważnie spojrzała mu w oczy.

– To wszystko wygłupy, prawda?

Komisarz wzruszył ramionami.

– Chyba tak. Ludzie nie rozpływają się w powietrzu, więc nawet na pewno tak.

– Dobrze się czujesz?

– Przestań. – Deryło ruszył ku schodom. – Rembert zwrócił moją uwagę na coś interesującego, więc chciałem jak najszybciej wyjść z tej cholernej konferencji. Nerwowość powoduje omamy, nie wiedziałas o tym?

Haler bezradnie rozłożyła dłonie i popędziła za komisarzem.

– Co znaczy „coś interesującego”?

– To, że wybierzemy się na wycieczkę.

– Ten profiler zwrócił moją uwagę na szczególną grupę podejrzanych. – Deryło wcisnął gaz do dechy, a Citroën wydał z siebie żalosne rżenie. – W pierwszej chwili przeraziłem się, bo może być ich mnóstwo, ale... To zawsze jakiś trop.

– Co to za „grupa podejrzanych”?

– Fani.

Tamara łypnęła na komisarza.

– Fani? Obstawiam, że Lubow mógł mieć ich tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy. Swego czasu był najpoczytniejszym autorem kryminałów w naszym kraju...

– To z pewnością pewne utrudnienie.

– Ale nie wyglądasz na szczególnie zmartwionego. Eryku, wszystko w porządku? Wolalabym, abyś, prowadząc, nie miał omamów...

Deryło zabębnił palcami w kierownicę.

– Uwierz mi, że panuję nad sytuacją. Poprosiłem Remberta, żeby wytypował kogoś, od kogo jego zdaniem moglibyśmy zacząć...

– I?

– W trakcie konferencji prasowej dostałem esemes.

– Możesz przestać być tak tajemniczy?

– Ale w tym nie ma żadnej tajemnicy, tylko banał. Doktorek uznał, że poszukiwania można prowadzić po nitce do kłębka. Zaczynając od kogoś, kto mieszkał w Lublinie, udziela się nadal w internecie na temat Lubowa, ma określony wiek i tak dalej... Dostałem nie tylko imię i nazwisko, ale również adres.

– Skąd?

– Być może Gdańsk ma swoje tajne sposoby działania...

Kwadrans później policjanci zapukali do mieszkania na parterze dwupiętrowego bloku na Sławinku. Otworzył im około trzydziestoletni mężczyzna z podkrążonymi oczami i kilkudniowym zarostem. Miał na sobie wymiętą koszulkę jakiegoś heavymetalowego zespołu, która opinała się na piwnym brzuszku.

– Pan... – Deryło zerknął na komórkę. – Pan Mitura?

– Zgadza się, o co chodzi?

Policjanci pokazali swoje legitymacje. Mężczyzna zmierzył ich wzrokiem i z niechęcią wpuścił do mieszkania. W środku cuchnęło potem, piwem oraz dymem papierosowym. Krótki korytarz prowadził do sporego pokoju z mnóstwem sprzętów elektronicznych ustawionych na dwóch dużych stołach.

– Obsługuje pan NASA czy co?

Deryło usiadł przy jednym z blatów i gestem dał znać, że zamierza rozmawiać właśnie tutaj. Paweł Mitura wskazał Haler na wolne krzesło, po czym sam przyciągnął od drugiego stołu skórzany, obrotowy fotel.

– Jestem grafikiem – wyjaśnił. – Pracuję w domu. Mogę się dowiedzieć, jaki jest powód państwa wizyty? Jestem dość zajęty...

– Wiemy o pańskim zainteresowaniu pewnym pisarzem. – Haler spojrzała mu prosto w oczy. –

Chodzi o Igora Lubowa.

Mężczyzna złożył dłonie na wydatnym brzuchu i poruszył się w fotelu w jedną i drugą stronę. Jednocześnie ani na moment nie spuścił wzroku. Uśmiechnął się.

– Igor Lubow? – Zmarszczył czoło, po czym energicznie kiwnął głową. – Tak, pamiętam. Choć nie nazwałbym tego przesadnym zainteresowaniem.

– A?

– Na zlecenie jednej ze stacji nakręciłem o nim reportaż. Przygotowując się do niego, przeczytałem parę książek, po czym wrzuciłem do internetu recenzje, promo oraz zajawki.

– Zajawki? – dopytał Deryło.

– Zapowiedź wydawniczą najnowszej książki.

Haler rozejrzała się po salonie. Poza stołami ze sprzętem nie było w nim zbyt wielu rzeczy. Niska szafka z kilkoma książkami, szklany stolik kawowy oraz niewielka wersalka. Z pewnością nie był to przytulny salonik mieszkania, w którym gnieździła się zakochana para. Zresztą miejsca było zbyt mało nawet dla dwójki studentów.

– Rozumiem, że te filmiki stały się dość popularne?

– Moje kanały mają spore zasięgi.

– Ale literatura nie jest ich główną tematyką?

– Nie. – Mitura pokręcił głową. Zerknął na ekran jednego z laptopów, a następnie wyciągnął się, by wyłączyć na nim jakąś aplikację. – Po prostu mam swoje sposoby, żeby moje materiały wyświetlały się w jak największej liczbie miejsc i były jak najlepiej pozycjonowane.

– A książki Lubowa? Nadal je pan czyta?

– Nawet ich nie mam. Zapomniałem o nim przez te wszystkie lata...

Deryło westchnął. Działający pośpiesznie profiler skupił się nie na tym, co potrzeba. Przeanalizował wyniki oraz ich popularność, lecz nie samą osobę twórcy. Choć inne czynniki rzeczywiście mogły wskazywać na jego związek ze sprawą – przynajmniej na podstawie statystyk. Wiek, miejsce zamieszkania, stan cywilny...

Haler zerknęła na komisarza i nerwowo przeciągnęła dłońią po udzie. Nagle do głowy przyszedł jej jeszcze pewien pomysł.

– Moglibyśmy obejrzeć ten reportaż? Wiem, że zapewne jest w internecie, ale być może będziemy mieć kilka pytań...

Mitura wzruszył ramionami i nie podnosząc się z fotela, przesunął się do drugiego stołu. Wykonał kilka operacji na komputerze, po czym zgasił pilotem górne światło. Pomieszczenie oświetlały ekrany monitorów oraz dwie lampki, w których plazmowe bąbelki układały się w fantastyczne wzory.

– Na tym.

Mitura wskazał na stojący w kącie telewizor. Po chwili jego ekran rozświetlił się i pokazał się na nim uśmiechnięty reporter.

– Znajdujemy się w domu Igora Lubowa oraz jego muzy Sary Lauro. Bardzo nam miło...

Kamera powędrowała w bok i operator przybliżył ją na twarze dwójki stojących obok siebie ludzi. Lubow wyglądał tak, jak na większości oficjalnych fotografii – schludnie i elegancko, choć ubrany w jeansy oraz koszulkę polo. Sara Lauro miała pofarbowane niemal na biało włosy, krwistoczerwone usta oraz błękitne oczy. Mogłaby uchodzić za bombę seksapilu, lecz było w niej jednocześnie coś niepokojąco odstręczającego.

– Muza Lubowa... – wycedził Deryło.

Wymienił z Haler porozumiewawcze spojrzenia i natychmiast sięgnął po telefon.

– Daj mi spokój, nie chcę już o tym słyszeć.

– Pau...

– Skończ. Po prostu, kurwa, skończ.

Paulina Karska rozłączyła się i schowała telefon. Ten drań znów to zrobił. Mateusz Nowicki – jej przyjaciel, sporadyczny kochanek i przy okazji kumpel z redakcji po raz kolejny podwędził jej temat. Jego tłumaczenia, że zrobił to całkowicie przypadkowo, były idiotyczne. Zachował się całkiem nie fair, tym bardziej że poprzedniego dnia napomknęła mu o swoim artykule.

– Kretyn... – Pchnęła furtkę prowadzącą do swojego segmentu w długim szeregowcu.

Przeszła przez niewielki ogródek i wyciągnęła klucze. Telefon znów zadzwonił. Nie zamierzała odbierać. Weszła do domu, po czym zdjęła kurtkę.

Była już prawie dwudziesta druga, a po całym dniu roboty czuła się kompletnie padnięta. Nawet mimo podniesionego przez tego gnoja ciśnienia wiedziała, że zaśnie, gdy tylko dotknie policzkiem poduszki. Jutro czekało ją jeszcze więcej pracy. Nie zamierzała odpuszczać, gdy zebrała już dość materiałów. Nowicki nie miał dostępu nawet do znikomej ich części. Nie posiadał jej uroku, kontaktów ani umiejętności wyciągnięcia sekretów od najbardziej skrytych osób.

Rzuciła torebkę na krzesło i pomaszzerowała do łazienki. Wzięła szybki, gorący prysznic, po czym powlokła się do kuchni. Przygotowała sobie Croque Madame – jak sądziła, najpopularniejszą francuską zapiekankę. Gotowana szynka, dwie kromki chleba obtoczone rozbełtanym jajkiem oraz posypka z sera gruyère. Do tego jajko sadzone na wierzch i kilka minut w najwyższej temperaturze piekarnika. Pychota.

Gdy skończyła jeść, telefon ponownie się odezwał, lecz go zignorowała. Sprzątnęła naczynia i umyła zęby. Najedzona, niczym lamparcica syta po polowaniu, była gotowa do snu.

Wsunęła się do łóżka i sięgnęła po leżącą na szafce nocnej książkę. Zgodnie z odwiecznym rytuałem musiała przeczytać choćby kilka zdań. Zresztą *Porucznik diabła* wciągnął ją bez reszty. Gdyby nie zamieszanie w robocie, skończyłaby go już poprzedniego dnia. Uwielbiała w trakcie lektury przenosić się w czasie, a Wiedeń z początku XX wieku wydawał się pięknym miejscem. W ferie planowała wypad właśnie do Austrii.

W pewnym momencie przerwała lekturę i zerknęła na komórkę. Przesunęła guzik, wyciszając aparat. Teraz była już gotowa do snu. Odłożyła książkę, po czym zgasiła światło. Momentalnie poczuła ogarniającą ją senność.

Wtedy telefon ponownie zadzwonił. W trybie wyciszenia nadal działała wibracja. Paulina zamrugła i wściekła, że ten sukinsyn odważył się dzwonić o tej porze, przekręciła się na bok. Zwiesiła dłoń po omacku, szukając aparatu. Na podłodze wymacała swoje kapcie oraz ładowarkę.

Przesunęła się bliżej krawędzi łóżka, by wychylić się nad nim i sięgnąć po telefon. Wibracja wznęła się w jej zaspany mózg. Musiała odłożyć komórkę głębiej niż zwykle lub przed chwilą popchnęła ją kapciem.

– Cholera...

Nachyliła się i zajrzała pod łóżko. Ekran telefonu rzucał niebieskawe światło. Na tyle mocne, by kobieta dostrzegła upiornego clowna wpatrującego się prosto w jej oczy.

DZIEŃ NASTĘPNY

Wszelkie dane spłynęły dopiero rano. Sara Lauro nadal mieszkała w położonej tuż pod Lublinem willi, którą przed laty kupił Igor Lubow. Po jego śmierci sytuacja prawna nieruchomości stawała się dość zagmatwana, lecz ewentualni spadkobiercy nie mieli jeszcze czasu podjąć żadnych kroków.

Gdy dojeżdżali do willi, Deryło wykonał kurtuazyjny telefon. Nie chciał dać dawnej kochance pisarza zbyt wiele czasu na przygotowania, a tym bardziej na ewentualną ucieczkę. Musiał dmuchać na zimne. Przytoczone przez Remberta statystyki pokrywały się z tym, o czym przed paroma dniami mówiła Tamara – partnerzy seryjnych zabójców to jedni z najczęstszych naśladowców lub tak zwanych cichych współsprawców. Zresztą historia знаła też całą plejadę morderczych par. Rosemary i Fred Westowie, Raymond Fernandez i Martha Beck, Caril Fugate i Charles Starkweather. Wymieniać można by długo.

Co prawda kartoteka Sary Lauro była czysta, lecz w trakcie procesu pełnomocnicy rodzin ofiar sugerowali, że musiała wiedzieć o przestępczej działalności swojego partnera. Nie odnaleziono jednak na to żadnych dowodów. Co więcej, kobieta do końca utrzymywała, że Lubow był niewinny i pozwolił się zrobić. Ta historia trafiła do wielu plotkarskich czasopism oraz portali. Na pytania, dlaczego sam przyznał się do popełnienia zabójstw, przekonywała, że kogoś chroni. Nie potrafiła jednak wskazać kogo. Komisarz wyrzucał sobie, że nie zwrócił na nią uwagi wcześniej. Skoro nie brał pod uwagę działań samego Lubowa, z kręgu podejrzanych wyleciała mu również jego partnerka.

– Nieźle... – Haler przeciągle gwizdnęła, przyglądając się posesji, przy której parkował Deryło.

Ogrodzona kamiennym murem działka nie była duża, lecz idealnie przystrzyżony trawnik oraz doskonale uformowane rozmaitej wielkości bukszpany robiły wrażenie. Położony centralnie dom miał jedną kondygnację, a jego cała przednia fasada wykonana była z przyciemnianego szkła. Czarny dach niemal w całości pokrywały potężne panele fotowoltaiczne.

Nim policjanci zdążyli sięgnąć do domofonu, elektroniczna furтка przesunęła się z cichym szelestem prowadnic. Do domu wiodła idealnie równa ścieżka z czarnego, lśniącego kamienia. Idąc nią, Deryło miał nieprzyjemne wrażenie, że jest obserwowany zza matowych szyb. Haler musiała mieć podobne odczucie, bo szła znacznie szybciej niż zwykle. Gdy weszli po kilku marmurowych schodkach, fragment szklanej fasady przesunął się i odsłonił przestronne, pełne zieleni wnętrze. Wydawało się, że cały dom jest jedną wielką oranżerią.

Sara Lauro stała wśród niskich, lecz rozłożystych palm. Była ubrana w krótki, satynowy szlafrok, a oczy kryła za okularami z lustrzanymi szklami. Podobnie jak na filmie miała jasne, niemal białe włosy oraz intensywnie czerwone usta.

– Zapraszam, zapraszam. – Machnęła w nieokreślonym geście. – Państwo pozwolicie, że porozmawiamy wśród drzew. W tym domu jest jedynie mała sypialnia i żadnego salonu.

Deryło i Haler jednocześnie wykonali gesty, że miejsce rozmowy jest im całkowicie bez różnicy. Choć w rzeczywistości Tamara wołała obserwować rozmówców, co w trakcie chodzenia było utrudnione, postanowiła przystać na propozycję.

Już po kilku oględnych zdaniach Lauro dobitnie pokazała im, że nie obchodzą jej żadne podejrzenia. Nie siliła się też na przesadną żalobę ani wylewność. Mimo to w każdym jej ruchu tkwiła wystudiowana poza zmanierowanej artystki.

Haler nagle zwolniła kroku i spróbowała zastąpić jej drogę. Mimo to Sara nie zwróciła na nią żadnej uwagi. Jakby nigdy nic przeszła ponad donicą z egzotycznymi kwiatami i przeciągnęła dłonią po liściu drzewa przypominającego miniaturowy miłorząb.

– Nie przestała go pani kochać?

To pytanie sprawiło, że się zatrzymała. Po raz pierwszy przez kilka sekund uważnie przypatrywała się policjantom.

– Nie. Niby dlaczego?

– Został skazany, a w trakcie procesu...

– Przyznał się? – Sara zaśmiała się sarkastycznie. – Jestem przekonana, że znacie państwo moje zeznania oraz zdanie w tej sprawie.

Deryło skinął głową.

– Zgadza się. Ale jakim cudem może pani wiedzieć, że Igor kogoś chronił, a nie mieć pojęcia kogo ani przed kim?

– Po prostu to wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami i wyciągnęła z kieszeni szlafroka paczkę papierosów. Odpaliła jednego, po czym głęboko się zaciągnęła. Haler wydało się, że prócz woni tytoniu wyczuwa lekki aromat marihuany. – Mógł na przykład chronić swoją twórczość.

– To znaczy? Chyba nie rozumiem...

– To znaczy, że przyznanie się do morderstwa mogło stanowić doskonałą okazję, by ta się upowszechniła. Autor mordujący według własnych książek – z perspektywy marketingu brzmi to szalenie dobrze, prawda?

– Pewnie niewiele słabiej niż to, że w ogóle według książek popełniane są zbrodnie. Zresztą Igor Lubow był dość rozpoznawalnym pisarzem, by nie musieć...

Sara obsunęła okulary na czubek nosa i uważnie spojrzała na Deryło. Jej błękitne oczy były zaczerwienione, a źrenice rozszerzone.

– Pan nie rozumie – wycedziła cicho. – Igor nie robił tego dla siebie, a dla swojej twórczości. Jego emocje mogły żyć nawet po jego śmierci, do tego ze zdwojoną siłą. O ile mocniej niż przy zwykłej książce pobudzona jest dusza czytelnika, który wnika w fabułę, którą uważał za fikcję, a potem okazała się rzeczywistością? Tu nie chodzi o analizowanie dawnych i cudzych zbrodni. Emocjonalnie możemy obcować dokładnie z umysłem psychopaty.

– Teraz mówi pani, jakby on jednak popełnił te zbrodnie – odezwała się Haler.

– Kompletnie mnie nie rozumiecie.

– Proszę więc nam to wyjaśnić. – Deryło silił się na cierpliwość. Miał już dość zapachu wilgotnej ziemi, szelestu trącanych co chwilę liści i w ogóle całej kuriozalnej atmosfery tego domu oraz jego gospodyni.

– Igor zyskał możliwość przedłużenia życia swoich książek i wykorzystał ją.

– Przyznając się do zbrodni, których nie popełnił?

– Tak.

– Wobec tego kogo niby miał chronić?

– Już mówiłam. Swoją twórczość, swoich bohaterów i swoje emocje.

Sara zatrzymała się przy ogromnej juce. Dotknęła liścia, sprawdzając, czy nie ma na nim kurzu. Obejrzała pod światło opuszki palców.

Deryło wymienił z Haler porozumiewawcze spojrzenie. Albo ich rozmówczyni była naćpana, albo nawiedzona. Albo, co chyba wydawało się najbardziej prawdopodobne, odgrywała przed nimi teatrzyk.

– Czy mogłaby pani...

Nim komisarz dokończył pytanie, w jego kieszeni odezwała się komórka. Pierwsze takty sarabandy Haendla wybrzmiały wyjątkowo ponuro. Deryło zerknął na wyświetlacz, po czym wykonał

przepraszający gest.

– Muszę odebrać... – wyszeptał, odchodząc na bok.

Przytknął komórkę do ucha, a chwilę później jego twarz wykrzywił gniew.

No, dobrze. Jesteście wy i kartka przed wami. Nic innego już się nie liczy. Napisaście pierwsze zdanie i pewnie macie pomysł na następne. Być może pomysły kotłują się już w waszych głowach. Mam taką szczerą nadzieję.

To dobry moment, aby nabrać oddechu. Musicie poczuć, że naprawdę macie ochotę zmagać się z tekstem. Musicie tego wręcz pożądać. Wstrzymajcie się chwilę i pomyślcie o ekstazie, jaka wam będzie zaraz towarzyszyć. Weźcie to za przygodę. Potraktujcie ten moment jak ten, gdy macie już zarezerwowane wakacje i planujecie, co będziecie podczas nich zwiedzać.

Nieważne, czy będziecie zabierać się do pisania po raz pierwszy czy po raz setny, zawsze bierzcie je za cholerną przygodę. Traktując je tylko jako pracę lub przymus, szybko się wypalicie. Może uda się wam dobrać do końca jednego lub drugiego projektu, lecz w jego treści będzie czuć brak emocji.

Oczywiście, to również ma być wasza praca. Bardzo dobrze, jeśli tak będzie – w końcu macie być swoim panem i niewolnikiem. Ale pamiętajcie, że macie z tej roboty wynieść ogromną przyjemność. Bo mówię wam, nie ma nic lepszego niż móc pisać i utrzymywać się z tego. To w końcu sposób na życie tak samo dobry, jak zawodowe wróżenie z fusów lub gra w karty.

Myślicie, że żartuję? Wcale nie. Część z was zapewne wie, że Fiodor Dostojewski był hazardzistą. Regularnie splotkiwał się do cna, aby i tak zaraz ponownie sięść do stolika. Gracz to nie jest kolejny kliwy moralitet, w którym Rosjanin drwi z Polaków. To dzieło napisane w szaleńczym tempie tylko po to, aby spłacić długi karciane. Zaliczka pozwoliła uniknąć pisarzowi pojedyńku.

Pisanie ratowało od śmierci głodowej Edgara Alana Poego i stanowiło lekarstwo na obłąd Charlesa Dickensa. Nawet Hans Christian Andersen nie ukrywał, że tworzenie – powiedzmy to otwarcie – dość nawiedzonych baśni to forma terapii. Co mógł powiedzieć facet, który kładł się spać z przyczepioną do piersi kartką: „Nie jestem martwy, ja tak tylko wyglądam”? Wielu z was będzie towarzyszył obłąd. To immanentna cecha osób, które pracują wyobraźnią. Nie ustrzegł się przed nim nawet wyrachowany sir Arthur Conan Doyle. Choć stanowił pierwowzór szalenie praktycznego doktora Wattsona, wszystkie pieniądze roztrwonil na seanse spirytystyczne. Gdyby nie wizja bankructwa, być może Sherlock Holmes nigdy by nie zmartwychwstał.

Jesteście biedni? To dobrze. Choć lepiej, żebyście nie wydali na ten kurs ostatniego grosza. To mogłaby być piekielnie nieudana inwestycja, a ja nie zamierzam wam niczego gwarantować. Nie potrafię wywoływać duchów.

Dość głędzenia. Mam nadzieję, że stęskniliście się za pisaniem?

Zabierajcie się do roboty. Zaczniście wypełniać wasz świat wyobraźni konkretną treścią. Pozwólcie, by projektor waszej pomysłowości i waszych emocji zaczął pracować pełną parą. Teraz będziecie grafikami tworzącymi grę z najbardziej otwartym ze światów. Będziecie też graczami, którzy poruszają się po tym świecie nieskończoną liczbą postaci.

Czujecie to?

Macie już pierwsze akapity? Gdzie zapędziła was fabuła? Mam nadzieję, że nie tkwicie na homeryckim opisie miejsca, w którym znajduje się wasz bohater. Pamiętacie o zmysłach? Piszcie za ich pomocą. Wszystko, co nie jest nasiąknięte emocjami, kasujcie. Gdy pojawia się nowa postać, zastanawiajcie się, co o niej myślicie. Oceniajcie ją tak, jak oceniacie nieznanego pojawiającego się

na imprezie, na której też jesteście. Czujcie nienawiść, wstręt lub przeciwnie – sympatię od pierwszego wejrzenia. Możecie zakochać się w tym bohaterze, choć pewnie nigdy nie odwzajemni waszego uczucia. Ale za to, niczym fetyszyści, być może podejrzycie, jak uprawia seks, kładzie się spać, a nawet umiera. Widząc go po raz pierwszy, pomyślcie o tym wszystkim. Być może będziecie towarzyszyli temu człowiekowi w jego ostatnich chwilach. A to nigdy nie jest bez znaczenia. Połączy was najbardziej intymna z więzi. Każdy bohater zawiera wam swoją duszę.

Będziecie mogli łatwo ocenić to, czy piszecie wystarczająco emocjonalnie. Jeśli ból bohaterów będzie waszym bólem lub jeśli jego cierpienia dadzą wam satysfakcję, wszystko jest w porządku. Właśnie o to chodzi.

W tym świecie będziecie mogli być całkowicie wolni i szczerzy. Czy może być coś piękniejszego?

Aspirant Brzeski jak każdego ranka obudził się tuż po piątej. Nie był człowiekiem, któremu potrzeba ledwie trzech czy czterech godzin snu, lecz po prostu codziennie już po dwudziestej pierwszej wraz z żoną leżał w łóżku. Zazwyczaj zasypiał bez problemu i bez problemu wstawał. Tak też było tego poranka.

Punkt szósta jako pierwszy klient wszedł do osiedlowej piekarni. Właściwie otwierano dopiero pół godziny później, ale właścicielka traktowała aspiranta ze szczególnymi względami i obsługiwała go już w trakcie odbierania pierwszej dostawy.

O szóstej dwadzieścia Brzeski przygotował śniadanie składające się z dwóch bułek z dżemem oraz dziurkowanym serem szwajcarskim. Zjadł jedną, przy drugiej położył karteczkę z narysowanym sercem i przekradł się do sypialni. Pocałował Alicję w czoło. Kobieta jeszcze spała, ale też zazwyczaj kładła się znacznie później spać od męża. Mimo że leżała w łóżku, to czytała książki lub kończyła sprawunki do pracy.

Na komendzie aspirant zjawił się kwadrans po siódmej. Zrobił sobie kawę i przejrzał służbową pocztę. Od zeszłego popołudnia nie pojawiły się żadne ciekawe informacje. Gawiński wciąż nie wykonał sekcji, a raport kryminalistyków z miejsca odnalezienia zwłok księdza był wyjątkowo lakoniczny. Ponownie nie odnaleziono właściwie żadnych śladów. Jedynym ciekawym tropem była pojedyncza nić z barwionego na czerwono tworzywa sztucznego, która mogła być włosem w masce przebierańca.

Brzeski zajął się wygładzaniem własnego raportu. Do południa zamierzał przesłać go komisarzowi, który zapewne jego lekturę i tak sceduje na Haler. Taki bieg miały sprawy od wielu lat. Kiedyś sam był ostatnim ogniwem łańcucha, do którego trafiała robota papierkowa. Na szczęście Tamara, choć starsza od niego stopniem, okazała się perfekcjonistką. Poza tym zatwierdzanie własnych raportów stanowiło już pewną przesadę i ocierało się o absurd.

Kwadrans po ósmej dyżurny poinformował aspiranta o zgłoszeniu zaginięcia pewnej kobiety. Zgodnie z poleceniem Deryły każda podobna sprawa była teraz z automatu przekazywana jego zespołowi. Po wpadce z księdzem nie można było pozwolić na podobną wtopę i stratę czasu.

Brzeski powlókł się do jednego z pomieszczeń na pierwszym piętrze komendy. W środku już była starsza posterunkowa Nowak oraz pięćdziesięciokilkuletni małżonkowie.

– Ci państwo zgłosili zaginięcie córki – przekazała służbowym tonem policjantka. Jej kwadratowa twarz, formalna postawa i blond włosy ściągnięte do tyłu tak mocno, że niemal oczy wychodziły jej z orbit, nie pozostawiały wątpliwości, dlaczego za plecami nazywano ją posterunkową Gestapo.

Siwy mężczyzna z rozbieganym spojrzeniem zerknął na Brzeskiego. W jego wzroku kryła się bezgraniczna prośba o pomoc. Pulchna brunetka nawet się nie odwróciła. Siedziała pochylona z głową spuszczoną między ramionami.

– Dom ich córki nie został okradziony, ale w jej sypialni są ślady walki.

– Walki?

Pytanie aspiranta nagle pobudziło kobietę. Zerknęła na Brzeskiego i pokręciła w otępieniu głową.

– Paulina zawsze odbiera od nas telefon. Poza tym byliśmy umówieni. Jest uporządkowana,

a w jej sypialni... – Pociągnęła nosem. – Panował chaos. Bałagan jak po przeszukaniu. Koc leżał na środku pokoju, a drzwi do domu były otwarte. Ona naprawdę zawsze zamyka drzwi. Odkąd okradziono nas wiele, wiele lat temu, wszyscy tego pilnujemy.

Kobieta chlipnęła. Tymczasem Brzeski momentalnie dopadł do biurka. Sięgnął po telefon i wybrał numer Deryły.

– Chyba mamy kolejną porwaną, komisarzu – oznajmił ponuro.

Deryło i Haler siedzieli w Citroënie, czekając, aż główny technik pozwoli im wejść do mieszkania. Komisarz osobiście ściągnął całą ekipę. Charakter sprawy i okoliczności napawały go złym przeczuciem. Choć nie wierzył w znalezienie jakichkolwiek istotnych śladów, chciał kryć sobie plecy. Miał serdecznie dość utarczek z Knapem.

Przez ostatnią godzinę, odkąd opuścili dom Sary Lauro, Haler była głęboko zamyślona. Na wszelkie zaczepki komisarza odpowiadała półsłówkami, a jej półprzymknięte oczy zdradzały największą koncentrację. Nie wyraziła nawet jednoznacznego sądu o kobiecie. Doniesienie o zaginionej, która z dużym prawdopodobieństwem mogła zostać porwana, wyraźnie ją przygnębiło.

Nagle przeciągnęła się w fotelu i oparła łokciem o deskę rozdzielczą. Odwróciła się do Deryły.

– Ona mówiła cytatami z książek Lubowa – stwierdziła i przygryzła wargę. Po chwili założyła włosy za uszy. – „Nie robił tego dla siebie, a dla swojej twórczości” – zacytowała. – „Jego emocje mogły żyć nawet po jego śmierci, do tego ze zdwojoną siłą”.

Komisarz zmarszczył czoło.

– *Pamiętnik mordercy?*

– Zgadza się. Tak samo jak: „O ile mocniej niż przy zwykłej książce pobudzona jest dusza czytelnika, który wnika w fabułę, którą uważał za fikcję, a potem okazała się rzeczywistością?”. To wszystko cytaty.

– Cholera. Myślisz, że sobie z nami pogrywa?

Haler oparła głowę o szybę.

– Nie wiem. Nie mam bladego pojęcia.

– Albo sama też żyje w fikcyjnym świecie wymyślonym przez Lubowa. Tkwi w nim nawet po jego śmierci...

– Być może pomaga sobie w tym środkami odurzającymi. Widziałeś, jak pokłute miała ręce?

– Prawdę mówiąc nie, ale... – Deryło machnął ręką. Nie zamierzał się tłumaczyć, a do tego w tym samym momencie zobaczył technika, który pomachał do nich z posesji.

Pośpiesznie wysiadł z auta i ruszył w stronę drzwi. Mężczyzna w białym kombinezonie podał mu maseczkę, rękawiczki oraz specjalne nakładki na buty.

– Jeszcze nie skończyliśmy – rzucił tonem usprawiedliwienia.

Haler i Deryło posłusznie założyli elementy stroju ochronnego, po czym ruszyli w stronę wejścia. Drzwi były uchylone. Starając się niczego nie dotykać, weszli do niewielkiego holu. Znajdował się w nim drewniany wieszak w angielskim stylu, suwana szafa oraz niewielka szafka na buty. Nic nie zdradzało nieporządku, który miał panować w głębi domu. Poza tym technicy nie zabezpieczyli tu żadnych śladów. Jedyne zamek do drzwi był obwieszony specjalną folią.

Pierwszą tabliczkę dowodową Deryło dostrzegł w pomieszczeniu na wprost od wejścia. Zapewne pobrano z tamtego miejsca jakiś mikroślad, gdyż nie mógł się dopatrzeć innych działań. Ruszył właśnie w tamtą stronę.

Już z holu zobaczył, że w pomieszczeniu nadal pracuje jeden z techników. Przywitał się z nim, a następnie wszedł do środka. Znalazł się w przytulnej, narożnej sypialni. Prześcieradło zostało zdarte z drewnianego łóżka, a kołdra zgodnie z opisem Brzeskiego leżała na środku pokoju. Poza dwiema szafkami nocnymi w pomieszczeniu znajdowała się także biblioteczka oraz solidna, dębowa szafa. Jej

drzwiczki były otwarte, a ze środka wypadło, czy też zostało wyrzuconych, kilka ubrań.

– Jakież ślady krwi? – zapytała Haler.

Podkomisarz zatrzymała się w progu, aby nie nanosić dodatkowych śladów. Uważnie przyglądała się kolejnym przedmiotom.

– Krótka smuga tuż przy łóżku oraz na pościeli. – Technik wskazał kciukiem za siebie. – To nie krew tętnicza i jest jej zbyt mało, aby krwawienie było niebezpieczne. Może pochodzić z niewielkiego skaleczenia.

– Możemy określić, czy to nowe ślady?

– Dopiero w laboratorium. Nie mam przy sobie właściwych odczynników.

– A telefon? – Haler wskazała palcem. – Leżał tam przez cały czas?

Komórka znajdowała się na podłodze w nogach łóżka.

– Tak. Jeszcze go nie ruszałem.

– Dziwne... Również musiał się tam znaleźć w efekcie szarpaniny, w końcu nikt nie odkłada telefonu po drugiej stronie, niż trzyma głowę. A poduszki są u wezglowia...

Zerknęła na Deryłę, lecz ten nie zamierzał się odnosić do jej koncepcji. Stał obok szafki i wyciągnął ku niej rękę. W ostatniej chwili powstrzymał się przed dotknięciem czegoś.

– Spójrz na to...

Paulina Karska ocknęła się. Miała wysuszony język, a kąciki ust piekły ją, jakby je rozcinano. Dopiero po chwili zrozumiała, że ma wepchnięty knebel.

Poruszyła się, lecz więzy krępowały jej ruchy. Opięte na nadgarstkach i kostkach stóp kajdanki wżynały się w ciało. Była cała odrętwiała. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązał jej w gardle.

Noc. Clown. Ukradzony temat reportażu. Postać pod łóżkiem. Znow clown.

Myśli tłukły się jej w głowie, ale nie potrafiła ułożyć ich we właściwej kolejności. Nie potrafiła wytłumaczyć sobie, co się stało ani dlaczego znalazła się w tym pustym, oświetlanym przez wysokie świece pomieszczeniu. To dowcip kolegów z redakcji? Jakaś idiotyczna zabawa?

Nie. Na pewno nie.

Była naga, a nikt nie odważyłby się rozebrać jej dla zwykłego wygłupu. Trzęsa się z zimna i strachu. Szarpnęła tak mocno, że kajdanki zdarły skórę z jej dłoni. Syknęła z bólu. To nie był dowcip.

Napięła mięśnie i ostrożnie wychyliła się nad metalowym stelażem, do którego ją przywiązano. Konstrukcja była przymocowana do betonowej podłogi za pomocą kilku potężnych wkrętów. Podłoże wokół nich miało delikatne spękania oraz wykruszenia. Paulina uklękła. Naciągnęła sznur i nie zważając na ból, usiłowała wstać. Naprężała więzy siłą rąk oraz nóg. Przytwierdzona do betonu konstrukcja jakby drgnęła, lecz kobietę jednocześnie opuściła energia. Opadła na podłogę i sapnęła.

Zaciśnięte mimowolnie na kneblu zęby bolały, jakby wbiły się w szczęki. Z obtartych nadgarstków popłynęła krew. Najgorsza była jednak potworna duszność. Możliwość oddychania jedynie przez nos przyprawiała ją o paniczny strach. Gdyby ktoś jej go zatkał albo gdyby się zachłysnęła – udusiłaby się. Myśl o tym sprawiła, że zrobiło się jej jeszcze bardziej duszno – jakby na jej klatce piersiowej zaciśnięto niewidzialne imadło.

Nagle usłyszała szuranie. Spłoszona zapomniała o duszności i zerknęła w stronę drzwi. Chwilę później te się otworzyły, a do pomieszczenia wsunął się cień.

Jęknęła.

Knebel uniemożliwiał sformułowanie słów.

– Dzień dobry – odezwał się cień.

Zamknął drzwi, a płomień świec zamigotały. Chwilę później zbliżył się do Pauliny na tyle, że w półmroku dostrzegła maskę przerażającego clowna. Szarpnęła, jeszcze mocniej powiększając rany na nadgarstkach. Chciała odruchowo zasłonić nagość, lecz nie była w stanie. Podkuiliła nogi i jęknęła. Próbowana błagać o litość. Próbowana wylać z siebie potok słów, a to, co dobyło się zza knebla, jedynie ją przeraziło.

Clown powoli się do niej zbliżył. Gdy znajdował się tuż przy stelażu, kucnął. Światło odbijało się od jego czerwonego kombinezonu. Wyciągnął plik zadrukowanych kartek i ponownie podniósł głowę. Choć Paulina nie widziała jego oczu, nie miała wątpliwości, że szalenciec patrzy wprost na nią. Nagle wybuchnął najbardziej upiornym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszała. Skuliła się, usiłując cofnąć jeszcze dalej. Sznur był już jednak napięty do ostateczności.

Clown przegładził pierwszą z kartek i usiadł na podłodze. Zaczął czytać niskim, szorstkim głosem.

– „Wstrzyknął jej adrenalinę, aby mimo bólu, który miał nadejść, była świadoma. Jednocześnie podany jej środek zwiotczający po kilku minutach całkowicie ją obezwładnił. Czowała wszystko, lecz nie

mogła nic zrobić. Podrapać się, poruszyć palcem ani otworzyć ust. Z trudem mrugała. Wtedy Jonasz przystąpił do właściwego działania. Rozłożył na podłodze cały plik skalpeli, noży oraz nożyków. Do tego szczypczyki i pincety. Na koniec wyjął z torby gazy, bandaż, a także nić do szycia”.

Clown oderwał wzrok od kartki i spojrzał na Paulinę.

– No, pokrótce tak rysuje się nasza najbliższa przyszłość – oznajmił. – Podoba ci się?

Inspektor Knap nakazał, by meldowano mu o wszelkich postępach oględzin miejsca zbrodni. Upewnił się, że jego komórka nie jest wyciszona, i wyszedł z biura. Musiał się przejść. Od tygodni narastało w nim napięcie, a ostatnio czuł się kompletnie skołowany.

Już przed wieloma miesiącami postanowił odejść na emeryturę. Wymagało to wypełnienia góry dokumentów oraz iluzjonistycznego zaplanowania przyszłości. Jego żona gorąco go w tym wspierała. Postanowili, że kiedy tylko będzie po wszystkim (właśnie tak Knap określał przejście na emeryturę), odbędą kamperem podróż po Włoszech. Na ostatnich wakacjach byli osiem lat temu, więc zasługiwali na to jak mało kto. Perspektywa wojaży od pola kempingowego do pola kempingowego wyglądała obiecująco. Całymi tygodniami dyskutowali o trasach, czytali przewodniki oraz wymieniali się informacjami o ciekawych, a mało znanych zabytkach. Żyli tą podróżą i dla tej podróży. W planach mieli między innymi zwiedzenie amfiteatru w Weronie, katedry parmeńskiej z robiącym ponoć piorunujące wrażenie sklepieniem oraz wdrapanie się na Wezuwiusz. Knap gdzieś wyczytał, że kamperem można wjechać do pewnej wysokości Etny. Przeprawa na Sycylię w ogóle stanowiła rozbudowanie pierwotnego planu, lecz przecież nie musieli się ograniczać. Emerytura oznaczała mnóstwo czasu, a przez lata oszczędnego życia odłożyli sporo pieniędzy. Poza tym, gdy zobaczyli zdjęcia z palermiańskich krypt, uznali, że muszą je odwiedzić. Historia „śpiącej królowny” Rosalii Lombardo tylko ich w tym utwierdziła.

Pół roku temu wszystkie plany trafił szlag. W trakcie śniadania Maria Knap nagle poczuła się gorzej, zdążyła poprosić inspektora o szklankę wody, a chwilę później upadła na podłogę. Okazało się, że miała zawał serca. Szybka reakcja męża oraz kilkugodzinna operacja uratowały jej życie. Mimo wszystko do formy wracała bardzo powoli, a wielodniowa podróż kamperem stała się niemożliwa. Sam klimat Włoch nie był dla niej wskazany.

Knap cieszył się, że wszystko skończyło się szczęśliwie, ale jednocześnie odczuwał rozczarowanie. Nie taką przyszłość planował. Nie tak miała wyglądać ich emerytura. Poza tym wyczuwał, że Maria podświadomie obwinia się o całą sytuację. Aby przetrwać miesiące rehabilitacji w dawnej atmosferze, inspektor oznajmił jej, że nie może jeszcze odejść na emeryturę. Wymyślił całą litanię powodów, po czym zadekował się w pracy. Mogli nadal snuć marzenia o podróży, ale gdy te odkładali na bliżej nieznaną przyszłość, stawały się jednocześnie niegroźne i nierealne. To miało pomóc im przełknąć gorzką pigułkę rzeczywistości. W zasięgu rozsądku była co najwyżej podróż nad Bałtyk. I to bez nocowania w kamperze, a w hotelu z wszelkimi wygodami.

Nie ma tego złego... – starał się pocieszać Knap. Mimo to nie potrafił już czerpać dawnej radości z pracy. Drażniło go, że mógł odejść w chwili, gdy miał naprawdę dobre wyniki, a z każdym dniem na jego konto mogła trafić nierozwiązana sprawa. Bał się łatki naczelnika, który zakończył karierę na porażce. Poza tym wyrzucał sobie, że zamiast opiekować się żoną, wołał utkwic na komendzie. To było z jego strony draństwo.

Tego dnia wyrzuty sumienia męczyły go od samego rana. W ciągu ostatnich godzin kilkakrotnie telefonował do żony, byle tylko usłyszeć jej głos. Zapewniał, że wróci na kolację, a później obejrzą jakiś film. Kiedyś rytualnie spędzali wieczory przed telewizorem, ale po pobycie Marii w szpitalu i to się zmieniło. Nagle seriale wydały się im nudne, filmy zbyt długie, a programy publicystyczne nazbyt drażniące. Na schorowane serce lepsze były delikatniejsze rozrywki.

Knap, myśląc o tej toczącej się od miesięcy grze pozorów, wszedł do kwiaciarni. Przez kilka minut rozglądał się wśród dziesiątek bukietów. Wreszcie wybrał klasyczny, ale elegancko przystrojony pęk róż, po czym skierował się do kasy. Postanowił jeszcze kupić niskoprocentowe wino oraz dietetyczne przekąski. Dlaczego, do cholery, mieliby nie spędzić namiastki wieczoru sprzed lat?

Z kwiaciarni wyszedł nieco rozluźniony. Dziarsko ruszył w stronę zaparkowanego nieopodal auta. Powiew chłodnego wiatru poniósł ulicą dwa kubki z logiem sieci fast-foodów. Z jednego z nich wylała się resztką napoju.

Knap zwinnie przeskoczył ponad mokrą smugą. Złożył usta do wesołego gwizdnięcia i w tym samym momencie rozległ się dzwonek jego telefonu.

Na szafce stał porcelanowy kubek z autografem Igora Lubowa. Tuż za nim ustawiono dwie zakładki z jego zdjęciem i cytatami z książek. Obok leżały kolczyki w kształcie splecionych liter „I” oraz „L”, a także długopis, na którym również wytłoczono autograf pisarza.

W biblioteczce była kompletna kolekcja jego książek – włącznie z wydaniem zagranicznymi, miniaturowymi oraz oprawionym w czerwone opakowanie pakietem. Na półkach stały rozmaite bibeloty związane z pisarzem. Kolejne długopisy, zakładki, karteczki z notesów, płyta CD z nagraniem jego spotkania autorskiego, kalendarzyk z zakreśloną datą śmierci...

– To obłęd... – wyszeptał Deryło.

W kolejnych pokojach również znaleziono wiele przedmiotów związanych z Lubowem. Włącznie z zastawą stołową, na której były cytaty z jego książek, oraz zwiniętymi w rulony plakatami. Brzeski przekazał im, że na większości okazanych zdjęć Paulina Karska pozowała w czarnych, pełnych ćwieków ubraniach, jakby właśnie wybierała się na koncert heavymetalowy. Jednak na zdjęciach, na które komisarz trafił w domu, było coś znacznie bardziej mrocznego. Nie tylko czarne koszule i mroczne makijaże, ale dziwne pozy i atrybuty. Na pliku fotografii, które leżały na parapecie kuchennym, Karska została uwieczniona z grupą przyjaciół przy ognisku. Wszyscy podobnie ubrani i wszyscy układający palce w geście „pozdrowienia szatana”. Na ziemi przed nimi leżał zbity z desek pentagram. W chwili wykonania zdjęcia zaczynały po nim pełzać języczki ognia, więc musiał zostać obłany jakąś łatwopalną substancją.

– To popieprzone. – Deryło zatrzymał się przy ciotce i zdjął maskę oraz rękawiczki. – Dosłownie, jakbym był w domu członka sekty Lubowa.

Haler zatrzymała się obok niego i westchnęła.

– Tak zachowują się prawdziwi fani.

– Jak sekta?

– Nigdy nie miałeś w pokoju plakatu z ulubionym zespołem? Nawet w dzieciństwie?

Deryło pokręcił głową.

– Szczerze mówiąc, nie.

– W sumie nic dziwnego. – Haler puściła do niego oko. – Te sto lat temu pewnie nie drukowano plakatów.

– A muzykę wygrywano tylko na bębnach i trąbkach sygnałowych.

Deryło ponownie spoważniał i przebrał w kieszeni w poszukiwaniu sesterca. Znalazł monetę w marynarce. Tymczasem Tamara wyciągnęła telefon, po czym pośpiesznie coś na nim klikała. Po chwili i ona straciła jakąkolwiek ochotę na docinki. Zerknęła na komisarza spode łba.

– W sieci jest co najmniej pięć fanklubów Lubowa i parę grup zrzeszających fanów jego twórczości. – Schowała komórkę i przygryzła wargę. – Każdy z jej członków to aktualnie nasz podejrzanym. Mamy więc kilkuset potencjalnych naśladowców...

DZIEŃ NASTĘPNY

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Kryminaliści ponownie nie natrafili na żadne ślady mogące naprowadzić na porywacza. Po porównaniu stwierdzono jedynie, że fragment nici znaleziony przy ciele zakonnika rzeczywiście mógł służyć za imitację włosa mocowaną do masek. Podobnego materiału używali liczni producenci i zawężenie poszukiwań stało się niemożliwe. W internecie profesjonalną sprzedażą tego typu wyrobów zajmowało się kilkadziesiąt osób, kolejnych kilkaset sprzedawało towar ściągany prosto z Chin.

Tym razem Deryło odpuścił sobie osobistą wizytę w zakładzie patomorfologii. Już o szóstej rano zadzwonił do niego Gawiński, zdając relację z sekcji. Zgodnie z jego ustaleniami zakonnik zginął na skutek rozległego krwotoku i wywołanego nim szoku. Kilka jego tętnic wręcz pękło. Poza tym, podobnie jak w przypadku Eleny Wilskiej, z pleców duchownego wycięto kawał skóry. I podobnie jak u niej pod jego powiekami znaleziono fragmenty papieru, które Gawiński przekazał już laboratorium.

Na dziewiątą Deryło zwołał nadzwyczajne posiedzenie zespołu. Zrobił to na życzenie Halera, która nakłoniła go, by w ten sposób zyskał przed przełożonymi dodatkową podkładkę. Knap z dnia na dzień stawał się bowiem coraz bardziej rozdrażniony. Najwidoczniej wizja przejścia na emeryturę nie wyzwalała w nim żadnych pozytywnych emocji.

Pięć po dziewiątej w sali konferencyjnej, w której przed dwoma dniami komisarz odgrywał rzecznika policji, zebrało się sześć osób. Naradzie oczywiście przewodniczył Deryło, prócz niego byli jeszcze policjanci: Haler, Brzeski oraz Nowak. Do tego na specjalne zaproszenie przybyła niska laborantka z płomiennie rudymi włosami oraz ViSir – jeden z informatyków komendy.

Deryło w kilku słowach przeszedł do rzeczy. Przedstawił zwięzły raport ze stanu sprawy oraz zaprezentował informacje, które spłynęły rano na jego skrzynkę pocztową. Tych było jednak niewiele. Najistotniejsza dotyczyła faktu, że media coraz mocniej interesowały się śledztwem. W każdym artykule podkreślano przy tym, że na jego czele stoi policjant, który jeszcze kilka tygodni temu przebywał w śpiączce. Zapomniano już o przyczynie, z której się w niej znalazł. Jednocześnie coraz śmieiej szerzono sensacyjne teorie, że Igor Lubow mógł być niewinny. Jak zwykle w podobnych sytuacjach jeden domysł nakręcał kolejny. Przytaczano nawet statystyki zruszonych przez Sąd Najwyższy wyroków sędziów orzekających w składzie sędziącym pisarza. Atmosferę podkreślały sensacyjne nagłówki. „Bestia powróciła”, „Morderca jak z thrillera”, „Seryjny morderca w Lublinie”...

– Macie jakieś pomysły lub propozycje? – Deryło przysiadł na blacie biurka i popatrzył po zebranych jak nauczyciel mający zaraz zganić uczniów. – Cokolwiek?

ViSir odchrząknął. Jak zwykle był cały zlany potem, a koszulka z napisem „STOP STOPOWANIU” ledwie opinała się na jego brzuchu. Odezwał się jako pierwszy.

– Przejrzałem zapisy kamer, które zabezpieczyliśmy na Lipniaku, i nie znalazłem nic istotnego. Żadna nie obejmowała ulicy, a na terenie wokół posesji o wskazanych porach nie działało się kompletnie nic. Dzielnica spała. – Informatyk sapnął. Upił z puszki łyk coli i ponownie odchrząknął. – Obecnie przeglądam dysk komputera zaginionej. Wszystko wskazuje, że do tej pory jest zafiksowana na punkcie Lubowa.

– Niemożliwe! – Deryło puścił oko do Haler.

ViSir nie zwrócił na to uwagi i zaraz ciągnął:

– Uczestniczy w wielu grupach, udziela się na forach dyskusyjnych i jest członkiem jego największego fanklubu, który swoją drogą zrzesza przede wszystkim lubelskich fanów.

– Trafiałeś na jakieś ciekawe treści?

– Recenzje, opinie, fragmenty wywiadów... Klasyka. Ale wnikam w to głębiej.

– Świetnie. – Haler odwróciła się do informatyka, który jak zwykle spąsował i spuścił wzrok. –

Czy ten fanklub ma jakąś siedzibę?

– Nie. To nieoficjalne, internetowe zrzeszenie.

– Ale możesz ustalić dane członków?

– Jasne. Choć z ich weryfikacją będzie problem...

– W takim razie poproszę o kontakt do założycieli i najbardziej aktywnych członków. Resztę możesz obecnie olać.

Deryło zatarł ręce zadowolony z jakiegokolwiek interakcji. Na szczęście narada nie stała się recitalem jego żali.

– Musimy też przeanalizować fragmenty książek Lubowa i odnieść je konkretnie do naszej sprawy. Może ciągle coś nam umyka.

– ViSir nie znalazł specjalnej zgodności – wtrąciła Tamara. – Ale, z całym szacunkiem, komputerowe algorytmy mogły coś przeoczyć.

– Otóż to. Tym zajmie się posterunkowa Nowak. Właściwie podkomisarz Haler już wykonała tę robotę, ale, proszę, jeszcze raz porównaj te zabójstwa ze scenami z książek. Może coś wymyślisz? – Deryło nie ukrywał, że liczy na legendarną skrupulatność posterunkowej.

W tym momencie jego uwagę przykuła ruda laborantka. Ostentacyjnie wyciągnęła telefon i coś na nim sprawdzała.

– Halo, halo, laboratorium, dla was też mam zestaw pytań.

Kobieta podniosła głowę i przez chwilę wydawało się, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Rozchyliła wargi, po czym ponownie zerknęła w ekran telefonu.

– Mamy wieści od kryminalistyków – oznajmiła zamyślona. – Odczytali wiadomość ze strzępków papieru wsuniętego pod powieki zakonnika...

Odczytany tekst ponownie był fragmentem jakiegoś opisu. Jednak tym razem nie składało się na niego kilka wyrwanych z kontekstu zdań, lecz układał się w zamkniętą całość.

Ciało zostało rozpięte na siatce. Kobieta jak urzeczona spoglądała na (słowo usunięte), który obrazował rytm dnia i nocy, przemienność pór roku oraz trud ludzki nierozzerwalnie związany z naturą. Koło. Wieczny ruch. Tak właśnie kręcił się świat.

– Co do cholery... – Deryło zapisał cały fragment markerem na białej, przesuwanej tablicy. – Komuś to cokolwiek mówi?

– Karuzela na placu zabaw? – bąknął Brzeski.

– Może chodzi o wesołe miasteczko... – wtrąciła Nowak.

– Chyba że to głębszą metafora. – Haler uporczywie wpatrywała się w bazgroły komisarza. – Koła zębate wprawiające w ruch maszynę życia i trud ludzki związany z naturą... Kościół? Religia?

Po jej słowach zapadła cisza. Przez kilkadziesiąt sekund wszyscy zebrani uporczywie wczytywali się w treść wiadomości. Jako pierwszy odezwał się Deryło.

– Aspirancie Brzeski, zajmiecie się analizowaniem tego fragmentu. Nie wiem, jakim cudem, ale może wymyślicie, o czym pisze ten psychol.

– Robi się. Choć, prawdę mówiąc, przypomina mi to wróżenie z fusów.

ViSir oderwał wzrok od przenośnego laptopa i nieśmiało podniósł rękę.

– Czyżby informatyka przyszła nam w sukurs? – zagadnęła Haler.

– Chciałbym wykrzesać coś więcej... – Wielki mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby podczas rozmowy z Tamarą dosłownie chciał skulić się w sobie. – Mam adres kilku osób, w tym założyciela tego fanclubu. Choć zdaje się, że teraz specjalnie się w nim nie udziela...

Deryło zmrużył oczy.

– Tym lepiej. – Głośno klasnął. – No, wszyscy do roboty, wiecie, co robić. A ty dawaj ten adres. Mamy sporo do zrobienia, bo ten psychol zdaje się dopiero rozkręcać.

Olaf Warski prowadził niewielką księgarnię na Starym Mieście. Deryło zaparkował pod katedrą i razem z Haler przeszedł przez Bramę Trynitarzką. Dochodziło już południe. Było pochmurno i wiał chłodny, przeszywający wiatr. Na bruku po nocnej ulewie skrzyły się kałuże.

– Kamień nieszczęść... – Deryło wskazał na wygładzony przez czas gład leżący przy rogu kamienicy. – Opowiadałem ci o nim?

– Zdaje się, że mam trzymać się od niego z daleka?

– Przynajmniej go nie dotykać. Co prawda nie wiem, w jak ciemniejszej dupie moglibyśmy się jeszcze znaleźć.

– Ludzie, których na nim ścięto, mogliby udzielić ci prostej odpowiedzi.

Komisarz, milcząc, oderwał wzrok od kamienia i przyśpieszył kroku. Ściągnął poły długiego, sięgającego poniżej kolan płaszcza. Doskonale wiedział, że zawsze może być gorzej. Ilekroć w życiu sądził, że spadły na niego wszystkie nieszczęścia, okazywało się, że los ma w pakiecie kolejne. Żurawie origami nigdy nie przyniosły mu szczęścia. Nieważne, czy zrobił ich sto czy tysiąc, miał pochrzanione życie. Taka była prawda. Choć nie uważał się za przesadnego, obrócił między palcami srebrną monetę. Sesterc z podobizną rzymskiego cesarza, królicze łapki, podkowy... Nie znał sposobu uchronienia się przed naturalną kolejną rzeczą. A w tę wpisane były śmierć, ból oraz cierpienie.

– To tu... – Tamara wyrwała go z zamyślenia.

– Hmm?

– Halo, halo, Eryku, tu Lublin. Mówiłam, że jesteśmy na miejscu.

Policjanci przeszli obok Trybunału Koronnego i zatrzymali się u wejścia do bram jednej z kamienic przy Złotej. Na jej froncie znajdował się niewielki szyld z napisem: „Księgarnia u Rzeźnika”.

– Ładna nazwa, co?

– Biorąc pod uwagę, że na tej ulicy dawniej mieszkali złotnicy i jubilerzy, to całkiem trafna. – Deryło pchnął drzwi i przepuścił Tamarę. – Swoją drogą, uświadamiam sobie, jak wiele racji miał ten gdański profiler. Wszystko toczy się wokół kręgu osób bezpośrednio związanych z Lubowem...

– Nie odkrył Ameryki.

Haler była wyraźnie cięta na Remberta. Wiedza psychologa sprawiała, że jej teorie trąciły zwykłą amatorszczyzną.

– Ale trzymam kciuki, oby miał we wszystkim rację – przyznała, wchodząc do księgarni. – Naprawdę.

Gdy przeszli próg, ich przybycie zaanonsowało bicie srebrnego dzwonka zawieszono nad drzwiami. Znaleźli się w kwadratowym pomieszczeniu poprzecinanym pełnymi książek regałami. Olaf Warski wynurzył się zza jednego z nich. Był szczupłym, wysokim mężczyzną w eleganckich spodniach, skórzanych półbutach i białej koszuli na spinki. Bardziej przypominał wysokiej klasy antykwariusza niż fanów Lubowa, których policjanci wcześniej widzieli na zdjęciach. Zapewne dostrzegł zdziwienie na ich twarzach, bo natychmiast się uśmiechnął.

– Spodziewaliście się nory obwieszonoj pełnymi krwi plakatami, sztucznymi czaszkami i trumny pośrodku? – zagadnął.

– Chyba tak – przyznała Haler. – Przynajmniej biorąc pod uwagę dotychczasowe

doświadczenia.

Księgarz zachichotał.

– Na co dzień dobrze się maskujemy. – Wskazał na dwa fotele wciśnięte między regały, a sam stanął naprzeciw nich. – O co chcieliście zapytać? Dobrze trafiliście, bo, jak widzicie, nie mam teraz żadnych klientów. Nie żeby było to coś wyjątkowego, ale...

Deryło natychmiast przeszedł do sedna.

– Wiemy, że założył pan fanklub Lubowa, ale ostatnio zdecydowanie mniej się w nim udziela.

Dlaczego?

Pytanie nie zdziwiło Warskiego. Oparł się ramieniem o regał i spojrzał komisarzowi prosto w oczy.

– Zainteresowania się zmieniają. Zdaje się, że to nie podpada pod żadne paragrafy. Poza tym moja miłość do Lubowa chyba zaczęła się wypalać.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Może z pewnych rzeczy się wyrasta? Mam czterdzieści dwa lata i przerzucam się na literaturę faktu. Co nie oznacza, że nadal nie śledzę działalności fanklubu.

Haler tylko czekała na taką odpowiedź.

– Wobec tego może w ostatnich dniach coś zwróciło pana uwagę? Jakies posty albo dziwne tematy poruszane na forach lub grupach?

Warski wyprostował się i splótł ręce na piersi. Jego wzrok powędrował w górę i w prawo. Przez chwilę się zastanawiał.

– Chyba nie.

– Chyba?

– Nie potrafię sobie niczego takiego przypomnieć. Członkowie fanklubu rozmawiają o rozmaitych sprawach, więc nie dziwi mnie nawet wymiana zdań co do realizmu sceny morderstwa, sposobu, w jaki przeprowadza się sekcje, lub czasu, jaki wytrzyma ktoś z workiem foliowym zarzuconym na głowę. Mógłbym powiedzieć, że taki mamy klimat, ale...

Mężczyzna zamilkł, widząc ponure spojrzenie komisarza.

– To są tematy poruszane przez fanów Lubowa? – Deryło parsknął. – Dla mnie brzmią jak wykaz inspiracji dla psychopatów...

Warski rozłożył dłonie.

– Przepraszam, że pana zasmucam. Ludzie oczekują emocji... Literatura dostarcza im tego, czego nie chcieliby zaznać w rzeczywistości, więc sprawdzają, na ile to prawda.

– Albo przygotowuje ich do zrobienia tego.

– To już pańska teza, komisarzu.

Haler podniosła się z fotela i wyjęła wydruk zdjęcia przedstawiającego Elenę Wilską. Była to dobrej jakości fotografia przesłana przez jej męża i odpowiednio powiększona przez ViSira.

– Kojarzy ją pan?

Księgarz pobieżnie zerknął na kartkę, po czym nagle się wzdrygnął. Przez jego twarz przebiegł grymas zmieszania.

– ElWolf? Oczywiście, że ją znam...

Paulina Karska leżała całkowicie bezwładnie. Doskonale czuła każdy centymetr własnego ciała, lecz nie była w stanie wykonać najdrobniejszego ruchu. Zgodnie z tym, co powiedział clown, mogła jedynie mrugać. Kątem oka widziała swoje unoszące się w niekontrolowanym oddechu piersi. Serce biło jej ze zdwojoną prędkością, a krew dosłownie szumiała w skroniach.

Clown nachylił się nad nią i ostrożnie rozwiązał jej więzy. Kobieta starała się napiąć mięśnie, lecz te nie reagowały. Chwilę później oprawca delikatnie uniósł jej głowę, po czym wyciągnął knebel. Maską niemal zetknęła się z jej twarzą. Przez moment wydawało się jej, że w ciemnych dziurach dostrzega skrzące się oczy szaleńca.

– To już nie będzie ci potrzebne...

Clown rzucił na bok kajdany oraz szmatę, która nasiąkła krwią z jej ust. Ponownie nachylił się nad Pauliną i zaczął cicho nucić jakąś dziecięcą piosenkę. Kobieta skądś znała tę melodię. Nie zamierzała się jednak na niej skupiać. Zamknęła oczy.

Całą siłę woli skoncentrowała na poruszeniu dłońmi. Miała wrażenie, że jej mały palec zaczyna drżeć. Może ten sukinsyn, robiąc jej zastrzyk, pomylił się i dał zbyt małą dawkę? A może jej organizm nie jest podatny na ten środek w normalnym stopniu?

Pragnienie życia podsuwało jej kolejne myśli, pełne nadziei oraz pociechy. Utwierdziła się w nich, gdy udało się jej oderwać od zimnego podłoża nadgarstek. Jeszcze tylko chwila i odzyska sprawność.

Pół minuty.

Może minuta.

Czuła zalegającą w przełyku gęstą ślinę, ale nie potrafiła jej przełknąć. Świadomość własnej bezwładności sprawiła, że zaczęła panikować. Gdyby śliny było odrobinę więcej, zachłysnęłaby się. A przecież nie mogła kontrolować ślinianek. Nie kontrolowała nawet języka. Poruszyła głowę. O milimetr lub dwa, lecz jednocześnie poczuła ulgę.

Uda się jej.

Musi się jej udać.

Żałowała tylko, że nie może mówić. Zagadałaby teraz tego świra i odzyskała sprawność. Zaskoczyłaby go. Błagałaby go o litość. Prosiłaby, aby powiedział chociaż, dlaczego wybrał akurat ją. Przecież nie było w niej nic wyjątkowego. Naprawdę nic. Była zwykłą, nudną dziennikarką, piszącą nudne reportaże. Nie poruszała niebezpiecznych tematów ani nie drażyła afer. Czasem udzielała się recenzencko w dziale prozy kryminalnej oraz thrillera. Lubow. Pasjonował ją Igor Lubow i... Ta myśl napawała ją przerażeniem. Clown doskonale znał jej zainteresowania i zjawił się tu wprost ze świata jej koszmarów.

Od podłoża zionął wilgotny chłód. A może to lodowaty dreszcz spłynął wzdłuż jej kręgosłupa?

Poruszyła wszystkimi palcami lewej ręki, co dodało jej otuchy. W tym samym momencie clown przestał nucić, a gdzieś obok rozległo się metaliczne brzęknięcie.

Boże.

Paulina przypomniała sobie odczytany przez niego niedawno fragment.

Rozłożył na podłodze cały plik skalpeli, noży oraz nożyków. Do tego szczypczyki i pincety. Przeszył ją dreszcz przerażenia. Poczuli go wyraźniej niż kiedykolwiek. Otworzyła oczy i dostrzegła

czubek głowy clowna pochylającego się nad jej brzuchem.

Chwilę później poczuła piekielny ból piersi. Oprawca z całej siły chwycił jej sutek i naprężył skórę. Zacisnął palce. Następnie potworny ból przeniósł się nieco niżej. Kobieta usłyszała ciche plaśnięcie i zrobiło się jej słabo. Świat wokół wirował, ale nie mogła osunąć się w otchłań zemdlenia. Pobudzenie wciąż trzymało ją na skraju świadomości. Pałący ból wręcz rozsadzał jej klatkę piersiową. Mdły zapach krwi uderzył ją w nozdrza.

Zapomniała o tym, że przed chwilą udało się jej poruszyć wszystkimi palcami.

To już było nieistotne.

Clown cicho dyszał i chrząkał. Kosmyki jego kolorowych włosów kołysały się w rytmie cięć. Nagle się wyprostował. Przekrzywił głowę, po czym podsunął coś tuż przed jej oczy. Ból sprawił, że z jej czoła ściekał strugami pot. Zamrugła i zobaczyła strzęp mięsa, żółtej tkanki tłuszczowej oraz zmarszczonej skóry. Krew ściekała między palcami szaleńca.

Paulina patrzyła na własną amputowaną na żywca pierś. Na fragment swojego okaleczonego ciała.

Clown odwrócił się i zakrwawioną dłonią sięgnął gdzieś obok niej. Po chwili podniósł niewielką kartkę.

– „Już nie wykarmisz nią żadnego dziecka” – odczytał z namaszczaniem. – Uwielbiam ten fragment.

Elena Wilska była członkiem fanklubu Igora Lubowa. Jako ElWolf aktywnie udzielała się w nim przed dwoma, trzema laty, ale i w ostatnich miesiącach brała udział w co najmniej kilku spotkaniach. Ograniczenie jej aktywności Olaf Warski wiązał przede wszystkim z małżeństwem. Znał Elenę znacznie bliżej, niż mogłoby się wydawać z samej tylko klubowej relacji. Najwidoczniej członkowie stanowili dość zżyłą grupę.

Na pytanie Halera, co mogło jej mężowi przeszkadzać w udzielaniu się w klubie, księgarz nie potrafił udzielić odpowiedzi.

– Nie wiem, może w ogóle źle go osądzam. – Wzruszył ramionami. Wciąż był roztrzęsiony po informacji, co stało się z Wilską. – Po prostu kilkoro członków klubu było na ich ślubie, a potem ElWolf... to znaczy Elena, przepadła. Pojawiała się sporadycznie i nawet w sieci nie była tak aktywna jak dawniej.

– Aktywna? W czym przejawiała się jej dawniejsza aktywność? – dopytał Deryło.

– Choćby w publikowaniu postów na naszych profilach internetowych, organizowaniu spotkań, ostatnio rzadziej komentowała nowe ciekawostki o Lubowie albo odkryte błędy tłumaczeń. Nie opłacała też składki członkowskiej.

Tamara westchnęła.

– Na co ją przeznaczaliście?

– Między innymi na serwery oraz domeny internetowe – księgarz odparł bez mrugnięcia okiem.

– Poza tym część funduszy szła na bieżące koszty prowadzenia księgarni. Lubow był jej nieoficjalnym patronem... – Mężczyzna odchrząknął. – Przynajmniej do czasu skazania.

– Marketing?

– Dla mnie to fascynacja czymś światem.

Deryło zaczynał się irytować. Wstał z fotela i rzucił wzrokiem na regał z książkami. Większość z nich stanowiły kryminały oraz horrory z ostatnich dwóch dekad minionego wieku. Pomiędzy zagranicznymi nazwiskami sporadycznie pojawiały się również nazwiska polskie.

– Poznał pan Sarę Lauro? – zapytał, odwracając się do księgarza.

Warski znalazł się w krzyżowym ogniu pytań, a policjanci stali po jego bokach. Mimowolnie zrobił krok do tyłu.

– To partnerka Lubowa – sprecyzowała Halera.

– Tak, wiem... Była tu kilkakrotnie, nawet po aresztowaniu męża.

– Na pańskie zaproszenie?

– Też. Ale przede wszystkim ze względu na zainteresowanie literaturą grozy. Mamy jej naprawdę spory wybór.

– Czy zawsze utrzymywała, że jej mąż jest niewinny?

Księgarz wytrzymał przeszywające spojrzenie Halera.

– Oczywiście. Choć nie miała na to żadnych dowodów, ale zbierała materiały.

– Do śledztwa? – Deryło zapytał niemal natychmiast, nie pozwalając Warskiemu na chwilę odprężenia.

– Nie. Do jego biografii. Zdaje się, że pracuje nad nią do tej pory. Przynajmniej nic mi nie wiadomo o publikacji, a śledzę rynek dość czujnie.

Tamara zerknęła porozumiewawczo na komisarza. Ten skinął głową, więc wyciągnęła z kieszeni kolejny zgięty na pół wydruk. Była to fotografia przedstawiająca zamordowanego zakonnika.

– Proszę zerknąć. Czy kojarzy pan tę osobę?

Warski wziął kartkę i uważnie przyjrzał się zdjęciu. Oddał je Haler, po czym pokręcił głową.

– Nie. Nigdy go nie widziałem. Kto to?

Nim Tamara odpowiedziała, za jej plecami rozległo się brzęczenie dzwonka. Do księgarni weszło dwoje klientów. Zerknęli na policjantów i natychmiast skierowali się ku półce z promocjami. Na cały głos rozmawiali o jakimś filmie gore. Mężczyzna rzucił z pamięci kilka siarczystych cytatów, a jego partnerka się roześmiała.

Deryło podziękował Warskiemu za rozmowę i ociężale skierował się do wyjścia.

– Swoją drogą, ilu członków liczy fanklub? – zapytał, zatrzymując się w drzwiach.

– Składkę płaci około pięćdziesięcioro – odparł księgarz. – Udziela się do dwóch razy tyle.

– Pięknie. Naprawdę pięknie.

Gdy znaleźli się z Haler na dworze, komisarz sapnął.

– Mamy dwie ofiary powiązane z fanklubem oraz zakonnika. Setce ludzi nie zapewnimy ochrony, ale z drugiej strony, jak dla mnie ten cały fanklub to raczej kółko wsparcia nędznie kręcącego się biznesu.

– Masz na myśli księgarnię? – Haler zapięła kurtkę pod samą szyję. Zaczęło kropić i zerwał się wiatr.

Deryło pozostawił jej pytanie bez odpowiedzi. Ruszył dziarsko w stronę Trybunału. Grupa turystów zgromadzona przed Domem Złotnika rozstąpiła się, robiąc mu miejsce. Niektórzy obrzucili go zaciekawionym spojrzeniem. Komisarz utkwiał wzrok gdzieś w oddali.

– Na kocich łbach przyda ci się chyba pomoc? – szepnął, podając Tamarze ramię. – A teraz słuchaj uważnie. Mam pewien pomysł.

Wiktor Miller zerknął na wydruk podany mu przez sekretarkę. Pobieźnie przejrzał jego treść, po czym zmiął kartkę i wyrzucił ją do kosza. Zabębnił palcami w blat biurka.

- Pieprzeni idioci.
- Mam to przekazać do działu prawnego?
- Absolutnie. Szkoda ich zachodu. Ci kretyni doskonale wiedzą, że nie mogą nic ugrać.
- Wobec tego rozumiem, że mam nie informować zarządu?
- Jesteś moją sekretarką właśnie dlatego, że rozumiesz dokładnie tak, jak ja.

Miller był dyrektorem jednego z największych wydawnictw w kraju i za wszelką cenę starał się trzymać zarząd z dala od swoich spraw. Dla prezesa i jego świty liczyły się kwestie finansowe, a funkcjonowanie rynku książki sprowadzało się właśnie do cyferek. Za ich pomnażanie odpowiedzialni byli dyrektorzy. Dyrektorzy odpowiadali też za ewentualną stagnację oraz spadek dochodów. W związku z tym wydawnictwo służyło z ogromnej rotacji kadry, jednak Miller utrzymywał stanowisko już od przeszło pięciu lat. Zawdzięczał to pracowitości oraz wszechstronnemu wykształceniu. Był nie tylko dyrektorem odpowiedzialnym za dział kryminałów, ale sporadycznie udzielał się jako redaktor.

Wysoka brunetka spojrzała na niego z przyganą. Trudno mu było to przyznać, lecz kilkakrotnie oceniała sytuację lepiej od niego. To dzięki niej uniknęła wielu nieprzyjemności.

- Tym razem pismo wystosował adwokat.
- Jezu, no i co z tego? Przecież nie mają ani krzty racji...

Od paru tygodni grupa bogatych gnojków prowadzących sporą spółkę inwestycyjną straszyla ich pozwami. Wszystko przez zapowiadaną na koniec miesiąca premierę reportażu o dokonywanych przez nich machlojkach. Miller przez całkowity przypadek odpowiadał właśnie za tę publikację, ale jako kwestię honoru traktował własnoręczne, kompleksowe zakończenie sprawy.

- Skoro wynajęli i opłacili adwokata, szykują się na coś poważnego...

Mężczyzna westchnął. Sekretarka miała rację, ale na razie wolał odkładać ten problem w czasie. Choć może wcale nie było tak źle.

– Oni mają dziesiątki prawników, których opłacają regularnie – powiedział z przekonaniem. – Kazali jednemu z nich wystosować odpowiednie pismo, a ten nawpychał do niego stek bzdur. Na wszystko podobno mamy kwity. Na każdy jeden zarzut...

– I tak porozmawiałabym o tym z Lizawskim. Lepiej, żeby się nie okazało, że oparł się na zbyt wielu anonimowych źródłach.

- W końcu informatorzy mają prawo do utrzymania swoich danych w tajemnicy?

Miller przecesał palcami posiwiałe blond włosy i usiadł za biurkiem. Nerwowo poruszył myszką, po czym utkwiał wzrok w monitorze. To stanowiło ostentacyjny znak, że chce zostać sam. Miał aż nadto pracy.

- Może jednak...
- Przemyśle – zapewnił lekceważącym tonem. – Obiecuję.

Sekretarka wyszła z jego gabinetu i cicho zamknęła drzwi. Chwilę później Miller bezgłośnie zaklął. Obrócił się w fotelu, po czym wyciągnął z kosza zmiętą kartkę. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem jej treść.

– Tchórzliwi skurwysyni...

Kalkulacja była prosta. Żadnych ugód, żadnych ustępstw, żadnych negocjacji. Jeżeli te pajace mieliby pójść do sądu – godził się na to. Byli dość znani, aby każda sprawa wywołała rozgłos, który napędzi sprzedaż książki. Nieważne, jak się mówi, ważne, że się mówi – w tym przypadku to była jego dewiza. To, czy Lizawski zmyślał, czy nie, nie wydawało się przesadnie ważne. Poruszał istotne zagadnienia, a sam również był na tyle rozpoznawalną osobą, że projekt musiał się zwrócić z nawiązką. Nawet gdyby trzeba było zapłacić odszkodowanie. Poza tym Miller już przed dwoma tygodniami zaczął rozeznawać się, na co powinien się szykować. W razie przegranej sprawy nie było powodów do paniki. Odszkodowania zasądzone w podobnych sprawach nie przekraczały porządnej zaliczki autorskiej. Choć istniały też czarne scenariusze. O nich wołał jednak nie myśleć.

Miller ponownie zmiął pismo i wyrzucił je do kosza. Nachylił się nad biurkiem. Na pasku zadań wyświetliła się informacja o nowym mailu. Odruchowo otworzył skrzynkę i zerknął na wiadomość.

– Co, do jasnej cholery? – Zmrużył oczy, nie wierząc w to, co czyta. – Przecież to niemożliwe...

– Jedziemy coś zjeść? Włoch a może dla odmiany Gruzin? Znam rewelacyjną knajpkę z kuchnią gruzińską i ubiegając twoje pytanie: wiem, że działała jeszcze w dwudziestym pierwszym wieku.

Deryło zabrzączał kluczykami. Ponownie przeszli przez Bramę Trynitarzką i znaleźli się na parkingu przed katedrą. Wiatr przybrał na sile, a mżawka zmieniła się w ulewę. Wśród kropli deszczu spadały pojedyncze, wielkie płatki śniegu. Pierwszego w tym roku, co jednak nie zwróciło uwagi żadnego z policjantów.

– Wspomniałeś o jakimś pomysle. – Haler pośpiesznie weszła do kabiny Citroëna.

– Nic wielkiego, ale po prostu wiem, do jakiej roboty zagonić ludzi.

– Czyli nadal nie mówimy o konkretach?

Komisarz westchnął. W pierwszej chwili jego pomysł wydał mu się atrakcyjny, lecz chłód sprawił, że szybko ochłonął.

– Przyszło mi do głowy, że za te wszystkie mordy odpowiada psychofan Lubowa.

Haler zmrużyła oczy i uważnie spojrzała na Deryło.

– Mów dalej.

– Mam na myśli kogoś, kto za bardzo wczuł się w treść. Kogoś, kto został przez Lubowa zainspirowany, ale nie tyle chodzi mu o jego naśladowanie, co poznanie ciągu dalszego.

– Jakby dopisującego po swoim historii? Tak jak fani seriali zdjętych z anteny, wymyślający na forach fabuły kolejnych odcinków?

– Coś takiego.

Haler oparła głowę o zagłówek i przymknęła oczy. Pograżyła się w myślach. Tymczasem Deryło uruchomił silnik i nastawił ogrzewanie kabiny. Powoli wyjechał z parkingu.

– I tak nie sprawdzimy ich wszystkich – mówił, porządkując myśli. – Ale przekaz zespołowi, że do jutra rana chcę dostać na biurko nagrania oraz protokoły nagrań ze spotkań autorskich Lubowa. Ewentualnie listy osób, które się na nich pojawiły, choć o te pewnie będzie trudno. Poza tym potrzebne mi nazwiska pisujących do niego do więzienia.

Haler otworzyła oczy i sięgnęła po miętowe draże. Wycisnęła kilka wprost do ust.

– Hybristofilia... – wycedziła.

– Co takiego?

– Zboczenie polegające na odczuwaniu pożądania tylko wobec osób, które popełniły przestępstwo. To również może być jakiś trop. Tym bardziej że nie tylko Charles Manson wziął ślub po trafieniu za kraty.

– Czy te osoby są, jak ich ukochani, skłonne do popełnienia zbrodni?

– Niekoniecznie. – Tamara była wyraźnie ukontentowana, że może pochwalić się swoją wiedzą. Rozparła się w fotelu i obróciła do Deryły. – Ale nie można tego wykluczyć. Hybristofilia ma rozmaite podłoże. Z jednej strony dotyczy osób, które dążą do związków z więźniami, a z drugiej każdego przestępcy. Pożądanie nastawione na więźniów tłumaczy się na przykład świadomością, że łatwo będzie się ich kontrolowało lub że nie będą w stanie skrzywdzić partnera. Są też przypadki osób, które po prostu chciały zasłynąć związkami z psychopatami. Ponadto nie można wykluczyć, że osobowość psychopatyczna przyciąga sobie podobne. Choć najbardziej przemawia do mnie ta pierwsza teoria.

Deryło skręcił w Bernardyńską i zaparkował na chodniku naprzeciwko Browaru Perły. Z całej siły zaciągnął hamulec ręczny.

– No to mamy jakiś plan – mruknął, wyciągając kluczyk. – Liczę, że na komendzie nie grzeją tyłków i też doszli do jakichkolwiek wniosków.

– Przede wszystkim czekam na sprawdzenie alibi Lauro i Warskiego.

– To zawsze coś. Wysiadasz czy znowu złapałeś te swoją zawiechę?

– „Koło. Wieczny ruch. Tak właśnie kręcił się świat” – zacytowała podkomisarz, otwierając drzwi. – Ciągle mnie męczą te słowa.

– Może wpadniesz na coś, gdy zjesz chaczapuri, zagryziesz je chinkali i dopchasz czurczelę.

Tamara spojrzała podejrzliwie na Deryło. Mimo to dziarsko wyskoczyła z auta. Nie zważając na siąpiący deszcz ze śniegiem, ruszyła ku podwórzu, w którym znajdowała się restauracja. W chłodnym powietrzu już z daleka poczuła apetyczny zapach.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

Rozwiązanie zagadki miało przyjść jej do głowy kilka godzin później.

DZIEŃ NASTĘPNY

– Chyba wiem, w czym rzecz. Znam rozwiązanie tej cholernej zagadki.

Deryło zamrugał. Zerknął na leżący przy nim zegarek, ale było zbyt ciemno, żeby odczytał godzinę. Odsunął komórkę od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Czwarta dwanaście.

– Jezu, Tamaro, daj mi chwilę na obudzenie.

– Chodzi mi o ten rebus.

– Co z nim?

– Jeszcze raz przeanalizowałam książki Lubowa. Miał kilka motywów, które przewijały się szczególnie często.

Deryło usiadł na łóżku i się przeciągnął. Powoli się rozbudzał.

– Morderstwo, morderstwo, morderstwo?

– Nie. Właśnie wcale nie. Przeliczyłam morderstwa z losowo wybranych czterech książek i wyszło mi ledwie siedem, z czego, jak wiesz, niemal wszystkie zostały popełnione też w rzeczywistości. Znacznie częściej niż krew u Lubowa pojawiają się dylematy wiary, wątpliwości religijne i im podobne...

– Od razu o tym mówiłaś w kontekście tego tekstu spod powiek...

Haler wypuściła w słuchawkę powietrze. Po chwili Deryło usłyszał ciche trzaśnięcie i uświadomił sobie, że nawet w środku nocy jego partnerka zajada się drażami.

– Przejdziemy w końcu do sedna? – zapytał nieco rozdrażniony.

– Jasne. Wiesz, co znaczy Betlejem?

– Dom światła?

– Dom chleba. Co można odnosić zarówno do sklepu z pieczywem, jak i do piekarni.

– Cudownie. Teraz przejdziemy do historii religii...

Deryło wstał i zapalił światło. Wiedział, że ze spania już nici, a w głowie czuł nieprzyjemny ucisk.

– „Koło. Wieczny ruch. Tak właśnie kręcił się świat” – po raz kolejny zacytowała Haler. – Ten wers wydawał mi się kluczowy. Reszta to jakby preludium, ale tylko w nim jest prawdziwa metafora.

– Nadal nie widzę związku z chlebem.

Tamara na moment zawiesiła głos. Uwielbiała dozować napięcie.

– Młyn – obwieściła tryumfalnie. – Młyn jako wiatrak ma bardzo bogatą symbolikę, odnoszącą się właśnie do wiecznego ruchu i świata.

– Tak, wiem. Łopaty w kształcie krzyża to znak Chrystusa, wiatr to Duch Święty, a młynarz Bóg. I co z tego?

– Przecież mamy w Lublinie młyny.

Deryło pstryknął palcami.

– No tak! Już rozumiem!

Jak oparzony założył spodnie i wyciągnął z szafy koszulę. Jego umysł powoli się rozkręcał. Zesztywniałe po obudzeniu neurony zaczęły nawiązywać kolejne połączenia.

– W Lublinie i okolicach jest kilka odrestaurowanych zabytków oraz ruin – przyznał, starając się je sobie przypomnieć.

– Już wytypowałam cztery najciekawsze. Jakiś czas temu wysłałam patrole, aby obchodziły tereny, z których widać te młyny. – Haler westchnęła. – Czekaj, muszę coś sprawdzić.

W słuchawce zapadła cisza. Deryło, przeciągając się, ruszył do łazienki.

– Jesteś tam? Halo?

Po chwili usłyszał stłumiony głos Haler:

– Cholera jasna...

Starszy sierżant Adam Turski dopalił papierosa i wyrzucił go na ulicę. Był środek nocy, chciało mu się spać, a po parunastu godzinach służby nogi odmawiały posłuszeństwa. Przez pieprzony grafik oraz braki kadrowe musiał włączyć się po okolicy jak zwykły krawężnik. Już to przerobił lata temu. Teraz powinien siedzieć przy biurku i, tak jak zawsze marzył, cieszyć się stabilizacją. Nigdy nie traktował pracy w policji jako okazji do szaleńczych pościgów, udziału w strzelaninach czy medialnych akcjach. Nie lubił nawet oglądać filmów sensacyjnych. Liczyła się po prostu ciepła, państwowa posadka.

– Co tak długo?

Wziął kubek kawy od przydzielonego mu starszego posterunkowego – Andrzeja Matczuka. Młodszy od niego o ponad dekadę policjant sprawiał wrażenie chorego psychicznie. Nie tylko przez cały czas był pobudzony, lecz nie zdradzał żadnych potrzeb fizjologicznych. Jakby nie sikał, nie jadł ani nie pił. Jeśli spodziewał się, że Turski doceni jego zaangażowanie w raporcie, bardzo się mylił. Raport miał być lakoniczny i ogólnikowy. Taki, by po jego napisaniu jak najwięcej czasu można było poświęcić układaniu na komputerze pasjansa. I taki, by nikomu z przełożonych nie przyszło do głowy o nic dopytywać.

– Przepraszam, nie mogłem szybciej – Matczuk wybełkotał usprawiedliwiającym tonem. – Na stacji była potworna kolejka.

– W środku nocy?

– Trafiłem na moment, gdy zatrzymał się autokar z jakimiś turystami. Kilkadziesiąt osób ruszyło do kibli albo po kawę. Armagedon, do tego...

– Dobra, już dobra. Nie bręcz mi nad uchem, bo mi łeb pęknie.

– Ale ja naprawdę...

Turski łypnął na podwładnego spode łba. Posterunkowy natychmiast zamilkł i założył ręce za plecy. Chwilę później krok za krokiem powlekli się na obchód kolejnego miejsca wskazanego przez dyspozytora. Dostali jedynie ogólny zarys planu operacji. Mieli się spodziewać interwencji przeciwko niebezpiecznej, uzbrojonej osobie. Nie wiedzieli tylko, po czym mieliby ją poznać. Cała akcja wydawała się owiana tajemnicą, choć w rzeczywistości jak zwykle chodziło o skostniałe procedury. Zanim z góry spłyną konkretne wieści w czym rzecz, pewnie nastanie już ranek. Niektóre procesy nigdy się nie zmieniały.

– Już się nie mogę doczekać świąt. – Matczuk rozglądał się po pustej uliczce. – Uwielbiam ten nastrój i przygotowania. Tylko żeby w tym roku spadł w końcu śnieg...

– Zawracanie głowy ze śniegiem. Popada dwa dni, a potem przez dwa tygodnie grzęźnie się w błocie i plusze.

– Nie lubi pan bajkowych świąt?

– Nie mówię, że nie lubię. Po prostu patrzę na nie praktycznie.

– Ja tam uwielbiam śnieg.

Turski z rezygnacją pokręcił głową.

– Gdybyś miał trójkę dzieci w przedziale od czterech do sześciu lat, to myśląc o śniegu, chciałbyś sobie strzelić w łeb.

– Jest aż tak źle? Moja żona chce właśnie trójkę. Ja uważam, że dwójka to aż nadto.

– Zaczynjcie od pierwszego, to się przekonacie. I pamiętajcie, że wbrew temu, co mówią, potem jest tylko gorzej.

Maczuk cicho się zaśmiał. Policjanci obeszlili spory parking i zboczyli z głównej ścieżki. Jeszcze tu nie byli, a zgodnie z zaleceniami powinni poruszać się po kole. Obchodzić teren i sprawdzać okolicę. Wyczekiwać czegoś podejrzanego. Nie mieli tylko pojęcia, co to miałyby być. Ani kto. Rozkaz brzmiał tak oględnie, jakby brali udział w polowaniu na postać z horrorów.

Robiło się coraz zimniej i zerwał się wiatr. Turski zaczął dygotać. Podskakiwał oraz zacierał ręce. Chuchał.

– Tędy... – Wskazał na ścieżynę między ogrodzeniem z siatki oraz gęstymi krzakami. – Przynajmniej przez chwilę nie będzie piździć.

Posterunkowy ruszył tuż za nim. Dróżka była błotnista i śliska. Wokół cuchnęło fekaliami oraz wilgocią. Jacyś bezdomni musieli w pobliżu urządzić sobie toaletę. Nagle sierżant się zatrzymał i Matczuk niemal wpadł na jego plecy.

– Co się stało?

Turski stał jak wryty. Posterunkowy nie widział jego twarzy, lecz już sam ton, jakim się odezwał, napawał przerażeniem.

– Kurwa mać...

Gdy Deryło wyszedł z klatki, Tamara już na niego czekała. Siedziała na motocyklu z bulgoczącym silnikiem i bębniła palcami w manetki. Na widok komisarza odwróciła się, po czym sięgnęła po drugi kask.

– Zbierasz się jak panienka – skwitowała, wrzucając bieg.

Deryło ociężale usadowił się za nią i podciągnął poły płaszcza.

– Na pewno nie chcesz kurtki?

– Na pewno. A ty powinnaś przerzucić się na inny środek transportu. Przynajmniej w taką pogodę.

Haler nie odpowiedziała. Dodała gazu i z rykiem silnika wytoczyła motocykl z osiedlowej uliczki. Chwilę później zaprezentowała, na co stać jej maszynę. Mimo że ulice były mokre, wykorzystwała niemal kompletny brak ruchu i wciąż niedziałającą w wielu miejscach sygnalizację. Jak oszalała pognąła obwodnicą, aby zjechać w ostatni zjazd przed skansenem.

Niespełna minutę później zdrętwiały z zimna i emocji Deryło zszedł z motocykla. Na parkingu były już dwa radiowozy oraz karetka. W mroku majaczyły zabudowania Muzeum Wsi Lubelskiej.

– Musicie przejść tam. – Niski, zaspany policjant wskazał w stronę pasa bezlistnych krzaków. Nieopodal błyskały latarki.

– Widzieliście już, co tam jest?

– Nie. Kazano mi jedynie zabezpieczać teren.

Deryło i Haler pośpiesznie ruszyli we wskazanym kierunku. Naprzeciw nich wyszedł kolejny policjant. Twarz wielkiego, postawnego sierżanta wykrzywił grymas odrazy. Wydawało się, jakby mężczyzna z trudem powstrzymywał torsje.

– Co za popieprzona bestia... – wycedził. – Żadne zwierzę nie zrobiłoby czegoś takiego. Nawet diabeł...

Deryło zerknął na Halera i ruszył w stronę krzaków. Chwilę później w białym świetle laterek zrozumieli, o czym mówił sierżant. Nagie ciało zostało zawieszona za ręce i nogi na siatkowanym ogrodzeniu. Nie sposób było rozpoznać choćby płci. Jednak widząc zmierzwiłone brązowe włosy, Deryło nie miał wątpliwości, że właśnie odnaleźli Paulinę Karską.

Ciało zostało przytwierdzone do ogrodzenia za pomocą plastikowych pasków zaciskowych. Wydawało się jednak, że w każdej chwili może rozpaść się na kawałki. Z większej części pleców zdarto płaty skóry. Z pośladków wykrojono je razem z kawałkami mięsa oraz tłuszczu. Jedno udo oskórowano, a do tego jakby wygryziono znaczną jego część.

Deryło przysunął się do ogrodzenia i zerknął na zwłoki od boku. Skrzywił się z odrazą. Obie piersi zostały wycięte, a w ich miejscu skrzyła się teraz płatanina ścięgien oraz mięśni, pomiędzy których błyskały zakrwawione kości. W sztucznym świetle krew wydawała się niemal kruczoczarna. Umazane w niej były chyba wszystkie nieokaleczone fragmenty ciała. Naddarty płat skóry zwisał z brzucha i zakrywał krocze ofiary. Narządy wewnątrz pozostały w jamie brzusznej, lecz wokół unosił się okropny smród.

Komisarz odwrócił wzrok i nabrał powietrza. Widział, że Haler z naukową dbałością o szczegóły lustruje każdy milimetr ciała zmarłej. Wychylała się nad ogrodzeniem, przykucała i z powrotem wstawała. Obserwując, zapisywała w umyśle najdrobniejsze szczegóły. Deryło wiedział,

że jeśli nawet za kilka dni zapyta ją o długość przycięcia któregoś z paznokci ofiary, Tamara będzie znała odpowiedź. Jej mózg pracował jak chłonący detale otoczenia komputer.

Teraz z najbliższej odległości przypatrywała się twarzy zamordowanej. Niemal dotykała nosem zmasakrowanego policzka. Zęby ofiary były odsłonięte w makabrycznym uśmiechu. Usunięto jej wargi, a kąciki ust zostały rozcięte. Zamknięte oczy zaklejono substancją przypominającą klej, która zbryliła się i wyglądała jak łyzy. Pewne było, że przed śmiercią kobieta niewyobrażalnie cierpiała.

Haler wreszcie odkaszlnęła i wyszła z zarośli. Łypnęła na stojącego obok Deryłę.

– Coś mi tu kompletnie nie pasuje...

Haler stała obok motocykla i nerwowo pocierała podbródek. Intensywnie ssała drażę.

– Mam wrażenie, że nie przeczytałam jakiejs książki Lubowa. Przez cały czas coś nam umyka. Pierwsze morderstwo nosiło ślady tego z książki, ale ani to, ani ten zakonnik... – Westchnęła. Zerknęła na wschód, ponad linią drzew, gdzie niebo zaczęło już się rozjaśniać. – Jasne, ten fragment zagadki pasuje do książek Lubowa jak ulał, ale problem w tym, że z nich nie pochodzi. Chyba że to jakaś nieznana pozycja.

Deryło popijał podaną mu przez jednego z policjantów kawę. Czuł, że napój czyni spustoszenie w jego pustym żołądku, ale nie zwracał na to uwagi. Potrzebował kofeiny. Potrzebował kopniaka, który ostatecznie wyrwałby go z nocnego odrętwienia. Ale skoro nie udało się to nawet makabrycznie okaleczonym zwłokom, wątpił, by udało się kawie. Notoryczne niewyspanie mogło być pokłosiem tygodniowej śpiączki.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

– To wcale nie musiałyby być nieznana książka. – Upił kolejny łyk kawy. – Może go nie doceniamy.

– Co masz na myśli?

– Pozycję wydaną pod pseudonimem. Przecież wielu autorów tak robi.

Haler pstryknęła palcami.

– Masz rację! Zresztą wydaje mi się, że swego czasu chodziły słuchy o tym, że tworzył pod pseudonimem...

– Niech ViSir sięgnie do internetowych baz danych i szuka tych fragmentów we wszelkich dostępnych książkach.

– Tyle że niewiele pozycji sprzed kilkunastu lat jest w formie elektronicznej.

Deryło zasępił się. Wypił kawę do końca i zmiął kubek. Rozejrzał się za śmietnikiem, ale tego nigdzie nie było, więc gniewnie cisnął kubek na ziemię. Tamara spojrzała na niego z przyganą.

Komisarz ciężko nabrał powietrza i pokręcił głową.

– Przepraszam. – Sięgnął po kubek, po czym odstawił go na siedzenie motocykla. – Wyrzucisz po drodze. A teraz dzwoni do ViSira. Na twoje rozkazy zabierze się do roboty o północy.

– Właśnie tego zawsze się obawiam.

Kiedy Haler wyciągnęła telefon, rozległy się dźwięki sarabandy Haendla. Deryło spojrzał na nią spode łba.

– Miałaś dzwonić do ViSira, nie do mnie.

Tamara zerknęła na wyświetlacz.

– Ale to nie ja.

– Cholera, kolejne dobre wieści z samego rana?

Deryło wyjął komórkę i natychmiast odebrał. Przez chwilę milczał, wreszcie udzielił kilku zdawkowych odpowiedzi. Haler uważnie mu się przysłuchiwała, lecz z półsłówek nie była w stanie nic wywnioskować. Nagle komisarz się rozłączył i sięgnął po leżący na motocyklowym kufrze kask.

– Zbieraj się, jedziemy.

Wiktor Miller przyjął ich w sali konferencyjnej. Znajdował się w niej długi, dębowy stół otoczony krzesłami oraz kilka regałów pełnych książek. W rogu stała potężna juka. Mimo że dzień był pochmurny, przez wysokie, sięgające niemal sufitu okna do pomieszczenia wpadało sporo światła.

– Dostałem tę wiadomość wczoraj po południu – oznajmił dyrektor wydawnictwa. – Najpierw uznałem, że to jakiś idiotyczny żart, ale... Czytałem w prasie o tych ostatnich morderstwach i naśladowcy Lubowa. Wolę dmuchać na zimne.

– Media dodają wiele od siebie – stwierdziła z przekąsem Haler. – Ale przejdźmy do rzeczy. Co to za wiadomość?

Miller otworzył leżący przed sobą laptop i obrócił go w stronę policjantów.

– Widzicie?

Deryło przysunął się bliżej stołu i zmrużył oczy. Już od dawna powinien nosić okulary, ale uparcie się przed tym wzbraniał.

Wiadomość była krótka, składała się ledwie z kilku zdań i zawierała załącznik.

Igor Lubow nie napisał ani jednej książki. To ja jestem autorem i ja tworzę ten świat. Każda ofiara stała się jego częścią.

– Co to za bełkot? – Deryło zerknął najpierw na Haler, a potem na Millera. – Czy były jakiegokolwiek wątpliwości co do autorstwa Lubowa?

– Nigdy.

– Więc rozumie pan coś z tego?

– Tyle co wy. Jak wspomniałem, uznałbym to za czyjś durny wygłup, gdyby nie załącznik.

Miller rozpiął guziki rękawów i je podwinął. Jego czoło było zroszone potem. Zamontowany pod sufitem klimatyzator tłoczył do pomieszczenia niemal tropikalne powietrze.

Haler przyciągnęła laptop i otworzyła plik. Po chwili na ekranie wyświetlił się dokument tekstowy. Podkomisarz pośpiesznie go przewinęła.

Deryło mrużył oczy, starając się cokolwiek przeczytać. Po układzie tekstu domyślił się, że mają do czynienia z książką. Zresztą już w pierwszej rozmowie przez telefon Miller mu o niej nadmienił.

– Przejrzałem ją bardzo pobieżnie – odezwał się dyrektor – ale od razu widać, że komuś udało się doskonale naśladować styl Lubowa. Poza tym są w niej nawiązania do postaci oraz wątków z jego opublikowanych przez nas książek.

– Czy to mógł być tekst, nad którym pracował na przykład przed aresztowaniem?

– Wątpię. Igor znudził się kryminałem i mimo moich namów kategorycznie zapowiedział, że nie stworzy już nic w tym gatunku. Myślę, że to była szczerza zapowiedź. Poza tym czerpał satysfakcję z tego, że jego emocje przekuły się w to... – Miller przez chwilę szukał właściwego słowa – w to, co się działo. Morderca niejako realizował jego fabułę.

– Tamaro...

Deryło zerknął na Haler. Ta była całkowicie pochłonięta ponownym przeglądaniem załącznika. Robiła to w zawrotnym tempie. Komisarz już wcześniej zauważył, że posiada umiejętność dosłownie pożerania tekstu.

– Trafiałś na coś?

– Tu nie ma ostatnich rozdziałów...

Miller pokiwał głową.

– Też na to zwróciłem uwagę. Ale właśnie tak robił Lubow. Nie wiem, czy z przezorności, czy z przesadności, ale nigdy nie wysyłał końcówki tekstu.

– Więc jak kończy się ta historia? – dopytał Deryło.

Haler odchrząknęła.

– Zmasakrowanymi zwłokami zakonnika, które zostają odnalezione w lesie. Właśnie nastąpił ciąg dalszy.

„Ale on nie żyje, prawda?”

Pytanie Millera tłuło się Deryle po głowie przez całą drogę na komendę. Uczepiony Haler niemal nie zwracał uwagi na osiąganą przez nią zawrotną prędkość. Nie przeszkadzał mu przesywający chłód ani auta rozchlapujące niedaleko nich kałuże.

„Ano, nie żyje” – odparł. Przynajmniej sam chciał w to wierzyć. Tyle że to, czy Lubow żył, czy był równie martwy jak Lenin czy Mao, nie miało specjalnego znaczenia. Ktoś mordował w taki sam sposób jak on, ktoś pisał jak on i ktoś robił wszystko, aby utrzymać stworzone przez niego emocje.

– Możesz już mnie puścić...

Haler stała, podtrzymując jedną nogą motocykl. Znajdowali się na parkingu komendy, a deszcz ponownie zaczynał padać.

– No tak... Przepraszam.

Deryło zszedł z siedziska i otrząpał nogawki spodni. Poły jego płaszcz na dole były kompletnie zabłocone. Nie zwrócił na to jednak uwagi. Ociężałym krokiem ruszył w stronę komendy. Gdy pokonał kilka kroków, dostrzegł mężczyznę biegnącego od strony załomu muru. Po chwili rozpoznał Bernarda Wejcherta. Mężczyzna był blady i roztrzęsiony. Zaczesane na bok włosy skrzyły się od wilgoci i przetłuszczenia.

– Lubow był niewinny? – wybuchnął, zbliżając się do komisarza. – Morderca mojej narzeczonej nie trafił do pierdła?! Pomyliliście się, prawda? A ten sukinsyn morduje dalej tak, jak kiedyś...

Deryło zatrzymał się zaskoczony tym nawałem pytań. Z tyłu za sobą usłyszał kroki Haler.

– Już się pan lepiej czuje?

– Nigdy nie czułem się gorzej.

– A jednak nie jest już pan w szpitalu.

Wejchert parsknął.

– Wystarczy przetłumaczyć lekarzom, że wcale nie zamierzało się zabić, a tylko testowało techniki wiązania lin. Przecież, kurwa, nie mam obniżonego nastroju ani myśli samobójczych.

– Nie wygląda pan na takiego. – Tamara stanęła obok komisarza i obrzuciła Wejcherta ponurym spojrzeniem. – A jeżeli chodzi o człowieka, który zamordował pańską narzeczoną, to on nie żyje. Sąd nie miał żadnych wątpliwości co do winy Lubowa.

– Podobnie jak do winy paru innych, którzy odsiadali dożywocie, a teraz dostają milionowe odszkodowania.

– W tym wypadku nie było żadnych wątpliwości. Materiał dowodowy...

Wejchert rozpaczliwie machnął ręką.

– Ja wiem, że to nie był on. Czułem to. Rozumiecie? Prawdziwy morderca się wymknął i uciął na pewien czas. Takie rzeczy się czuje...

Deryło zerknął na Haler. Mimo niezbyt zasobnych pokładów empatii współczuł Wejchertowi, jednak nie miał czasu na tłumaczenie mu tajników śledztwa. Zresztą w ogóle nie powinien tego robić.

– Może masz jakiś kontakt na linię pomocy dla osób takich jak pan Bernard...

Haler z niedowierzaniem pokręciła głową. Komisarz miał wyjątkową umiejętność cedowania na nią wszelkich problemów. Sam ruszył ku wejściu do komendy. Wtedy Wejchert chwycił go za

łokieć.

– Podejrzewacie kogoś? Niech mi pan powie, czy macie kogoś podejrzanego?

Deryło bezlitośnie odtrącił go niczym natrętną muchę.

– Proszę mi wybaczyć. Mam mnóstwo pracy.

Kątem oka widział, że Wejchert płacze. Mężczyzna pochylił głowę i obniżył ramiona, a rozpacz wstrząsnęła całym jego wątłym ciałem. Jego sens życia rozpadł się po raz kolejny.

Pomyślał, że przynajmniej teraz nie ma już powodu popełniać samobójstwa. Gdyby się okazało, że istnieje życie po śmierci, a Lubow był rzeczywiście niewinny, toby nieźle się zdziwił... Ta myśl wydawała się zbyt pokrętna, ale wywołała na jego twarzy uśmiech. Wejchert dostrzegł go i odebrał jako szyderstwo.

– Ty sukinsynu... – Rzucił się za komisarzem, lecz Haler w porę złapała go za ramię.

– On pana aresztuje, a wcześniej solidnie obije – przestrzegła. – Niech mi pan uwierzy, że robimy wszystko, aby dorwać tego, kto popełnił te zbrodnie.

Upewniwszy się, że Wejchert nie będzie szamotał się z Tamarą, Deryło odwrócił się. Gdy mężczyzna wreszcie zrezygnowany potulnie ruszył w swoją stronę, wyciągnął telefon. Postanowił działać jak najszybciej. Nawet jeżeli na drodze miałyby mu stać przyjaźń czy utarty od zarania dziejów zwyczaj.

Wybrał numer Gawińskiego.

Tylko determinacją mógł pomóc Wejchertowi oraz rodzinom pozostałych ofiar.

Doktor Gawiński swoim zwyczajem miał rozpocząć pracę dopiero za kilka godzin. Obecnie w zakładzie medycyny przebywał jeden z jego młodszych kolegów, do których Deryło nie miał zaufania. Zresztą być może wcale nie chodziło o zaufanie, a o dziesięć lat współpracy i wytworzone przez to przyzwyczajenie. Być może pomoc Gawińskiego stanowiła dla komisarza substytut króliczej łapki albo podkowy. Wierzył, że jeżeli sekcję przeprowadzi właśnie on, sprawa prędzej lub później znajdzie swój szczęśliwy finał.

Poza tym nikt poza Gawińskim nie zdecydowałby się nagiąć przypisanej kolejności autopsji. Każda zmiana wymagała tłumaczeń oraz wypełnienia całej góry formalności.

Po blisko kwadransie nalegań doktor wreszcie uległ komisarzowi. Obiecał, że stawi się w zakładzie przed dwudziestą i priorytetowo zabierze do zwłok odnalezionych przy skansenie.

– To moja ostatnia przysługa – zastrzegł na zakończenie. – Przed emeryturą chcę mieć święty spokój, a nie bałagan w papierach.

– Słowo – odparł Deryło.

Niczym kłębek nerwów odczekał do wieczora, analizując kolejne spływające raporty. Ani ViSir, ani nikt z reszty zespołu nie poczynił żadnych postępów. Haler zanurzyła się w poszukiwaniach dzieł kryminalnych, które mogły być wydane przez Lubowa pod pseudonimem. Nakreśliła listę kilkudziesięciu pozycji i obdzwaniała kolejne wydawnictwa, wpytując o szczegóły. W niektórych sprawach pomocny był internet oraz możliwość zweryfikowania istnienia nieznanych lub zapomnianych już autorów. Praca na tyle ją pochłonęła, że zamiast wybrać się na obiad, poprosiła jednego z sierżantów o przyniesienie hamburgerów z baru mieszczącego się po drugiej stronie ulicy. Deryło nie mógł wytrzymać ich tłustego smrodu.

O osiemnastej wyszedł z komendy i skierował się na piechotę do zakładu medycyny. Komendę dzielili od niego ledwie dwa kilometry, które pokonał, idąc wśród zakorkowanych o tej porze ulic. Szedł pochłonięty myślami.

„Ale on nie żyje, prawda?”

Pytanie Millera mieszało się ze wspomnieniem rozbieganego, załamane spojrzenia Wejcherta. Mętliku dopełniał obraz eterycznej Sary Lauro, w której wyczuwał coś niepokojącego. Być może była to świadomość, że jej świat przez długi czas pozostawał ściśle spleciony ze światem seryjnego zabójcy.

Po drodze komisarz wstąpił do małego sklepu ze zdrową żywnością. Choć zawsze gardził podobnymi produktami, kupił niskotłuszczowe płaty suszonej wołowiny. To z nimi w ręce pół godziny później wkroczył do zakładu medycyny.

– Pewien okres w historii świata dobiegnie końca, gdy ja, ty i Knap odejdziemy w końcu na emerytury – oznajmił, przeżuwając kawał mięsa.

Gawiński zbył jego uwagę wzruszeniem ramion. Najwyraźniej pozował na obrażonego tym, że Deryło, wykorzystując ich przyjaźń, ściągnął go do roboty.

– Denatka została pozbawiona licznych fragmentów skóry, tkanki mięśniowej oraz ścięgien – relacjonował do dyktafonu. – Usunięto część pośladków, obie piersi, a także część ud. Twarz w znacznym stopniu okaleczona. Stężenie pośmiertne, temperatura ciała oraz plamy opadowe wskazują na zgon przed mniej niż dobą, a więcej niż dwunastoma godzinami...

Deryło w milczeniu usiadł i przypatrywał się metodycznej pracy doktora. Obserwował, jak w metalowych misach łądują organy wewnętrzne, przysłuchiwał się odgłosom rozcinanych kości oraz plaskowi wyciąganego mózgu. Czuł zapach śmierci, ale ten po raz pierwszy zupełnie mu nie przeszkadzał. Był otępiały i przebywał w swoim świecie.

Dopiero gdy Gawiński odłożył narzędzia i się wyprostował, komisarz wstał z metalowego stołka.

– Mam jeszcze jedną prośbę – odezwał się zmęczonym głosem.

Doktor zmarszczył lśniąca łysinę, ale nawet nie spojrzał na Deryłę.

– Niczego innego się nie spodziewałem.

Deryło od godziny wpatrywał się w obraz na monitorze. Piekły go oczy i bolała głowa. Nie wiedział, czy dochodziła już północ, czy może zbliżał się świt. Czuł, że nie jest już tak bystry jak kiedyś. Bał się, że śpiączka spowodowała jakieś nieodwracalne zmiany w jego mózgu. A może była to po prostu ambicja? Zawsze pieklił się, jeśli nie potrafił natychmiast czegoś wymyślić.

Śpiączka i wiek – orzekł wreszcie. To była jedyna słuszna diagnoza.

Ponure myśli zaprzętnęły mu głowę tak, że nie zauważył nawet, kiedy ekran komputera się zaciemnił. Nagle podniósł się z fotela i wykonał rękoma kilka wymachów. Dziarskim krokiem przeszedł po mieszkaniu. W kuchni oblał twarz zimną wodą, po czym otworzył okno. Do pomieszczenia wpadło zimne powietrze, lecz nie było w stanie ocucić komisarza.

Wreszcie Deryło zrezygnowany wrócił do gabinetu. Sięgnął po leżącą na biurku komórkę i otworzył listę kontaktów. Przez chwilę się wahał, wreszcie wybrał jeden z nich.

– Halo? – Haler odebrała niemal natychmiast.

– Miałem nadzieję, że choć raz uda mi się ciebie obudzić.

– Prawdę mówiąc, właśnie kładłam się spać, ale raczej nie spodziewam się, że zasnę. Poza tym chyba przewidziałam, że zadzwonisz. Co słysząc u Gawińskiego?

Deryło westchnął. Usiadł przy biurku i przytrzymał telefon ramieniem. Sięgnął po leżącą na stosiku równo przyciętą kwadratową kartkę.

– Pod powiekami znowu były fragmenty tekstu. Prawdopodobnie sprawca bał się, że w pozycji, w której zostawił ofiarę, wypłyną, dlatego zakleił jej oczy.

– Przekazaliście te karteczki do laboratorium?

– Już tak.

Haler mruknęła.

– Już? Skoro mówisz, że „już”, znaczy, że coś było przed.

– Poprosiłem, żeby Gawiński rozwinął te strzępki i obejrzał je pod jednym z tych swoich kosmicznych mikroskopów. W końcu w laboratorium zrobią to samo, a zajmie im to co najmniej kilkanaście godzin...

– Wiesz, że to sprzeczne z procedurą? – Tamara zawiesiła na moment głos. – Dobra, nieważne. Mów, co zobaczył.

– Tym razem zdaje się, że tekst stanowi całość. Wydrukowaną jakąś mikroczytną i podartą na dziewięć kawałków. Kombinowałem, lecz nie udało mi się ich skleić w nic sensownego, a doktorek oczywiście umył od tego ręce.

– Szkoda, że nie widziałam...

Deryło uśmiechnął się. Zmiał właśnie złożonego żurawia origami i cisnął go do kosza.

– Tego się spodziewałem. Ale okazało się, że te kosmiczne mikroskopy mają możliwość zrobienia zdjęcia. Albo skanu, nie wnikam w nomenklaturę i proces technologiczny. W każdym razie już masz je na pocztę.

– Dopiero mi mówisz? – Haler momentalnie się ożywiła. – Zaraz do tego siądę.

– Nie wiedziałem, czy mam prawo fundować ci bezsenną noc.

– Myślałeś, że mam coś lepszego do roboty? Gdybym ci opowiedziała o swoich ostatnich koszmarach, sam nie chciałbyś spać.

Deryło się zasępił. Wiedział aż nazbyt wiele o nocnych koszmarach. Gdy kilka minut później zgasił lampkę i wyciągnął się w fotelu, również bał się, że lada moment nadejdą. Nie był jednak w stanie, jak kiedyś, nie spać kilku dni pod rząd. Powieki się mu kleiły, a myśli zaczęły mieszać.

W sumie koszmary nie były gorsze od bezsenności...

Chyba że...

DZIEŃ NASTĘPNY

Deryło przyjechał na komendę tuż po siódmej. Tego ranka Citroën był całkiem skory do współpracy i nie sprawił mu żadnych problemów. To wprawiło komisarza w dobry nastrój. Podobnie jak fakt, że nie pamiętał żadnych snów, a do tego przespał więcej niż trzy godziny.

Mimo to dzień rozpoczął od zwyczajowego espresso. Właśnie w momencie, gdy sączył gęstą kawę, do gabinetu wparowała Haler. Trzymała przerzuconą przez ramię kurtkę motocyklową, za pasek miała wsunięte rękawiczki, ale nie było wątpliwości, że bladość jej twarzy to nie skutek szarży jednośladem. Podkrążone, zaczerwienione oczy oraz lekko zaróżowione z emocji policzki nasuwały jednoznaczne wnioski. Całą noc musiała ślęczeć nad przesłanymi przez komisarza fragmentami.

– Kawy... – wybełkotała błagalnym tonem.

– Spałaś choć chwilę?

– Nie. Najpierw układanie fragmentów kompletnie mi nie szło, ale potem wystarczyło, że połączyłam trzy z nich i ruszyłam z kopyta. Szkoda, że było to już koło szóstej rano...

Deryło ponownie nastawił ekspres i uważnie zerknął na Tamarę.

– Ułożyłaś ten fragment?

– Mhm. Masz go już na mailu. – Podkomisarz uśmiechnęła się tryumfalnie. – Błagam tylko, nim rzucisz się do komputera, zrób mi tę kawę.

– Jesteś niewiarygodna.

Chwilę później Deryło podał Haler filiżankę parującego, podwójnego espresso, a sam nachylił się nad biurkiem. Rzeczywiście na poczcie miał wiadomość od Tamary, wysłaną niemal przed godziną. Otworzył ją i usiadł na fotelu. Przysunął się bliżej ekranu.

Załącznik składał się z kilku zdań, lecz Deryło, zanim zaczął czytać, odwrócił się jeszcze do Haler.

– Skojarzyłaś ten fragment z jakąkolwiek książką? Wczoraj przekopałaś się chyba przez całą literaturę gatunkową ostatniego ćwierćwiecza...

– Niestety nie. W żadnej z przejrzanych pozycji nie znalazłam podobnego opisu. Nawet w tej, którą przesłało ostatnio do wydawcy Lubowa.

– Więc...

Deryło zamilkł i spojrzał na ekran. Uważnie przeczytał wiadomość.

Zwłoki zostały pozbawione wielu fragmentów skóry, tkanki mięśniowej oraz tłuszczowej. Kobieta nie miała łatwej śmierci i było widać to na pierwszym rzut oka. Ogrom cierpienia, bólu oraz katusze odbiły się na wyrazie jej pokiereszowanej twarzy. Wycinając wargi i nacinając policzki, jej oprawca sprawił, że uśmiechała się przerażającym uśmiechem.

Ciało zostało rozpięte na siatce. Kobieta jak urzeczona spoglądała na młyn, który obrazował rytm dnia i nocy, przemienność pór roku oraz trud ludzki nierozzerwalnie związany z naturą. Przemienność cechowała całe jej życie. Niegdyś była ogromną fanką tego, który okazał się rozczarowaniem. Teraz została zabita przez prawdę.

Deryło przeciągnął dłońmi po twarzy i odwrócił się do Halera.

– Skoro przeczytałaś tę książkę, którą przedwczoraj dostało wydawnictwo...

Tamara weszła mu w słowo.

– To tylko początek i zawiązanie akcji. Nieco odbiegające od poprzednich prac Lubowa.

– Nic dziwnego, skoro on nie żyje. Tyle że jeśli ostatnia zbrodnia została teraz dopisana, to znaczy, że sprawca nie chce być tylko naśladowcą. Albo znudziło mu się naśladowanie.

– Niekoniecznie. – Haler odstawiła filiżankę i oblizała usta. – Chyba mam koncepcję, o co w tym chodzi...

Deryło założył ręce na piersi. Pochylił głowę i wymownie spojrzął na Halera. Nie zamierzał dopytywać ani drążyć. Oczekiwał, że wyłoży mu swoją teorię tu i teraz, bez zbędnej zwłoki i owijania w bawełnę. Tamara uśmiechnęła się blado.

– Sprawca pisze tę książkę na bieżąco – zaczęła mówić metodycznym, rzeczowym tonem. – Pierwszy fragment, upchnięty pod powieki Eleny Wilskiej, miał stanowić jedynie połączenie z dotychczasową twórczością Lubowa. Dlatego zdania były niepełne, a ich relacja niejasna. Ot, mgliste przejście do kolejnego tomu. Tekst, który trafił do wydawnictwa, to właściwie literacka próba odtworzenia naszego śledztwa przy wykorzystaniu bohaterów Lubowa.

– A zakonnik to zupełnie przypadkowa ofiara bez nawiązania do poprzednich części?

– Nie wiem, czy przypadkowa. W każdym razie całkowicie nowa i niezależna od opisów z wcześniejszych książek, choć nawiązująca do *Zbezczeszczonego*. To wydaje mi się odróżniać obecnego zabójcę od Lubowa.

Deryło uniósł dłoń w geście mającym przystopować rozpędzający się wywód.

– Chyba nie nadążam.

– To proste. – Halera upewniła się, że w filiżance nie ma już nawet kropli kawy, i podeszła do biurka. – Lubow mordował według scen, które wcześniej napisał. W tym przypadku wiele wskazuje, że proces przebiega na odwrót. Ktoś najpierw morduje, a potem na chybicka dopisuje do tego historię.

– Ta... I drukuje ją pod ogrodzeniem skansenu?

– Akurat sam proces porzucenia oraz okaleczenia zwłok wydaje mi się napisany z góry. Ale to nieważne. Upychając te fragmenty pod powiekami ofiar, sprawca chce, abyśmy śledzili fabułę jego książki na bieżąco.

– W takim razie, po co te dywagacje o... – Deryło zerknął na ekran komputera, po czym dokończył – „zabiciu przez prawdę”? Po co ta cała zabawa w podkopywanie autorstwa Lubowa?

– Tego nie wiem.

– Może naśladowca to psychol, przekonany o tym, że w rzeczywistości był autorem i pierwotnym sprawcą. Zresztą czy możemy być pewni, że tak nie było? Ja mam coraz więcej wątpliwości.

Halera wyjęła z kieszeni opakowanie miętusów, lecz jedynie obróciła je w dłoni. W zadumie spojrzała za okno. Ciężkie, stalowe chmury przesunęły się po niebie. Poranna mgła zmieszana ze smogiem ograniczały widoczność. Nie było widać nawet zarysów Starego Miasta.

– Zastanawiałam się nad tym – odparła po chwili. – Chciałam uchwycić się jakiegokolwiek teorii i relacji. Dlatego zadzwoniłam do zakładu karnego, aby podpytać o zachowanie Lubowa. Niewielu morderców w pudle obrasta gołębimi piórkami.

– Poproszę taśmę bez metafor.

– Wszystko można sprowadzić do jednego – Lubow przed śmiercią był w izolatce.

Deryło sapnął. Przedał na pół złożonego przed chwilą żurawia i z niedowierzaniem rozłożył ręce.

– Za co?

– Usiłował otruć współwięźnia i stał się ogólnie niebezpieczny. Już w izolatce chciał zabić strażnika, lecz jakby w ostatnim momencie się rozmyślił. W każdym razie mordercze zapędy

z pewnością w nim pozostały.

– Chyba że strażnik, jak to czasem bywa, chciał go udupić...

Deryło nagle zerwał się z fotela i ruszył do drzwi. Zerwał z wieszaka płaszcz.

– Wychodzisz?

– Tak. Muszę coś sprawdzić.

Daniel Milski zgodził się porozmawiać z komisarzem nad Zalewem Zemborzyckim. Deryło dostał do niego kontakt od dyrektora zakładu karnego, a klawisz robił wszystko, byle nie przyszło mu do głowy nachodzić go w domu. Przynajmniej obiecał się stawić w miejscu umówionego spotkania niemal natychmiast.

Deryło zostawił auto na żwirowym parkingu, a następnie ruszył w stronę tamy. O tej porze i przy zapowiadającym się lada moment deszczu wokół niemal nie było ludzi. Kilka osób z psami, pojedynczy biegacze i to wszystko. Żadnych grup młodzieży, niemal żadnych zakochanych par. Zresztą pogoda zapewne odstraszyła również Haler. Podkomisarz postanowiła zostać na komendzie i wertować akta. Nie było sensu, aby oboje tracili czas na kolejną, być może bezowocną, pogadankę.

Gdy Deryło oddalił się kilkadziesiąt metrów od Citroëna, zaczęło kropić. Przez moment chciał wrócić po parasol, lecz dostrzegł machającego do niego mężczyznę. Wysoki, dość postawny blondyn stał pod rozłożystym, bezlistnym drzewem. Ruszył w stronę komisarza i rozłożył czarny parasol.

– Zapraszam! – Uniósł go, podchodząc, by Deryło mógł schować się obok niego. – Będę mógł się pochwalić, że uchroniłem słynnego komisarza przed przeziębieniem.

Deryło pochylił się i ramiona mężczyzny się zetknęły. Przez chwilę szli w milczeniu w stronę tamy.

– Chce pan wiedzieć, dlaczego Lubow darował mi życie? – odezwał się wreszcie klawisz. – Już przez telefon pan o tym wspomniał...

Komisarz skinął głową w milczeniu.

– Nie wiem. Przyznam, że nie mam pojęcia, ale zadał mi tę pieprzoną zagadkę, a ja na nią odpowiedziałem. Zrobił to, co obiecał.

– Zagadkę?

– Nie słyszał pan o tym? Myślałem, że ma pan dostęp do akt i...

– Nie ubiegałem się o nie.

Milski zatrzymał się niedaleko metalowej barierki i spojrzał na spienioną wodę zalewu.

– „Zjawiam się, kiedy chcę, i całkowicie zniewalam” – zaczął recytować ponurym tonem. – „Przerażam w sposób fałszywy, lecz bliski prawdy. Dostrzec mnie może tylko ten, kto najpierw zamknie swe oczy. Kim jestem?” To tylko parafraza, ale sedno się zgadza.

– I znał pan odpowiedź? – Deryło nie silił się na strzelanie, choć miał swoje typy. Poza tym już gdzieś słyszał o tej zagadce.

– Powiedziałem pierwsze, co przyszło mi do głowy – że chodzi o koszmar.

Komisarz zaśmiał się nerwowo.

– I wtedy pana wypuścił?

– Niemal natychmiast.

– Nic przy tym nie powiedział?

– Nie. Ale przez moment byłem pewny, że mnie zabije. W jego oczach... On naprawdę zachowywał się jak oszalały morderca. Choć jednocześnie był piekielnie skomplikowanym charakterem. Nie potrafiłem go rozgryźć, lecz... – Milski odwrócił się do komisarza i spojrzał mu w oczy. – Było w nim coś niezwykłego. Coś, co sprawiło, że słuchali się go nawet najgorsi więźniowie.

– Nie miał z nimi problemów?

– Absolutnie. Dogadywał się z każdym, ale nie na zasadzie kumpelstwa, bo nikogo nie dopuszczał zbyt blisko siebie, ale tak, że po prostu inni go szanowali. Budził respekt, czego nie potrafią niektórzy stu pięćdziesięciokilogramowi pakerzy.

Deryło wyszedł spod parasola. Wolał moknąć niż niemal całować się pod nim, patrząc w oczy strażnikowi. Poza tym ten mówił coraz szybciej, wyraźnie zafascynowany Lubowem. Komisarz nawet nie musiał zadawać pytań.

– Przed śmiercią trafił do izolatki za to, że dodał do herbaty współwzięcia jakiś kwas. Nikt nie wie, skąd go skołował, ale nie było wątpliwości, że to on. Zresztą się przyznał. Nie cierpiał, jeśli ktoś się mu stawiał, a choć nie był mocarzem, radził sobie swoimi sposobami. I zaręczam panu, że potrafił sobie poradzić dosłownie z każdym... A w ostatnim czasie zaczęło mu się odklejać.

– Co pan przez to rozumie?

– Stał się agresywny, szorstki, niemal przestał rozmawiać. Jednemu z osadzonych złamał rękę, choć oficjalnie zostało to zakwalifikowane jako wypadek. Przez kilka dni prowadził strajk głodowy, ale nie postawił żadnych żądań. Osuwał się w świat swojej fantazji. – Milski zerknął na zegarek. Deszcz zaczynał padać coraz mocniej. – Przepraszam, ale chyba się rozgadałem... To mogą być moje nadinterpretacje, komisarzu.

– Wcale nie. – Deryło przeczesał palcami mokre włosy. – Chcę grać z panem w otwarte karty. Jak służby ze służbami, nieco poza protokołem. Tym bardziej że po tym morderstwie przy skansenie...

– Teraz doszło do mordy przy skansenie?

Komisarz zmrużył oczy i przyjrzał się Milskiemu. Mężczyzna nagle pobladł, a skóra na jego twarzy jakby się napięła. Zapewne Haler potrafiłaby z jego mimiki wyczytać znacznie więcej, lecz Deryło to wystarczyło, by zrozumieć, że być może właśnie trafił na coś istotnego.

– Nie wiedział pan o tym?

Klawisz pokręcił głową.

– Zatrzymałem się na ofierze odnalezionej w lesie. Na tym księdzu czy zakonniku, a od wczoraj miałem wolne i nawet z nikim nie rozmawiałem...

– Morderca rozwiesił ciało na ogrodzeniu. – Deryło sprecyzował, podkreślając swoje szczere intencje i poufały ton rozmowy. – Wcześniej niemal kompletnie oskórował tę kobietę...

– Niech pan nie żartuje!

– Dlaczego tak to pana dziwi?

Strażnik z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie odpowiedział od razu na pytanie komisarza, a wzrok wbił w chodnik. Jego dłoń na rączce parasola zaczęła drżeć.

– Przecież to niemożliwe...

Uzpełniliście fikcyjny świat treścią? Zawiązaliście akcję? Wasze cielece spojrzenia zdradzają, że nie tkwicie dość mocno w fabule. Nie wiecie, co wydarzy się za chwilę? Czy od pracy oderwał was mój głos?

Piszcie. Wystukajcie tych kilka cholernych liter, ulóżcie je w słowo, a potem w następane. Akcja sama ruszy. Projektor waszej wyobraźni zafurkocze. Będziecie musieli w odpowiedniej chwili go wyłączyć i zatrzymać film. Bez dopalaczy nikt nie napisał książki za jednym rzutem. A nawet jeśli, to raczej nie dożył jej publikacji.

Ale po kolei.

W końcu zbliżamy się do najciekawszego. Wielu z was pewnie męczy się przy opisie zmasakrowanych zwłok albo rozważań głównego antagonisty. Zastanawiacie się, jak by to mogło wyglądać, i odtwarzacie domysły. Nie czujecie bluesa. Piszecie, bo tak sobie zaplanowaliście – nieważne, czy robicie to świadomie, czy nie. Nieważne, czy rozpisaliście sobie fabułę, czy zdaje się wam, że planujecie ją na bieżąco. Tamten świat jest poza wami.

Zabawmy się w szybkie pytanie i szybką odpowiedź. Nie musicie mówić nic głośno, nie obchodzi mnie to. Odpowiedzcie sobie sami, ale zróbcie to od razu, w sposób, który spontanicznie przyjdzie wam do głowy. Bądźcie całkowicie szczerzy. Już chyba mówiłem, że w tym fachu szczerłość ze sobą to podstawa. No, zaczynajmy. Czas start.

Czy morderca z waszych powieści jest prawo-, czy leworęczny?

Odpowiadajcie!

Jaki posiłek jadł jako ostatni?

Czym pachnie?

Czy lubi zapach krwi? A może ten go prowokuje lub obrzydza?

Wyobraźcie go sobie nagiego. Jaki jest? Jakim jednym słowem byście go opisali?

Czy, spoglądając w lustro, patrzy sobie w oczy?

Czy, siedząc na kiblu, czyta gazetę?

Czy kiedykolwiek płacze?

Jeśli odpowiedzi przyszły wam do głowy od razu, to znaczy, że właściwie weszliście w fabułę. Jeśli nie, możemy jeszcze wszystko nadrobić. Bohaterowie stają się żywi. Dobro, które urzeka, jak i zło, które przeraża, muszą być prawdziwe. Muszą mieć skórę i kości. Muszą jeść, pić, a także defekować. Rozumiecie?

Dzięki tym pytaniom przechodzimy do najważniejszego.

Niczym Frankenstein stworzymy prawdziwe monstrum. Ożywimy wasze myśli i wypuścimy je na wolność. Jak to zrobić?

To całkiem łatwe.

Zaraz zdradzę wam sekret.

– Nie powinienem o tym mówić, choć... – Milski strzepnął deszcz z parasola. – W końcu chodzi o morderstwa, ale o ile to możliwe, proszę potraktować tę wiadomość jako poufną.

– Oczywiście. – Deryło z powagą skinął głową. – Nie musi pan o to prosić.

Strażnik nieco się rozluźnił. Ponownie spojrzął na wodę wzburzoną kilka metrów pod ich stopami.

– Mój kolega na parę dni przed śmiercią Lubowa zabrał jego notes. Wydaje mi się, że zresztą właśnie przez to Igor zaczął się wściekać. Jakby zostały pobudzone jego mordercze instynkty...

– Wie pan, co było w tym notesie? Sądzę, że ktoś taki jak on nie prowadził pamiętnika z obserwacjami pogody...

– Nie. Jego umysł ciągle pracował nad fabułami. Czasem przez kilka godzin potrafił mówić do ściany, jakby recytował książkę.

– I nie spisywał jej?

– Nigdy nie sprawdziłem, czy spisywał akurat to, co mówił. Może w ten sposób przygotowywał się do pisania, a może odtwarzał to, co już stworzył. Nie wiem...

Milski wzruszył ramionami. Deryło chwycił go pod łokieć i poprowadził wzdłuż barierki. Zrobiło mu się zimno, a z włosów woda ściekała wartkimi strumyczkami za kołnierz.

– Dlaczego więc pański kolega zabrał mu ten notes?

– Dla żartu? Utrzymywał, że Lubow czymś go wkurzył i należy mu się kara. Choć sądę, że chodziło o coś kompletnie innego. Był po prostu ciekaw tego samego, co pan. Co się znajduje w notesie.

– Czy ktokolwiek poza panem o tym wiedział?

– Wątpię. – Milski ponownie wyciągnął rękę, by parasol znalazł się nad nimi. – Z całą pewnością Lubow nikomu się nie poskarżył.

Deryło westchnął. Chyba rozumiał, do czego zmierza opowieść Milskiego. I co go przed chwilą tak mocno poruszyło. Mimo to musiał dopytać.

– Ale panowie rozmawiali o tym, co pański kolega wyczytał w notesie?

– Tak.

Lakoniczna odpowiedź Milskiego wybrzmiała wyjątkowo ponuro. Obok mężczyzn przejechał kompletnie przemoknięty rowerzysta. Odwrócił się i spojrzął na nich z ciekawioną. Deryło chciał się mu przyjrzeć, lecz kask zasłaniał niemal całą jego twarz.

– Więc co tam było? – zapytał, gdy rowerzysta zniknął za zakrętem. – Scena mordu przy skansenie, prawda?

Strażnik, nie zatrzymując się, pokiwał głową. Nagle opuścił parasol i spojrzął na komisarza.

– Wydawała się tak szalona, że Bruno zadzwonił do mnie, aby ją opisać. Przeczytał ten fragment i... Jezu. To była totalna makabra, jakby się oglądało wszystko w kinie. Obraz dosłownie stawał przed oczami... Zrobiło mi się wtedy autentycznie niedobrze. Gdybym coś jadł, pewnie bym się porzygał.

– Chyba będę musiał porozmawiać z pańskim kolegą...

– W historii kryminalistyki już przewinęli się strażnicy więzienni i ogólnie osoby związane z więziennictwem, które okazywały się mordercami. W latach osiemdziesiątych dyrektor jednego z aresztów w Paryżu zabił cztery osoby. Naczelnik więzienia federalnego w Montanie porwał kobiety, gwałcił je i porzucał w górach, skazując na śmierć. W Polsce niejaki Grzegorz Koprowski, który był strażnikiem więziennym w...

Deryło oderwał dłoń od kierownicy i machnął nią, przerywając opowieść Haler. Przed chwilą zdał jej relację ze swojej rozmowy oraz wrażeń po spotkaniu z Milskim. Podkomisarz zareagowała w swoim stylu, wypytując o najdrobniejsze szczegóły, a potem przeszła do charakteryzowania zaburzeń w środowisku związanym z więziennictwem.

– Dlaczego Milski albo ten gość, do którego jedziemy, mieliby mordować? W ogóle nie przyszło mi to do głowy...

– Osoby, które mają kontakt z seryjnymi zabójcami, często zaczynają się nimi fascynować. Niejednokrotnie poddają się ich wpływowi. Lubow uchodził za szczególnie inteligentnego, a takie osoby lubią i, co ważniejsze, potrafią manipulować otoczeniem.

– Nakłaniając je do napisania, że nie są autorami książek, które pisali przez całe życie?

Deryło nawiązał do gazety, którą Haler mu pokazała, gdy przed kwadransem przyjechał po nią na komisariat. Na jednej z pierwszych stron był artykuł kontestujący nie tylko winę Lubowa, ale również jego zdolności pisarskie. Autor snuł sensacyjną teorię wielkiej intrygi, lecz ponoć podobnych insynuacji pojawiało się coraz więcej. ViSir meldował, że na jednym z internetowych forów dla fanów Lubowa tworzono petycję wzywającą do wykreślenia jego nazwiska z książek. Psychofani stawali się psychowrogami i za wszelką cenę chcieli poznać prawdziwego twórcę ich ulubionych powieści.

– Co by nie było, Milski wskazał nam kolejny trop. – Deryło skrzył w wąską uliczkę i rozejrzał się w poszukiwaniu tabliczek z numerami domów.

Haler rozgryzła miętowego dropsa.

– Być może – odezwała się, gdy komisarz parkował na środku chodnika. – Nikogo nie oskarżam, ale chcę mieć otwarty umysł.

– Tak, wiem, ty i ten twój otwarty umysł... Jesteśmy na miejscu. Zaraz będziesz mogła go otworzyć jeszcze szerzej.

Deryło wysiadł i ruszył w stronę niewielkiego, jednopiętrowego domu. Zajmował on niemal całą działkę w dzielnicy innych, podobnych do siebie jota w jotę budynków. Gdy zadzwonił do drzwi, niemal natychmiast otworzył mu rosły, ostrzyżony na łyso mężczyzna. Musiał to być Bruno Pylak, strażnik więzienny i kolega Milskiego.

– Daniel mówił, że pan przyjedzie, a... – Mężczyzna łypnął na Haler. – A to?

– Podkomisarz Tamara Haler. – Policjantka przedstawiła się i niemal przepchnęła między ramieniem mężczyzny oraz framugą, wchodząc do środka domu. Pylak, chcąc nie chcąc, zrobił miejsce dla Deryły.

Za wąskim wiatrołapem znajdował się salon połączony z aneksem kuchennym. Na niewielkiej sofie siedziała drobna blondynka, która na widok policjantów natychmiast wstała.

– Musimy porozmawiać, kochanie – odezwał się do niej strażnik. – To sprawy związane z robotą, więc...

– Tak, wiem.

Blondynka bez słowa przeszła do drugiego pokoju. Gdy zamknęła za sobą drzwi, Pylak wskazał na kanapę.

– Napijcie się czegoś?

– Nie – Deryło szybko podziękował. – Nie mamy czasu. Przepraszam, ale chciałbym od razu przejść do rzeczy...

– Tak?

– Chodzi o dziennik Igora Lubowa.

Klawisz momentalnie stał się czujny. Delikatny uśmiech zniknął z jego twarzy i przysunął sobie krzesło. Mimo to nie usiadł na nim.

– Co z nim?

– Chodzą słuchy, że może go pan mieć.

– To bardzo złe słuchy.

Deryło zmierzył rozmówcę ostrym spojrzeniem.

– Wydaje mi się jednak, że dobrze słyszałem.

– Może ktoś coś przekręcił, ale...

Haler weszła Pylakowi w słowo.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, dlaczego tu jesteśmy? – zapytała łagodnym tonem. – Nie interesuje nas, czy naruszył pan własność Lubowa, czy miał on w ogóle prawo posiadać notes ani jak dostał się on w pańskie ręce. Możemy nawet uznać, że go panu podarował i w nic nie będziemy wnikać. Notes ten jednak wiąże się ze śledztwem w sprawie trzech morderstw, więc dla pańskiego dobra bardzo, ale to bardzo, nalegam na szczerość. Ciężkie nieporozumienia może bardzo panu skomplikować życie. A tego nikt z nas nie chce. Prawda?

Bruno Pylak zacisnął zęby. Przez chwilę mierzył Halera gniewnym spojrzeniem. Wreszcie przeniósł wzrok na Deryłę, ale widząc na twarzy komisarza pogardliwy uśmieszek, spuścił wzrok.

– Nie mam go już... – wycedził.

Bruno Pylak zerknął w stronę drzwi, za którymi kilka minut wcześniej znikła jego żona. Odchrząknął, po czym przeniósł wzrok na Tamarę.

– Skoro gramy w otwarte karty... – zaczął i tym razem zerknął na komisarza. Wymienił z nim porozumiewawcze spojrzenie. – Jakiś czas temu narobiłem sobie długów. To nic nielegalnego – zapewnił natychmiast – po prostu kilka pożyczek na grę na giełdzie, NewConnect, a przede wszystkim Forex. Wiecie, co to Forex? Przy odrobinie szczęścia zainwestowane kilkanaście tysięcy może w parę minut zamienić się w milion. Potrzeba tylko krzty fartu...

– W przeciwnym razie wszystko się traci – dopowiedziała Haler.

– Zgadza się. Przehulałem w ten sposób dwie pożyczki pod rząd. Nie żadna tam wielka kwota, ale nie znoszę mieć długów.

– Więc sprzedał pan notes Lubowa?

– Tak.

Deryło sapnął. Przeciągnął dłońmi po twarzy i przetarł zmęczone oczy.

– Gdzie go pan sprzedał? – zapytał oschle.

– W internecie. – Pylak bezradnie rozłożył dłonie. – Ogłosiłem się na jego fanklubie, bo wiedziałem, że sprawa raczej nie wyjdzie poza grono tych świrniętych wielbicieli. Zasugerowałem, że to dość poufna sprawa.

– Poufna na fanklubie zrzeszającymi parę tysięcy osób?

Pokręcił głową i uśmiechnął się, jakby dumny z własnej przemyślności.

– Nie. Wybrałem zamkniętą grupę dla poszukiwaczy fantów związanych z Lubowem. Sądzę, że wiele z nich trafiło na rynek całkowicie nielegalnie.

– Zdobył pan planowaną kwotę?

– Z nawiązką. Zarobiłem prawie dwadzieścia kawałków.

Haler gwizdnęła.

– A dane nabywcy? – zapytała, mrużąc oczy i mierząc strażnika spojrzeniem od stóp do głów. – Ma je pan?

– Pani żartuje? Wiadomość została wysłana z konta, po którym nie ma już śladu. Ktoś się strasznie cykał i chciał odebrać ten notes jak okup, po tajniacku. Zostawił forszę w siatce... A ja na jej miejsce położyłem swoją paczkę.

Deryło gwałtownie wstał z kanapy i włożył dłonie do kieszeni. Chciał się uspokoić, dotykając srebrnej monety, ale to niewiele pomogło.

– Jest pan idiotą – wycedził, robiąc krok w stronę Pylaka. – Pracuje pan w służbie więziennej i odwała numer jak nastolatek? Chciał pan trafić do pierdla?

Strażnik westchnął i spuścił wzrok.

– Mam nadzieję, że zachowacie te informacje w tajemnicy... Wiem, że się wygłupiłem, ale byłem w kropce. Kiedy ma się do wyboru egzekucję komorniczą albo drobne ryzyko, oczywiście wybiera się to drugie. – Podniósł błagalne spojrzenie na komisarza. – Poza tym pomyślałem, że to nic groźnego. A notes przekazałem jakimś durnym dziwakiem. Po drodze zresztą minąłem jakichś cudaków poubieranych jak na zlot czarownic. Podejrzewam, że to mogli być oni.

Haler natychmiast wzmogła czujność.

- Byłby pan w stanie ich opisać?
 - Poza tym, co właśnie powiedziałem, niestety nie.
 - W takim razie gdzie pan przekazał ten notes i odebrał forszę?
 - Na jednym ze skwerów na LSM-ie. – Pylak gapił się w czubki swoich butów. – I jeśli chodzi o kamery, nie macie czego szukać, od razu się za nimi rozglądałem.
 - I tak będę potrzebowała daty oraz konkretnego adresu. – Haler wyciągnęła telefon i otworzyła jedną z aplikacji. – A teraz najważniejsze. Proszę przeczytać ten tekst i powiedzieć mi, czy to fragmenty znane panu z notesu.
- Strażnik ostrożnie wziął komórkę. Dłoń mu drżała, a między palcami skrzył się pot. Kilkukrotnie musiał poruszyć opuszką ekran, aby go właściwie przewinąć. Przez dłuższą chwilę czytał w skupieniu.
- Nie... – odezwał się wreszcie. – To coś innego. Chociaż...

Po wyjściu od Pylaka Deryło natychmiast zadzwonił do ViSira. Poprosił go o ustalenie danych osoby, do której przypisane zostało konto usunięte z fanklubu Lubowa. Ponadto informatyk miał jak najszybciej dowiedzieć się, gdzie są miejskie kamery w pobliżu skweru wskazanego przez strażnika więziennego. Misja była trudna, ale ponoć przy łucie szczęścia wykonalna.

– Wykonalna jak na Forexie? – dopytał Deryło.

– Chyba nie rozumiem?

– Nieważne. Podkomisarz Haler bardzo prosi przekazać, że nasza prośba jest szalenie pilna. Postara się odpowiednio wynagrodzić każdy sukces.

Deryło się rozłączył i zbył milczeniem pełne pretensji spojrzenie Tamary. Gdy wsiedli do Citroëna, przez chwilę obracał w dłoni sesterce.

– Jeśli dumasz nad tym, jak mnie z nim zeswatać, to lepiej daj sobie spokój.

Wyrwany z zamyślenia, odwrócił się w stronę podkomisarza.

– Pomyślałem, że jeżeli w notesie i książce przesłanej do wydawcy są te same postaci, mamy dwie opcje. Albo możemy mówić o tej samej pozycji, albo o jej kolejnych tomach.

– Od razu o tym pomyślałam. Ale do czego zmierzasz?

– Do tego, że jeśli opis mordu przy skansenie się powtarza, może do niego dojść ponownie. Chyba że notes stanowił jedynie szkicownik.

Haler odchrząknęła.

– Notes nie mógł stanowić szkicownika, bo wtedy musielibyśmy uznać, że Lubow zmartwychwstał.

– Niekoniecznie. – Deryło wyciągnął telefon i wybrał kolejny numer. Przez kolejnych kilka minut rozmawiał z kimś, prosząc o wykaz paczek lub listów, jakie wysyłał Lubow.

– I? – Tamara dopytała, gdy tylko się rozłączył.

– Zastępca dyrektora twierdzi, że prawie przez ostatnie dwa tygodnie przed śmiercią Lubow miał zakaz wysyłania jakichkolwiek paczek oraz listów.

– Co nie znaczy, że nie mógł ich przekazać komuś innemu. To standardowa praktyka.

– Z izolatki? Poza tym, skoro ten tępak ukradł mu notes, musiałby istnieć jeszcze jeden.

Haler nie wyglądała na zaskoczoną. Ta koncepcja wyraźnie ją przekonywała.

– Pisarze mają różne metody pracy, a w ten sposób moglibyśmy powiązać wiele elementów. Powinniśmy ustalić, z kim kontaktował się Lubow przez ostatnie miesiące przed śmiercią. Lista odwiedzin to za mało. Chyba potraktowaliśmy jego ewentualnego współnika lub współników jako zbyt głupich.

– Niech będzie, ale znowu historia zatacza krąg i ociera się o jego fanklub. Może powinniśmy naprawdę wziąć za chabety jego członków...

– Nie byłabym taka przekonana.

Deryło włożył kluczyk do stacyjki i uruchomił auto. Tamara oparła głowę o szybę.

– To internetowi dziobacze, pasjonaci książek, zlotów autorskich, i tyle... Chcesz przesłuchać każdego z nich? W jednym z ostatnich spotkań autorskich Lubowa brało udział prawie pół tysiąca osób.

– Może wyłowimy choć niektórych? Licząc na więcej szczęścia, niż przy inwestowaniu miał

Pylak.

– Psychofani... – Haler westchnęła. – Może to jednak właściwy trop?

W momencie gdy Deryło wyjechał z osiedlowej uliczki, rozległa się sarabanda Haendla.

Komisarz wyciągnął komórkę z kieszeni.

– ViSir – stwierdził i natychmiast odebrał.

Bruno Pylak stał przy oknie, obserwując, jak Deryło i Haler wsiadają do samochodu. Gdy tylko stary citroën odjechał, mężczyzna opuścił roletę.

– Czego chcieli?

Drgnął, słysząc tuż za sobą głos swojej żony. Powoli odwrócił się i zmusił do uśmiechu.

– Nic takiego, kochanie. Sprawy służbowe.

– Wyglądałeś na zmartwionego. Poza tym nigdy wcześniej nie odwiedzali cię policjanci w sprawach służbowych.

– Wypadło coś pilnego... Wiesz, że nie mogę mówić o tej cholерnej robocie.

Pylak podszedł do blondynki i delikatnie ją objął. Pocałował ją w czoło, po czym pogładził jej włosy.

– O nic się nie martw.

– Nie martwię się. Po prostu... – Kobieta wzruszyła ramionami, nieudolnie starając się uśmiechnąć. – Ostatnio zachowujesz się dziwnie.

– To przez te podwójne zmiany... Wiesz, że chciałem dorobić.

– Mimo to wołałabym, żeby było jak dawniej.

Pylak z irytacją sapnął.

– Czyli jak? Jak było dawniej? Co? – Odsunął się od żony i spojrzał jej wściekle w oczy. – Chcesz mówić o jakiejś pieprzonej idylli? Nigdy jej nie mieliśmy. Karmisz się kłamstwami i chcesz mi je wcisnąć. Ten dom – zatoczył palcem koło – przerobiliśmy go z cholерnej stodoły. Pamiętasz? Marzyłaś o uroczej sypialni na poddaszu i wsłuchiowaniu się w odgłos padającego deszczu. Ale nie było nas stać nawet na zaadaptowanie pierdolonego strychu. Nazwiesz to stylem skandynawskim? Ekoaranżacją? Powiem ci, co to jest naprawdę – gówno i brak pieniędzy. Choćbyś nie wiem jak bardzo się okłamywała, właśnie tak jest.

Z każdym słowem Bruna w oczach jego żony zbierały się łzy. Kiedy wreszcie zamilkł, kobieta przysłoniła dłońmi twarz i wybuchła płaczem.

– Sam powiedziałaś, żebym nie szła do pracy. To była twoja decyzja, zresztą tak jak każda dotycząca mojego życia. A teraz mi to wypominasz?

– Czy cokolwiek takiego powiedziałem?

– Zasugerowałeś. I to mi wystarczy.

Pylak wściekle rąbnął dłonią w stół. Zacisnął pięści i ruszył w stronę sypialni. Nagle zmienił zdanie. Zawrócił na pięcie, po czym sięgnął po klapę do piwnicy. Podniósł ją i zbiegł po kilku schodkach.

– Jak zwykle dramatyzujesz! – krzyknął, szukając po omacku włącznika światła.

Kiedy zawieszona na kablu żarówka rozbłysnęła, wyciągnął się i zamknął nad sobą klapę. Następnie podszedł do zdezelowanej szafki z narzędziami. Przez chwilę przyglądał się jej, ciężko dysząc. Wsłuchiwał się w odgłos kroków z wnętrza domu. Nie miał wątpliwości, że jego żona poszła do sypialni, rzuciła się na łóżko i resztę dnia przeleży, histerycznie płacząc.

Może rzeczywiście to była jego wina. Może ich życie potoczyłoby się całkowicie inaczej, gdyby kilkakrotnie nie przegrał wszystkich oszczędności. Mimo to zawsze tłumaczył się tym, że działał w jak najlepszej wierze. Marzył o wspaniałej przyszłości bez jakichkolwiek wyrzeczeń. Takiej,

na jaką zasługiwali ludzie tacy jak on.

Sięgnął do górnej szuflady i wyjął z niej płaskie pudełko z różnymi śrubkami. Odstawił je na półkę, po czym wsunął dłoń pod blat. Z prowizorycznej skrytki wyciągnął prostokątny notes w zielonej okładce.

Otworzył go i wciąż stojąc, zaczął czytać.

– Kurwa!

Deryło wściekle walnął dłonią w kierownicę. Zacisnął zęby i wciągnął przez nie powietrze. Haler nie odezwała się, czekając, aż chwilowa furia komisarza minie. Poznała go nazbyt dobrze, by wiedzieć, że podobne napady złości szybko ustępują. Potrafił pieklić się tylko przez moment, by wkrótce z lodowatym rozsądkiem roztrząsać powód złości.

Tak było i tym razem. Po kilku sekundach rumieniec spłynął z twarzy Deryły, a jego mięśnie się rozluźniły.

– ViSir nie jest w stanie niczego namierzyć – wycedził. – Portal, na którym Pylak rzekomo umieścił swój post, nie udostępnia danych służbom. Wydarcie jakichkolwiek informacji zajmie tydzień lub dłużej. To tak pokrótce, gdybyś pytała, co mnie wkurwiło.

– To droga oficjalna, ale...

Deryło natychmiast przerwał Haler.

– Twoje uroki na nic się zdadzą. ViSir z góry zastrzegł, że o przełamaniu zabezpieczeń na własną rękę w tym wypadku nie może być mowy. Był chyba zdruzgotany bardziej niż ja.

– W ostatnich latach FBI współpracowało z nami naprawdę sprawnie. Dostawaliśmy dane w dwa, trzy dni.

– A mamy dwa lub trzy dni?

Tamara mlasnęła. Odruchowo sięgnęła po drażę i wycisnęła jedną prosto do ust.

– Czyli jesteśmy w dupie – szepnęła, bezwiednie naśladowując ton komisarza.

– W totalnej dupie. Ale mam plan, mówię ci, mam cholerny plan. – Deryło ponownie zabębnił palcami w kierownicę. – Choćbym miał zawrócić dupę całemu światu, nie odpuszczę.

– Wobec tego gdzie jedziemy?

Komisarz nie odpowiedział. Wcisnął gaz do dechy, a silnik citroëna zawył. Przez kolejne kilkanaście minut jechali w milczeniu. Stalowszare chmury pokrywały niebo niezmiennie szczelną warstwą. Jednak przynajmniej nie padało. Mimo to jak zwykle w podobną pogodę, do tego po nocnych opadach deszczu ze śniegiem, ulice były całkowicie zakorkowane. Wreszcie Deryło zajechał na parking przy głównych budynkach UMCS. Machnął legitymacją, po czym ochroniarz, nie spiesząc się, podniósł szlaban.

Minutę później Haler pędziła za nim przez pokryty kałużami plac.

– Dokąd idziemy? – dopytywała.

Komisarz skinął na niebieską tabliczkę zawieszoną na budynku.

– Zakład filologii? Co ci po nim?

– Znam tu kogoś, kto może nam pomóc. Módl się, żeby nie odszedł na emeryturę.

Deryło wszedł do budynku i pośpiesznie wbiegł po schodach. Doskonale wiedział, gdzie się kierować. Minał grupę studentów, po czym ruszył do drzwi na końcu korytarza. Zerknął na zawieszoną na nich tabliczkę. Zadowolony, bez pukania nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. W ostatniej chwili zreflektował się i przepuścił w progu Haler.

– Co jest?! Bez puk...

Stary, wyprostowany jak struna mężczyzna w granatowym garniturze spojrział na nich spod okularów. Stał na sięgającej niemal sufitu drabinie i porządkował coś w biblioteczce.

- Eryk?
- Profesorze Kryll...
- Jezu, tyle lat!

Starzec z zadziwiającą gibkością zszedł na podłogę. Podeszedł do komisarza i go uścisnął. Następnie spojrzął na Haler i szeroko się uśmiechnął.

– Gratuluję, to twoja córka?

– Nie – odparł Deryło. – To moja partnerka, Tamara Haler.

– Haler? – Profesor potarł gładko ogolony podbródek. – Przepraszam za wścibskość, ale czy zna pani etymologię tego nazwiska?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Podkomisarz wzruszyła ramionami. – Przypuszczam, że wywodzi się od halerza, po czesku właśnie halera, lub miejscowości Hall w Niemczech.

Profesor zerknął na Deryło, a ten się uśmiechnął.

– Tamara jest chodzącą encyklopedią.

– Obstawiałbym właśnie na srebrne monety – halerze, ale... – Kryll machnął ręką. – Przypuszczam, że macie poważniejszą sprawę, skoro tu przychodzicie?

Deryło podał mu trzymaną dotąd teczkę.

– Niech pan otworzy. To nie bomba.

Kryll wyciągnął ze środka plik kartek i rozłożył je na wielkim biurku pośród mnóstwa szpargałów. Przez chwilę się im przyglądał.

– Co to?

– Książka, którą pewien autor przesłał do wydawnictwa, oraz przykłady jego innych dzieł.

– Chyba nie rozumiem. – Profesor zerknął najpierw na Haler, a potem przeniósł wzrok na komisarza. – Czego ode mnie oczekujecie?

Deryło podeszedł do biurka i zastukał palcem w grubszy plik papierów.

– Chciałbym, aby profesor porównał te fragmenty i ocenił, czy napisała je ta sama osoba.

Kryll nerwowo się roześmiał.

– Podobne badania prowadzi się tygodniami...

– My mamy godzinę lub dwie – wtrąciła się Tamara. – Inaczej ktoś może zginąć.

– Żartujecie sobie? – Mężczyzna zerknął na komisarza. – Ona tak poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

Skołowany profesor sięgnął po kartki i zaczął je pośpiesznie przeglądać. Nagle poprawił okulary i łypnął na Deryło.

– Chodzi o tę aferę z Lubowem, prawda? – zagadnął, ponownie skupiając się na tekstach. – Poznaję fragment jego prozy.

– Nie będę ukrywał, że właśnie w tej sprawie tu jesteśmy. I chyba nie muszę prosić o dyskrecję. Czytywał go pan?

– Kiedyś, gdy tylko wypłynął. Bardziej interesował mnie jako zjawisko niż twórca.

– Zjawisko? – Haler zerknęła profesorowi przez ramię.

Starzec zbył jej pytanie milczeniem. Przez kolejnych kilka minut w skupieniu czytał i przekładał kartki. Kilkukrotnie zakreślił coś w tekście, wreszcie odłożył oba pliki na biurko.

– W tym wypadku nie mam żadnych wątpliwości – oznajmił, poprawiając okulary. – To całkowicie oczywiste.

Deryło siedział na swoim fotelu i co chwilę sięgał po leżące przed nim frytki. Nienawidził ich, lecz głód zwyciężył. Po drodze nie mijali żadnej sensownej knajpy, a na szukanie ich poza trasą nie zamierzał marnować czasu.

W grobowym nastroju przyglądał się Haler. Tamara porządkowała papiery i wciąż coś porównywała. Istotne różnice, które zwróciły uwagę profesora Krylla, chyba ją zainspirowały. Nie tylko zadała mu mnóstwo pytań, lecz już zaraz po wyjściu zaczęła coś notować. Robiła to do tej pory. Przygryzała ołówek, wzdychała i kreśliła na kartkach dziwne znaki.

– Zdradzisz mi, co robisz? Ten marazm mnie dobije...

– Już kiedyś interesowałam się stylometrią, ale nie czułam się na siłach, żeby spróbować zastosować tę wiedzę. Chciałam porównać wszystkie teksty ze strzępków...

Deryło przewrócił oczami i sięgnął po kolejną frytkę.

– Czy jest coś, co cię nigdy nie zainteresowało?

– Stylometria to statystyka, a ta przydaje się nie tylko gdańskim profilerom. – Haler nawet nie usiłowała maskować ironii. – Sprowadza się do częstotliwości występowania określonych wyrazów oraz sformułowań. Kwestię błędów odrzucam, bo te, jak zauważył profesor, mogły zostać w książkach poprawione przez redakcję.

– I doszłaś do jakiegoś wniosku?

– Myślę, że...

Haler przerwała w pół zdania. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła komórkę. Zerknęła na ekran, a jej twarz momentalnie się rozjaśniła. Przesunęła palcem po ekranie.

– Co się stało?

– ViSir napisał, żebym sprawdziła skrzynkę mailową.

Deryło natychmiast się ożywił.

– Może coś znalazł? Albo natchnęła go miłość do ciebie i samodzielnie złamał te zabezpieczenia...

– Nie żartuj sobie z niego. On jest uroczy.

– Niech ci będzie. Masz coś?

– Chwila. – Haler czekała, aż wczyta się najnowsza wiadomość. Otworzyła ją i odczytała. – ViSir przesłał mi mail ze skrzynki wewnętrznej – stwierdziła ponuro. – Jest znacznie gorzej, niż sądziliśmy...

Ktoś umrze już dziś. Za kilka godzin lub kilka minut. Może umrzesz też ty. Ale to nie ma znaczenia, bo w twoje miejsce urodzi się dziesięcioro kolejnych, których rolą będzie mi służyć. Tylko ludzie, którym to przeznaczone, pozostawiają po sobie spuściznę. Rozumiesz? Kto zna nazwiska ofiar Teda Bundiego, Kuby Rozpruwacza, Syna Sama albo Zodiaka? Nikt. To zabójcy trwają w kulturze na wieki. To o nich się mówi i pisze, a przecież nawet jeśli kończą na krześle elektrycznym czy szubienicy, to właśnie ich drugie życie. Trwają w emocjach pokoleń. Stają się gwiazdami popkultury albo straszy się nimi dzieci. Mówię ci, ja będę żył, a ty wkrótce umrzesz. Nad złem mam władzę za życia, nad dobrem będę miał też po śmierci.

Deryło dwukrotnie przeczytał przesłany fragment. Splótł dłonie za głową i zaklął.

– Nie pamiętam tego z żadnej z opublikowanych już książek...

Haler w zamyśleniu pokiwała głową. Wciąż jak urzeczona patrzyła w ekran telefonu.

– Ja też. I nie wiem już, czy to specjalny szyfr, czy po prostu kolejny fragment, który jedynie zaprasza nas do zabawy.

– Nie widzę niczego, co świadczyłoby o tym, że to szyfr.

– Jest nim przynajmniej jedno zdanie.

– Które?

Deryło ponownie nachylił się nad włączonym przed kilkanaście minutami komputerem.

– Nad złem mam władzę za życia, nad dobrem będę miał też po śmierci – wyrecytowała Tamara. – To jakby sedno. Jedyne, co nie zostało powiedziane wprost.

– Coś ci to mówi?

– Chyba nie, ale...

Haler zmarszczyła czoło, obserwując Deryło przetrząsającego leżącą na biurku teczkę z aktami. Komisarz wysypywał z niej kolejne kartki i zdjęcia. Przeglądał je, po czym wyrzucał na podłogę.

– Szukasz formatu odpowiedniego dla żurawi origami?

Deryło nie odpowiedział. Sięgnął po kolejną, przyniesioną tego przedpołudnia teczkę i pośpiesznie przebrał kolejne dokumenty. Zachowywał się, jakby był w amoku. Niezrozumiale szeptał i bełkotał. Nagle chwycił jedno ze zdjęć. Obrócił się, po czym wyciągnął je do światła.

– Spójrz... – Pstryknął palcem w fotografię. – Poznajesz?

Haler stanęła obok niego i zmrużyła oczy. Domyślała się, kogo może mieć na myśli komisarz, lecz nie była przekonana.

– To bardzo naciągane...

– Naprawdę? W porównaniu z tym, co tu napisano, przestaje takie być.

– Chodzi ci o to, że... – Tamara sięgnęła do kieszeni po kluczyki do motocykla. – Mój Boże.

Fotografia, która przykuła uwagę Deryły, została wykonana na jednym ze spotkań autorskich Igora Lubowa. Pisarz siedział przy biurku ustawionym na oświetlonej scenie, a wokół niego zebrał się tłum fanów. Zgodnie z datą w prawym dolnym rogu zdjęcie wykonano przed pięcioma laty, czyli na krótko przed aresztowaniem Lubowa.

Postać, która zwróciła uwagę komisarza, stała w drugim szeregu i właściwie widoczna była jedynie jej głowa oraz ręka. Fotografia nie miała najlepszej jakości, ponadto stanowiła wydruk ze skanu wyszukanego przez ViSira gdzieś w odmętach sieci. Mimo to istniało pewne podobieństwo osoby ze spotkania oraz Bruna Pylaka. Mężczyzna charakteryzował się potężną budową, a rysy jego twarzy przypominały te strażnika więziennego. Na zdjęciu miał co prawda ciemne, kręcone włosy, lecz po ich odjęciu z pewną dozą optymizmu można było uznać, że to ta sama osoba.

– Naprawdę nie jestem przekonana. Wcześniej nie dostrzegłeś tego podobieństwa?

Haler pędziła za Deryłą, który tym razem natychmiast skierował się do jej motocykla. W tym samym momencie zaczął jednak padać gęsty, gruby śnieg.

– Cholera... Nie zamierzam się zabić właśnie teraz.

Komisarz zawrócił i ruszył w stronę stojącego przy samym wejściu do komendy Citroëna.

– Chodź, szybko...

– Wyjaśnisz mi, skąd ta twoja pewność?

– Gdybym był pewny, wezwałbym właśnie antyterrorystów, ale opieram się tylko na intuicji. – Deryło wszedł do samochodu i pośpiesznie uruchomił silnik. – To wszystko układa się w całość.

Haler zapięła pas i spojrzała na niego uważnie.

– Ale co? Tym razem to ty musisz mi coś wyjaśnić.

– Nad złem mam władzę za życia, nad dobrem będę miał też po śmierci. To *clou*.

– Uważasz, że... – Tamara rezolutnie pokiwała głową. Przygryzła wargę i powoli wypuściła powietrze. – Z całego kontekstu wynika, że „władza nad dobrem po śmierci” – nakreśliła palcami w powietrzu cudzysłów – to zaistnienie przez mordercę w ogólnej świadomości społeczeństwa. Natomiast władza nad złem za życia odnosi się do pracy strażnika więziennego?

– Dokładnie. Dzięki temu wszystko nabiera sensu. Rzekomo skradziony notatnik, wszystkie te bzdury o zachowaniu Lubowa, a nawet jego śmierć. Może wcale nie popełnił samobójstwa, a może...

– Sądzisz, że Pylak maczał w tym palce?

– Mógł ulec jego manipulacjom. Albo sam nim manipulować od wielu, wielu lat...

Deryło zbyt ostro wszedł w zakręt i Citroën stracił przyczepność. Zarzuciło jego tyłem, lecz w ostatniej chwili komisarzowi udało się go utrzymać na pasie. Jakby nigdy nic ponownie wcisnął gaz do dechy. Śnieg padał coraz gęściej. Wycieraczki nie nadążały z usuwaniem jego zbitej warstwy oklejającej co chwilę szybę. Ulice w błyskawicznym tempie zaczynały się korkować.

– Niech to szlag... – Deryło zjechał na chodnik i trąbiąc, pokonał po nim kilkadziesiąt metrów. Dzięki temu objechał jedno ze skrzyżowań.

– Jezu, Eryku!

– Przepraszam, mogliśmy wziąć służbową furę.

Tamara wbiła dłonie w fotel. Auto bujało się, jakby miało się zaraz przewrócić. Deryło, furiacko trąbiąc i mrugając światłami drogowymi, przejechał kilkanaście metrów pod prąd. Na

prawidłowy pas ruchu zjechał dopiero, gdy nieomal zderzyli się z jadącym z naprzeciwka trolejbusem.

– Jadąc motocyklem, mielibyśmy większe szanse przeżycia... – Haler przymknęła oczy. – Przymknęłam, że już nigdy, mając cię na plecaku, nie złamię żadnych przepisów!

Deryło nie zwrócił uwagi na jej zdenerwowanie.

– Przyjmijmy jednak, że strażnik uległ manipulacjom Lubowa – ciągnął swój wywód. – Mógł zgodzić się kontynuować jego dzieło.

– Ogłaszając, że to nie on jest autorem swoich powieści?

– Może coś poszło nie tak i nagle zechciał całkowicie przejąć jego życie? Może utożsamił się z nim? Nie jestem cholernym psychologiem.

Komisarz gwałtownie przyhamował i włączył światła awaryjne. Auto jeszcze przez moment sunęło do przodu, wreszcie się zatrzymało. Niewiele brakowało, a rąbnęłoby w nowiuteńkiego suwa mercedesa.

– Chodź!

Znajdowali się maksymalnie dwieście metrów od domu Pylaka i Deryło uznał, że szybciej pokonają tę odległość na piechotę. Wskoczył z Citroëna, po czym rzucił się biegiem w dół uliczki wiodącej wśród domów jednorodzinnych. Na niektórych ogródkach zapalono już dekoracje świąteczne. Oprószone coraz mocniej padającym śniegiem świerki prezentowały się wręcz bajkowo. Deryło nie zwracał jednak na nie żadnej uwagi. Po kilkudziesięciosiekundowym sprincie, ślizgając się i dysząc, dopadł do drzwi. Kilkukrotnie zadzwonił, lecz nikt nie otworzył.

Haler zerknęła przez boczne okienko do salonu. Odgarnęła śnieg i osłoniła oczy dłonią.

– Cholera... – syknęła, po czym rzuciła się ku drzwiom. Natarła na nie ramieniem, lecz te nie ustąpiły.

Deryło nie zamierzał o nic pytać. Pochylił się i osłonił twarz płaszczem. Z impetem uderzył w szybę przy drzwiach. Wpadł do środka domu wśród mnóstwa kawałków szkła. Te opadły na podłogę pokrytą setkami zadrukowanych, rozrzuconych wokół kartek oraz śladami krwi.

– Ciąg dalszy nastąpił – oznajmił ponuro komisarz.

– Spodziewał się nas. – Deryło sapnął. – Wiedział, że dzisiaj, po odczytaniu ostatniej wiadomości, trafimy na jego trop. Dokładnie tak to rozplanował.

Techników wciąż nie było, ale na miejscu zjawił się już pierwszy patrol. Dwaj policjanci, dygocąc z zimna, przechadzali się po posesji Pylaków. Deryło oraz Haler pośpiesznie przeglądali kolejne kartki. Starali się wyczytać z nich ogólny zarys fabuły spisanej przez mordercę. Co chwilę wymieniali się informacjami, co przypominało dialog dwójki obłąkanych.

– To bez sensu. – Haler nagle wyprostowała się i przytknęła palce do skroni. Potrafiła czytać w błyskawicznym tempie, lecz intensywne skupienie niemal zawsze skutkowało migreną. – Tym razem nie ma w tym żadnej osi akcji. To zbiór przypadkowych scen. Poza tym znaczną część z nich kojarzę już z dotychczasowych książek Lubowa.

– Twierdzisz, że to nie jest zakończenie powieści przesłanej do wydawnictwa?

– Chyba że ta stanowi kolaż parafraz poprzednich kryminałów...

– I Pylak zadałby sobie tyle trudu, żeby zyskać na czasie? – Deryło nachylił się nad jeszcze jedną kartką. Szybko zdał sobie sprawę, że już ją czytał. – To kompletnie nie trzyma się kupy, biorąc pod uwagę, że sam naprowadził nas na swój trop.

– Chce, aby ostatnią ofiarą była jego żona. Dlatego i tak musiał się stąd wynieść, na wypadek gdybyśmy zjawili się tu choćby przez przypadek. Nie mógł pozwolić, aby mu przerwano.

– Po co miałby zabijać właśnie żonę?

Haler westchnęła. Intensywnie ssała miętowe draże, lecz to nie mogło pomóc na ból głowy. Miała wrażenie, że na jej mózgu zaciska się imadło. Ciśnienie wypychało gałki jej oczu z oczodołów, a ból wręcz paraliżował mięśnie żuchwy. Skrzywiła się.

– To może być symboliczne. – Nabrała powietrza i przymknęła oczy. – W jednej z pierwszych powieści Lubowa zabójca zaczyna właśnie od zamordowania żony, a dopiero potem się rozkręca. Poza tym może to mieć funkcję wyzwolenia. Samodoskonalenia się, o którym wspomniano w ostatniej wiadomości. Pozbawiając się okowów małżeństwa, zabójca może pokazywać, że stłamsił wszelkie konwenanse i wyzwolił się nawet od najmocniejszego uczucia, jakim jest miłość.

Deryło parsknął.

– Nikt tak pięknie nie mówił o rozwodnikach.

– Chciałeś teorii, więc ją masz. Jeśli chcesz innych, zadzwoń do Remberta.

– Nie obruszaj się... – Komisarz spokojnie uniósł dłonie. – Wracajmy na komisariat, musimy ustalić, gdzie Pylak mógł się wybrać.

Haler niechętnie po raz ostatni zerknęła na rozrzucone kartki i ruszyła za komisarzem. Śnieg wciąż padał, a do tego zerwał się lodowaty wiatr. Gdy dochodzili do citroëna, dostrzegła stojącą obok niego ciężarówkę migającą żółtymi światłami.

– Laweta... – Wskazała komisarzowi.

– Niech się pieprzą.

Deryło sztywnym krokiem ruszył w stronę mężczyzny majstrującego przy haku citroëna. Na widok komisarza podniósł się i pokręcił głową.

– To pańskie auto? – zapytał, otrzepując śnieg z grubych rękawic. – Odbierze je pan z policyjnego parkingu, który jest niestety droższy od izby wytrzeźwień. Co panu przyszło do głowy...

Komisarz bez słowa przykucnął przy samochodzie i odczepił zaczep liny. Rzucił ją na bok, po czym ruszył do kabiny.

– Co pan... Mam zadzwonić po policję?!

Laweciarz pobiegł za nim. Gdy Deryło wsiadł do środka, ostentacyjnie wyciągnął telefon. Komisarz przekręcił kluczyk i na jałowym biegu dodał gazu. Silnik citroëna zawył. Pogrążony w myślach całkowicie nie zwracał uwagi na wykrzykującego do niego mężczyznę. Kątem oka dostrzegł, że Haler pokazuje mu legitymację i coś tłumaczy.

Nagle wsłuchał się w emitowane w radiu wiadomości. Podgłosił je i zacisnął zęby. News odczytywany przez redaktora sprawił, że drętwiał z każdym słowem.

Wszystkie elementy tego szaleństwa wskakiwały na właściwe miejsce. Tyle że mogło być już za późno.

– To niby jakiś salonik prasowy czy inna lipna audycja, ale redaktorzyzna postawił sensowną tezę.

Deryło ledwie dodawał gazu, a Citroën włókł się w ogromnym korku. Zrobiło się już ciemno i płatki śniegu wirowały podświetlane przez blade światła latarni oraz czerwone i żółte reflektory samochodowe. Świat nigdy nie jest tak migotliwy jak w trakcie nocnych śnieżyc w mieście.

– Twierdził, że rozmaite redakcje dostały list od słuchacza – ciągnął podekscytowany. – Podkreślono w nim, że Lubow nie napisał żadnej książki. Że miał ghostwritera, czy jak to się tam nazywa, a sam tylko szlifował ostateczną formę. Albo i nie. Kwestionowano też jego winę, zrzucając całą odpowiedzialność za zbrodnię na owego tajemniczego autora. To on miał zrobić Lubowa.

Haler założyła dłonie na piersi i przyknęła oczy.

– Brzmi jak typowa teoria spiskowa.

– Tak, tyle że jeśli ktoś naprawdę rozsyła ją do mnóstwa redakcji, musi mieć w tym interes.

– A ty doszukałeś się jego sensu? Istotniejszego niż chęć siania fermentu lub pochwalenia się swoją wesołą twórczością?

Deryło ostrożnie przyhamował. Przed nimi jechał stary volkswagen golf, w którym najwyraźniej nie wymieniono opon. Rzuciło nim na wszystkie strony i co chwilę z buksującymi kołami sunął po kilka metrów do przodu.

Deryło oderwał jedną dłoń od kierownicy i znacząco uniósł palec.

– Mamy motyw – oznajmił tryumfalnie. – Nie rozumiesz?

– Chyba nie nadążam.

– Zemsta. Chodzi o cholerną zemstę. Zobacz, kto wbrew pozorom może na tym wszystkim najbardziej stracić. Przynajmniej w sensie metaforycznym i z chorej perspektywy.

– Masz na myśli Lubowa?

– Właśnie! A kto mógłby chcieć ukarania właśnie jego?

Haler założyła włosy za uszy. Wyciągnęła rękę w stronę odkręconego na maksimum wywietrznika, z którego jednak niemal nie leciało ciepłe powietrze. Następnie schowała obie dłonie pod pachy.

– Jeżeli Lubow rzeczywiście miał ghostwritera, który odwalał za niego całą robotę, to ten może chcieć się teraz ujawnić. O ile jest podobnie spaczoną osobowością.

– Zło przyciągające zło – zgodził się Deryło. – Właśnie o tym pomyślałem. Jeżeli nawet przesłanki tego rozumowania są złe, to nasuwa się jeszcze jeden wniosek.

– Sądziłam, że to ja jestem od zimnej logiki, ale ktoś tu chyba wraca do formy po przegrzaniu styków?

Deryło uśmiechnął się ponuro.

– Jeżeli nawet ghostwriter nie istnieje, jeżeli to wszystko ściema, to i tak ktoś wkłada mnóstwo wysiłku, żeby zdyskredytować Lubowa jako pisarza. A jeżeli to robi...

– Może też chcieć zdyskredytować go jako mordercę – dokończyła Tamara. – O to miałyby chodzić Pylakowi? Sądzisz, że to on jest naśladowcą? A może nawet ghostwriterem?

Komisarz zacisnął usta. Przez chwilę na jego twarzy dosłownie było widać bezgraniczne skupienie. Nagle ponownie dodał gazu i zaczął opętańczo trąbić.

– Chyba nie tylko jego żonie grozi niebezpieczeństwo. Cholera... Jesteśmy głupi!

Cała zabawa zmierza do punktu kulminacyjnego. To on jest najważniejszy, choć w trakcie pisania nie możecie skupiać się tylko na nim. Dla rozluźnienia rzucę wam pewne porównanie – z tworzeniem fikcyjnych światów jest jak z seksem. A w seksie nie chodzi wyłącznie o orgazm, a o całą otoczkę włącznie z preludium i grą wstępną. Ba, nawet o romantyczną kolację przy świecach i lampce wina. W przeciwnym wypadku staje się tylko zwykłym rypaniem z dziwką. To wy jej płacicie, to wy macie chwilę satysfakcji, ale i wy, zamiast zarobić, wydacie forszę na selfpublishing. I mówię wam, nikt nie zechce tych dzieł kupić.

Musicie być dobrymi kochankami. Wasi czytelnicy powinni być złani potem z emocji i podekscytowani do granic wytrzymałości. Powinni chcieć przerzucać strony szybciej, niż ich oczy nadążają za tekstem. Powinni walczyć z pokusą ukojenia nerwów i przeczytania jedynie ostatnich zdań.

To wszystko dzieje się pod warunkiem, że na tym etapie nie bawicie się już tylko sami ze sobą. Jeżeli utrzymaliście czytelników tak długo, że są z wami, zaserwujcie im prawdziwy ogień. Zabierzcie ich do piekła, a potem jeszcze niżej w głąb czeluści. Wyrwijcie im serca i wyciśnijcie z nich łzy. Zjedzcie ich i wydalcie.

Mam nadzieję, że na tym etapie już żadne z was nie jest tylko narratorem. Musicie razem z bohaterami kroczyć ku rozwiązaniu zagadki. Musicie również tonąć w pocie, a serca powinny podchodzić wam do gardeł. Macie całe paznokcie? To znaczy, że po drodze coś poszło nie tak, jak powinno. Oderwaliście się przed chwilą od tekstu, aby pójść się wysikać? To znaczy, że po drodze coś poszło nie tak, jak powinno. Sprawdziliście pocztę albo wiadomości? No, odpowiedzcie wszyscy razem... Co się stało?

Wspaniale.

W tym momencie bombę atomową z początku musi zastąpić nalot dywanowy z bombami wodorowymi. Nie zastanawiajcie się, co się ostanie po bombardowaniu. To nieistotne. Teraz liczy się ogłuszający huk eksplozji i strzelające ku niebu płomienie. Niech razem z nimi wokół unosi się swąd palonych ciał, a wiatr rozwiewa ich strzępy. Niech nadpalona, zgnila skóra z kawałkami tłuszczu przyklei się do wyszczerzonych do książek zębów waszych czytelników. To, co się teraz wydarzy, pozostawi wasz ślad w umyśle każdego odbiorcy. Jeżeli zrobicie to dobrze, zostanieie w tych umysłach na naprawdę długo. Może nawet na zawsze.

Obiecywałem wam jeszcze jedną receptę, jak to osiągnąć. Co zrobić, żeby znikła jakakolwiek bariera pomiędzy nimi i wami. W jaki sposób możecie wręcz przeniknąć do ich świata i stanąć za ich plecami.

Słuchajcie uważnie.

To całkiem proste.

– Gdzie jedziemy?

Haler poprawiła pas i zaparła się nogami o podłogę citroëna. Deryło znów wykonał szereg wariackich manewrów. Na całe szczęście na tym odcinku korek przerzedził się, a przeciwny, prowadzący do centrum pas ruchu był niemal pusty.

– Do domu Bernarda Wejcherta.

Tamara zmarszczyła czoło.

– Po jasną cholere? Uważasz, że Pylak będzie chciał zamknąć krąg ofiar, eliminując osobę, której nie udało się zabić Lubowowi i w ten sposób udowodnić swoją wyższość?

– Albo to, że powrócił, aby dokończyć swoje dzieło.

– W takim razie...

Deryło przerwał Tamarze w pół zdania.

– Dzwon do Wejcherta. – Pochylił się, starając wyglądać między szalejącymi na najwyższej prędkości wycieraczkami. – Ostrzeż go, niech zamknie drzwi i okna, a najlepiej niech schroni się w jednym z pokoiów na piętrze. Może się zabarykadować.

– Robi się.

– Potem poinformuj Knapa i każ mu sprowadzić pod dom Wejcherta ekipę uderzeniową. Morderca może być gdzieś w pobliżu i wściec się, że mu przeszkadzamy.

– Chyba nie chcesz wejść do środka bez zgody Knapa? Nie mamy ani krztyny dowodów i to mu się na pewno nie spodoba.

– W dupie mam jego upodobania. Dzwon!

Haler posłusznie wyszukała wybierany przed paroma dniami numer Wejcherta. Zadzwoiła dwukrotnie, lecz mężczyzna nie podniósł słuchawki.

– Cholera...

Deryło zasepił się i mocniej zacisnął dłonie na kierownicy. Kłykcie wręcz pobieły, a mimo panującego w aucie chłodu po czole ściekał mu pot.

– Knap chce cię do telefonu...

Haler włączyła tryb głośnomówiący i położyła komórkę przy skrzyni biegów.

– Macie się zatrzymać! – inspektor ryknął do mikrofonu. – Rozumiecie? Nakazuję wam wstrzymać się od jakichkolwiek działań do czasu przyjazdu ekipy uderzeniowej.

Deryło zerknął na Tamarę. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Halo? Halo, inspektorze? – rzucił w stronę telefonu. – Słyszysz mnie pan? Okropnie przerywa.

– Mówiłem, że nie wyrażam zgody na żadną interwencję! Działacie na podstawie jakichś domysłów, ale i tak zabraniam wam podejmować jakiegokolwiek...

– Niestety, niewiele słyszę, inspektorze.

Deryło chwycił telefon i wypuścił w stronę głośnika powietrze. Uchylił okno, po czym wystawił go za okno.

– Nic nie słyszę – jęknął, ponownie zerkając na Halera.

Tamara już nie przejmowała się złorzeczeniami Knapa. Siedziała sztywno ze wzrokiem wpatrzonym gdzieś w dal. Skupiała się, jak zwykle przed niebezpieczną akcją. Bez słowa wyjęła z kabury pistolet i obróciła go w dłoni. Klamka zapadła. Wiedziała, że przy Deryle już nie ma odwrotu.

Można było być z nim lub przeciw niemu, a ona już dawno wybrała. Poruszyła glockiem, jakby go ważyła, po czym z powrotem włożyła broń do kabury.

– Panie naczelniku?

Deryło obrócił telefon i się rozłączył. Następnie rzucił aparat do schowka. Chwilę później zatrzymał się przed samym wjazdem na posesję Wejcherta. Jedno skrzydło bramy było uchylone, a na piętrze dworu paliło się światło. W śniegu widniały już niemal przysypane, ale jeszcze dość wyraźne ślady.

– Gotowa? – zapytał, wyskakując z auta.

– Gotowa – przytaknęła Haler.

Deryło pchnął uchylone drzwi i wszedł do środka. Powoli, krok za krokiem przeszedł po ciemku do salonu. Przez niezastłonięte okna do środka wpadało nieco odbitego od śniegu światła. Mimo to komisarz musiał uważać, aby nie wpaść na żaden ze sprzętów. Powoli rozróżniał widziane przed kilkoma dniami przedmioty. Minął fornirowaną czereśnią witrynę oraz okrągły stół kawowy otoczony kompletem krzesel.

– Panie Wejchert! – krzyknął, zbliżając się do ściany.

Odpowiedziała mu cisza.

Dał znać Haler, aby go ubezpieczała, i błyskawicznie wynurzył się zza załomu muru. Znajdująca się na uboczu klatka schodowa była pusta. Z góry sączyło się światło zapalone w którymś z pokoiów.

– Tu komisarz Eryk Deryło, policja!

Nadal cisza.

Kątem oka spostrzegł sporą paczkę leżącą niedaleko wejścia. Żałował, że nie wziął latarki, a ta w jego telefonie przestała działać już dawno temu. Na migi pokazał Tamarze, by użyła swojego.

Podkomisarz wyciągnęła komórkę i oświetliła tajemniczą paczkę. Jej bok miał około czterdziestu centymetrów, a na wierzchu widniały rozmaite cyfry oraz oznaczenia. Tuż obok znajdował się przedmiot przypominający kamerę. Mignęła zamontowana w nim czerwona dioda.

– Co jest...

Haler omiotła światłem latarki drogę, skąd przyszli, i wskazała na coś Deryle.

– Patrz – szepnęła.

Komisarz zauważył kolejny podobny pakunek tuż obok drzwi, przez które przed chwilą przeszli. Również obok niego znajdowała się jakby imitacja kamery, na której świeciła się taka sama czerwona dioda. Tamta jednak nie pulsowała.

– Co to?

Deryło wzruszył ramionami i kucnął przy paczce. Pokazał, by Haler ponownie mu poświeciła.

– „Explo. Stoffe verpackt” – odczytał jeden z napisów. Zauważył, że podkomisarz cofnęła się i chciała sięgnąć po przedmiot z diodą. Jak oparzony poderwał się, po czym rzucił w jej stronę.

– Nie! – krzyknął na cały głos. – Stój!

Haler zastygła w miejscu i powoli odwróciła się w jego stronę. W świetle latarki przez moment dostrzegł jej twarz. Pełną napięcia i zdziwienia.

– To niemieckie opakowania z drugiej wojny światowej – pośpiesznie wyjaśnił Deryło. – Przechowywano w nich ładunki wybuchowe.

– Ale...

– A te kamery to czujniki na podczerwień. Aktywowaliśmy wszystkie za nami i zapewne jeśli zrobimy krok do tyłu, cały ten budynek wyleci w powietrze.

Tamara obróciła się w stronę komisarza. Rozgryzła dąbę, czego odgłos dorównywał niemal trzęsieniu ziemi. W sztucznym świetle jej twarz wydawała się biała.

– Po co? – zapytała zaskoczona.

– Po to, żeby nikt zbyt wcześnie nie przyszedł nam z pomocą. Chyba właśnie znaleźliśmy się w ostatnim rozdziale tworzonej powieści...

– Boże.

– Dzwon do Knapa, niech wstrzyma ludzi. Oby tu nikt nie wszedł bez wcześniejszego rozpoznania, bo Magdalenka to będzie przy tym pikuś.

Haler natychmiast wybrała numer inspektora, po czym lakonicznie poinformowała go o sytuacji. Rozłączyła się, nim ten po raz kolejny zaczął się pieklić.

– Co teraz?

– Możemy iść tylko do przodu. Chyba że wolisz stać w miejscu i czekać, czy aby na pewno miałem rację.

– Wierzę na słowo i wolę się o tym nie przekonywać.

– Świetnie.

Policjanci, osłaniając się, ruszyli po schodach. Deryło kierował się prosto ku pomieszczeniu, w którym paliło się światło. Starał się stawiać kroki tak, by stare deski wydawały jak najcichszy jęk. Mimo to bez przerwy miał wrażenie, że są obserwowani.

Gdy znalazł się na piętrze, pokazał Haler, by ubezpieczała go, gdy wejdzie do pokoju. Światło padało przez uchylone drzwi z pomieszczenia znajdującego się nieco na lewo od schodów. Deryło postąpił w jego stronę. Wyciągnął przed siebie pistolet i dopadł do framugi. Następnie, widząc, że Tamara zajęła pozycję naprzeciw drzwi, natarł na nie barkiem.

– Policja!

Skulił się i odskoczył na bok. W tym samym momencie zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd.

Na czym polega sekret?

To nic specjalnego. Nie ma w tym żadnej magii ani nawet nie potrzeba przesadnych umiejętności. Po prostu w trakcie pisania musicie się wcielić w jedną z postaci. Najlepiej jeżeli to będzie wasz główny bohater. Ten dobry lub ten zły.

W jaki sposób możecie to zrobić?

Najpierw starajcie się o nim jak najwięcej myśleć. Jeżeli będziecie o nim pisać i myśleć, w końcu pojawi się w waszych snach. Zobaczycie. Ale to dopiero początek. Po przebudzeniu nadal o nim myślcie. Wyobrażajcie go sobie, prowadźcie z nim wewnętrzny dialog. Zupełnie tak, jakby był kimś prawdziwym. Jeśli mieliście w dzieciństwie wymyślonych przyjaciół, potraktujcie go dokładnie tak samo. Zagrajcie z nim w kosza albo w szachy. Udzielajcie za niego odpowiedzi.

Kolejnym krokiem będzie myślenie nie o nim, ale jak on. To nieco trudniejsze i wymaga nieco więcej skupienia. Kładąc się spać, zastanówcie się, o czym pomyślałby wasz bohater. Czy wspominałby przeżyty dzień? Czy planowałby dzień kolejny? A może żyje chwilą albo oddałby się jakiemuś zbereźnemu filozofowaniu?

To samo zróbcie po przebudzeniu. A potem utrzymajcie ten stan jak najdłużej. Zróbcie sobie na śniadanie to, co zjadłby wasz bohater. Jeżeli zawsze jecie bułkę z dżemem, a on zjadłby kawał smażonego boczku – zróbcie to. Nawet jeśli nie pijecie kawy, a on by ją pił – napijcie się. Patrząc w lustro, wyobraźcie sobie, że widzicie jego twarz, i zróbcie minę, jaką on by zrobił. Szczając i srając, róbcie to tak jak on. Podcierajcie się tak jak on. Oblizujcie się i przełykajcie jak on. Mówcie z jego intonacją oraz jego słowami.

Tak, widzę te uśmiechy.

Co, jeśli bohater jest alkoholikiem i ćpunem? Osobiście chyba podświadomie staram się takich unikać, bo choć przy pierwszej scenie nigdy nie wiem, kim się okaże moja postać, rzadko ewoluje w ćpunów lub alkoholików. Ale jeśli... Nie wiem, to wasz problem. A może najlepsze możliwe usprawiedliwienie? Ja zdradzam wam jedynie pewien sekret, a wy zrobicie z nim, co zechcecie.

Pyta pani: a co, jeśli ten bohater jest mordercą? Myślcie jak on i czujcie jak on. Jeśli pił krew swoich ofiar, pijąc sok pomidorowy, wyobrażajcie sobie, że pijecie krew ze zwłok, które macie poszatowane na blacie. Krojąc kurczaka, myślcie o tym, że kroicie czyjąś nogę lub rękę. Pójdźcie do sklepu i kupcie drobiowe podroby. Zanurczcie w nich dłonie i delektujcie się tym. Rozgniećcie mózg wieprzowy, zjedzcie surową wątróbkę albo wypróbujcie duszenie na przelykach indyczych. Powiadam wam: doskonale się sprawdzają. Sam przerobiłem każdą z technik, o których mówię. Aby uniknąć mordowania, wystarczy nieco wyobraźni. Jeśli macie możliwość, pojedźcie na wieś i obetnijcie łeb kurze albo gęsi. Nasiąknijcie dobrem lub złem wedle waszego wyboru. Instykt podpowie wam, w kogo powinniście się wcielić.

Sztuka polega na tym, aby z tym identyfikowaniem się nie przegiąć pały. Postawcie sobie granice. Zróbcie to zawczasu, bo potem będzie za późno. Czy naprawdę musicie to robić? Chcecie szczerą odpowiedź, a ja od początku byłem z wami szczerzy.

Pieprzcie tę granicę.

Jeśli stracie poczucie, kim tak naprawdę jesteście, będzie to znaczyło, że wykonaliście kawał świetnej roboty. W końcu o to w tym chodzi. Wy jesteście od pisania, a psychiatrzy od tego, aby

*przywołać was do rzeczywistości. Niech się wykażą.
Zdradzę wam coś jeszcze.
Ja niemal zawsze wcielam się w postać mordercy.*

Deryło spojrzał na postać ubraną w czerwony kombinezon oraz maskę clowna. Stała tuż za klęczącymi na podłodze Pylakami. Strażnik więzienny miał rozcięty policzek oraz podbite, opuchnięte oko. Jego żona była naga, lecz na jej ciele nie widział ran.

Clown przykucnął, chowając się za swoimi zakładnikami. Przytykał do głowy Pylaka pistolet i podniósł drugą dłoń. Trzymał w niej przedmiot przypominający dżojstik. Nie musiał tłumaczyć Deryle, do czego służył. Jeden ruch zapewne wystarczyłby, aby z całego budynku nie pozostał kamień na kamieniu. Dziura w ziemi przypominałaby kopalnię odkrywkową albo miejsce uderzenia niemałego meteorytu.

Komisarz tylko przez chwilę był zdziwiony. W jego umyśle momentalnie przewinęły się obrazy oraz teorie, sprawiając, że fragmenty układanki ostatecznie trafiły na swoje miejsce. Wszystko stało się jasne i właściwie takie było od początku. Jedynie kilka błędnych przesłanek spowodowało, że odbiór całości został wypaczony. Dokładnie tak, jak w kryminałach Lubowa.

– Mogłem się domyślić... – Deryło wymierzył w clowna, ale ryzyko zranienia zakładników przy strzale było zbyt duże. Tuż za nim, w drzwiach, stanęła Haler. Czuł jej obecność i wiedział, że szalenie na moment spojrzał właśnie na nią.

– Rzućcie broń... – Zbrodniarz odezwał się niskim, nosowym głosem Bernarda Wejcherta. – Jeśli tego nie zrobicie, wysadzę tę pieprzoną ruderę i nas wszystkich. Natychmiast!

– Zastanów się. To nic nie da...

Deryło postąpił krok naprzód. Pot ściekał mu po czole i policzkach. Wysłuzony walther ślizgał się w dłoni. Zatrzymał się, gdy clown wymownie potrząsnął detonatorem.

– Wiem, że wasze procedury zabraniają oddania broni. Prędszej macie zginąć niż się rozbroić. Ale w przypadku, gdy ktoś taki jak ja ma zakładników, to założenie jest kompletnie bez sensu. – Wejchert przycisnął lufę do policzka Pylaka. Jego żona rozpaczliwie krzyknęła. – Jeśli się wkurzę, zginie czworo dobrych i jeden zły. To niezbyt książkowe zakończenie.

– Nie jesteśmy w książce – odezwała się Tamara. – Nie możesz mieszać rzeczywistości. Tu wszystko dzieje się naprawdę i krzywdzisz autentycznych ludzi. Spójrz, jak cierpią. Ich łzy są...

– Zamknij się! Skończ z tym swoim pseudopsychologicznym bełkotem. Liczę do trzech i jeśli wasze giwery nie znajdą się na ziemi... – Palec zawisł nad przyciskiem detonatora. – Chyba nie muszę więcej tłumaczyć. Raz...

Deryło sapnął i zrobił drobny krok w lewo. Chciał choć kątem oka widzieć Haler, a przede wszystkim odsłonić jej pole do strzału. Liczył, że Wejchert, pragnąc go obserwować, nieco się odwróci.

– Dwa...

Haler uchwyciła spojrzenie komisarza i natychmiast odgadła jego intencję. Jej palec pogładził spust. Miała Wejcherta na celowniku, ale ten znajdował się tuż za Pylakiem. Do tego żona strażnika wpadła w histerię i spazmatycznie płacząc, przyłgnęła do niego, nieświadomie jeszcze szczelniej osłaniając atrapę.

Tamara była dobrym strzelcem. Pobieźnie oceniła, że szanse trafienia wynosiły więcej niż pięćdziesiąt procent, a mimo to chybiecie groziło rozsmarowaniem mózgu któregoś z małżonków na twarzach pozostałej dwójki. Natomiast granie na czasie groziło tym, że szalenie wszystko wysadzi.

– Trz...

Jesteście mordercami?

Ja też.

Jesteście stróżami prawa?

Ja też nim kiedyś bywałem, jednak z czasem ciemność przyzywa zbyt mocno. Już powinniście wiedzieć, o czym mówię.

Haler uklękała i delikatnie odłożyła broń na podłogę. Deryło niemal jednocześnie zrobił to samo. Przez chwilę ich ponure spojrzenia się spotkały.

– Kopnijcie je w moją stronę – nakazał clown.

Posłusznie wykonali polecenie. Gdzieś z oddali dobiegło wycie syren wielu pojazdów. Z sekundy na sekundę zbliżało się i niemal wprawiało stary dwór w drżenie. Po chwili dołączył do niego łoskot łopat helikoptera.

– Kawaleria przybyła. – Wejchert roześmiał się i ściągnął maskę. Po jego twarzy pot ściekał jeszcze intensywniej niż Deryle. – Zdaje się, że uprzedziliście ich o sytuacji? Gdyby chcieli wejść przez strych, również powinni się przygotować na drobne niespodzianki.

– Poddaj się. – Haler odezwała się pewnym, spokojnym tonem. – Nie masz szans. Nie masz żadnej możliwości ucieczki.

– Naprawdę? Zdaje mi się, że widzę przed sobą dwójkę nieuzbrojonych policjantów, a sam mam pod ręką kilkaset kilogramów materiałów wybuchowych. To moja ucieczka.

– Błagam, wypuść nas – zaskomlała naga blondynka. – Nie rób nam krzywdy.

Pylak cały drżał. Jego twarz była purpurowa, a nieobrziałe oko przeszkłone. Opuchlizna niemal całkowicie zasłoniła drugie. W przeciwieństwie do żony w ustach miał knebel. Wyciągnął ku niej dłoń, lecz w tej samej chwili Wejchert rąbnął go ręką pistoletu. Mężczyzna jęknął i skrzywił się z bólu.

– Spokój!

– Masz wszystko, czego chciałeś. – Haler, patrząc prosto w oczy Wejcherta, zrobiła krok ku zakładnikom. – Zemściłeś się dokładnie w zaplanowany sposób. Nie musisz już nikogo zabijać. To nie ty w tej układance jesteś mordercą...

– Nie waż się zbliżyć ani o centymetr.

Haler posłusznie się zatrzymała. Na zewnątrz domu ktoś wygłaszał przez megafon jakiś komunikat, którego niemal nie rozumiała. Do środka dolatywały jedynie strzępy słów.

– Byłeś cierpliwy – ciągnęła. – Ile czekałeś od śmierci narzeczonej?

– Cztery pieprzone lata. – Wejchert uśmiechnął się ironicznie. – Skąd możesz wiedzieć, dlaczego to robisz? Nawet nie próbuj sobie tego wyobrazić.

– Każdy z nas stracił kogoś bliskiego – wtrącił się Deryło. On również zrobił krok naprzód, gotów choćby własnym ciałem zasłaniać Tamarę. – Nie tylko ty.

– Stać, kurwa!

Wejchert potrząsnął detonatorem. Jednocześnie wbił łokieć w kark Pylaka i pogładził palcem spust trzymanego w drugiej ręce pistoletu. Jego lufa była wciśnięta w policzek strażnika. Policjanci posłusznie się zatrzymali. Haler z trudem panowała nad drżeniem mięśni nóg. Jej serce łomotało jak oszalałe.

– Czekałem tylko na to, aż ten sukinsyn zejdzie z tego świata. – Wejchert nieco się rozluźnił. – Wiedziałem, że to się stanie. Wiedziałem o jego próbach samobójczych oraz o rozchwianej psychice. A w odwodzie czekał jeszcze rak. Tak, tak. Wiedziałem o nim dosłownie wszystko. Zdobyłem nawet jego dokumentację medyczną.

– Żyłeś tylko dla zemsty? Planowałeś ją każdego dnia, gdy wciąż nie pojawiał się komunikat

o jego śmierci?

– Jest pani wyjątkowo bystra, pani podkomisarz. – Wejchert parsknął. – Cierpienie uczy cierpliwości.

– Tylko po to, aby samemu trafić do więzienia? – wtrącił się Deryło.

– O nie, zapewniam was, że ja tam nie trafię. Nie liczcie na to.

– Więc po co?

Wejchert wypuścił powietrze w ucho zakładniczki. Kobieta drgnęła i przygryzła wargę, by stłumić płacz. Mimo to wciąż łkała.

– Lubow typował mnie na ofiarę przez wiele tygodni. Obserwował mnie, gdy chodziłem na jego kursy pisarskie. Choć zebrał sporą grupę, mówił wprost do mnie i delektował się tym. Delektował się, że zna moją przyszłość, o której właśnie pisał w książce. – Wejchert sapnął. – A potem... Potem zabrał mi narzeczoną i całe życie. Ja zabiorę mu po śmierci to, czego pragnął najbardziej. Sławę i pamięć. Ludzie szybko o nim zapomną, a będą pamiętać o mnie. Uznają, że to ja byłem prawdziwym autorem, a do tego to mnie przypisze się jego zbrodnie, z których był tak dumny.

– To obłąd... – Haler pokręciła głową. Pragnęła już tylko grać na czas. – Do kogo w takim razie tak naprawdę należał notes, który zabrano z celi Lubowa?

Deryło doskonale odczytał intencję partnerki. Miał nadzieję, że ekipa na zewnątrz sprawnie poradzi sobie z wejściem do budynku i zneutralizowaniem ładunków wybuchowych. Choć wiedział, że podobne działania zabierają zazwyczaj wiele godzin. Żywił się płonną nadzieją.

– Zabraliśmy się za to od złej strony – westchnął. – Nie trafiliśmy na żaden trop, przeglądając listy osób, do których Lubow wysyłał paczki, a powinniśmy się skupić na osobach, od których je otrzymywał.

Wejchert uśmiechnął się. Jego palec wciąż gładził spust.

– Wiedziałem, że Igor jest próżny. Wysłałem do niego notes, nad którym pracowałem całymi miesiącami. Zapewne był pod wrażeniem, jak bardzo udało mi się naśladować jego styl. Może nawet właśnie dlatego popełnił samobójstwo. Szczerze mówiąc, codziennie właśnie tak to sobie wyobrażam. Marzę o tym.

– Popełnił samobójstwo, bo nie mógł ścierpieć więzienia.

– Nieważne. Jego książki będą podpisane moim nazwiskiem. Przesłałem właściwe dowody do wielu redakcji i już zaczęto o tym mówić. Poza tym...

Wejchert umilkł, wsłuchując się w łoskot krążącego tuż nad budynkiem helikoptera. Na dole rozległy się łoskot i krzyki.

– Lubow mordował tylko po to, aby przetrwać tak, jak jego fabuły – podjął po chwili. – Chciał być zapamiętany po śmierci jako wielki morderca, ale udało mi się zmyć o nim pamięć. To o mnie teraz piszą wszystkie gazety. Zmieniono nawet notkę na Wikipedii o seryjnym mordercy zwanym Bestią. Dziś do mediów trafi mój ostateczny manifest wraz z imieniem i nazwiskiem. Igor Lubow ostatecznie zniknie, a pojawi się Bernard Wejchert.

Deryło sapnął. Lodowaty dreszcz przeszedł mu po kręgosłupie. Szaleństwo w oczach Wejcherta stawało się coraz bardziej widoczne. Nie mogli liczyć na wiele czasu. Kwestią sekund było, kiedy naciśnie detonator. Mógł go do tego sprowokować byle okrzyk lub hałas. Tymczasem tuż nad domem ponownie przeleciał helikopter.

– Nie rozumiesz, że realizujesz jego plan?! – krzyk Tamary niemal niezauważalnie, ale jednak drżał. – Gdy Lubow porwał ciebie i twoją narzeczoną, wszedł do twojego umysłu. Trwa w tobie. Wypełniasz teraz nie swoją, ale jego misję i...

– Zamknij się! – Wejchert nagle się poderwał. Kopnął Pylaka w plecy tak, że ten rąbnął twarzą o podłogę. Z jego nosa trysnęła krew. – Nie próbuj mną manipulować. Lubow nie mógł tego przewidzieć.

– Skąd wiesz?

– Krąg się zamknie. Jego ofiara stanie się prawdziwym, najgorszym mordercą, o jakim słyszano. Potrzebuję tylko hucznego zakończenia.

– To wszystko wypłynie. Specjaliści udowodnią, że to nie ty jesteś autorem...

Wejchert wybuchnął nerwowym śmiechem. Z jego oczu popłynęły łzy. Jednocześnie uniósł pistolet oraz detonator. Deryło rzucił się w jego stronę, lecz nie miał szans dopaść do niego, nim naciśnie przycisk. Przez myśl przemknęło mu nawet, że przynajmniej zginie, nie pozwalając mordercy uciec. To nie byłaby najgorsza śmierć. W sumie cała jego kariera zmierzała właśnie do tego.

Wtedy rozległ się huk.

Wszystko było skończone.

Brzeski od kwadransa usiłował się dodzwonić do Deryły, lecz odpowiadał mu komunikat, że komisarz znajduje się poza zasięgiem sieci. Natomiast po wybraniu numeru Haler od razu zgłaszała się automatyczna sekretarka.

Na skrzynkę aspiranta niedawno trafił manifest przesłany przez jedną z redakcji. Człowiek podpisujący się jako Bernard Wejchert twierdził, że nie tylko jest autorem większości książek Lubowa, ale również, że to on popełnił morderstwa, za które pisarz odsiadywał wyrok. Podawał przy tym szczegóły, które mógł znać tylko prawdziwy sprawca. Mężczyzna jednocześnie przytaczał dość zawiłą historię, jakoby udało mu się zmanipulować Lubowa i nakłonić go do tego, by ten twierdził, że porwał jego oraz jego żonę.

Brzeski po raz kolejny sięgnął po telefon. W tym samym momencie komórka zawibrowała. Aspirant, nie patrząc, kto dzwoni, natychmiast odebrał.

– Panie komi...

– Tu Knap. Proszę natychmiast stawić się na komisariacie i natychmiast znaczy: naprawdę natychmiast.

– Co się stało?

Inspektor odłożył słuchawkę. Brzeski, pełen złego przeczucia, pobiegł do sypialni. Była już prawie dwudziesta druga i po kąpieli siedział w krótkich spodenkach oraz koszulce do spania. Zgodnie z własnym rytmem już od kwadransa powinien być w łóżku obok żony.

Widząc jego zdenerwowanie, Alicja odłożyła książkę i zmarszczyła czoło.

– Wychodzisz?

– Pilne wezwanie. Mam wrażenie, że Eryk coś narozrabiał albo...

Brzeski nie dokończył. Wymownie spojrzął na żonę, po czym energicznie założył spodnie. W ciągu niespełna dwóch minut był gotów do wyjścia. Pocałował Alicję w czoło, po czym ruszył do drzwi. Zastanowił się, czy niczego nie zapomniał. Chwycił leżące na szafce w przedpokoju kluczyki do auta i wybiegł z mieszkania.

Gdy zbiegał po schodach, dręczyło go najgorsze przeczucie. Wiedział, że musi się spieszyć, a jednocześnie czuł, że nie zdąży.

Nie tym razem.

Wejchert pociągnął za spust.

Jednocześnie palce jego lewej dłoni przebrały po detonatorze. Mimo to wystrzał, który pozbawił go pokrywy czaszki i rozchlapał wokół mózg oraz kawałki kości, sprawił, że urządzenie upadło na podłogę. Coś nie zadziało.

Nim mężczyzna osunął się na kolana, Deryło dopadł do niewielkiego przedmiotu. Jego kolana plasnęły o kałużę krwi. W tym samym momencie Wejchert zważył się mu prosto w ramiona. Głowa zbrodniarza opadła i ze środka wylała się resztką galaretowatej, zakrwawionej substancji. Obryzgała komisarzowi policzek, po czym spłynęła mu na ramię.

Bruno Pylak obrócił się na bok, lecz krępujące go więzy nie pozwoliły mu zrobić nic więcej. Jego żona klęczała skamieniała z przerażenia. Otworzyła usta, nie potrafiła jednak wydobyć z nich krzyku. Wyglądała jak hiperrealistyczna rzeźba.

Ułamek sekundy później Haler znalazła się przy Deryle. Pomogła mu ułożyć ciało Wejcherta na podłodze i odruchowo chciała strzepnąć kawałki mózgu przyklejone do płaszcza komisarza. Poślizgnęła się w coraz większej kałuży krwi. Jej mdły zapach rozniósł się po pomieszczeniu. Zmieszał się z fetorem strachu oraz śmierci.

– O kurwa... – wyszeptał Deryło.

Podniósł się i przyklęknął przy skrupowanej parze. Strażnik z rozbitą głową charczał, dławiąc się własną krwią. Jego oczy wyszły z orbit, a usta zbieleły. Deryło wyrwał z jego ust knebel, do którego przyczepiło się kilka wybitych wskutek upadku zębów. Mężczyzna zawył z bólu.

Haler sprawdziła puls jego żonie. Zarzuciła jej na ramiona kurtkę, po czym delikatnie nakłoniła ją do zmiany pozycji. Skinęła do Deryły, dając znać, że wszystko jest w porządku. Odkasznęła, po czym usiadła na podłodze. Nie zważała, że jej spodnie maczają się w krwi. Nie miała siły stać. Odchyliła się i podparła rękoma. W jej dłoń wbiły się kawałki kości czaszki Wejcherta. Z obrzydzeniem, lecz niemal apatycznie je strzepnęła.

– Trzymasz się? – Deryło uważnie się jej przyjrzał. Jako pierwszy odzyskiwał swój zwykły rezon.

Tamara skinęła głową.

– Wiesz, jak rozmontować ten cholerny detonator?

– Nie mam bladego pojęcia. Na starość nie planowałem kariery sapera.

Haler się uśmiechnęła. Pochyliła się i cała drżąc, przytuliła do Deryły. W tym samym momencie z ust żony strażnika dobył się rozpaczliwy krzyk. Krzyk świadczący o tym, że znów była świadoma rzeczywistości. Rzeźba zamieniła się w człowieka.

Tamara odwróciła się do kobiety. Pylak, ciężko dysząc, leżał tuż przy niej i gładził jej przedramię. Płakał.

– Niech krzyczy. – Deryło mruknął. – Przynajmniej wie, że żyje. A to już naprawdę wiele.

Deryło dopił kufel piwa i odstawił go na stół. Tego wieczoru miał gdzieś jakiegokolwiek zalecenia lekarzy. Nie zamierzał planować wieloletniej przyszłości ani emerytury. Każdego dnia mógł zginąć lub na coś zachorować. Dlaczego miałyby sobie odmawiać chwili przyjemności? Po co się udręczać, łudząc marzeniami o życiu wiecznym? Czy w ogóle wieczność zasługiwała na marzenie o niej? Westchnął.

Razem z Haler oraz Brzeskim siedzieli w Aviatorze. W knajpie było sporo ludzi, a cały bar przyozdobiono świątecznymi światełkami. W oknach stały małe stroiki, a na szyby naklejono sztuczny śnieg. Jakby dla wyłamania się z tego klimatu z głośników leciała płyta Led Zeppelin. Deryło kojarzył kolejne piosenki z czasów nastoletniości. Choć nigdy nie był fanem rocka, teraz w ich akompaniamencie i wśród wrzawy podpitego tłumu nieco się rozluźnił.

Również Tamara wyglądała na odprężoną. Po raz pierwszy w towarzystwie komisarza lekko się wstawiła. Po piwie z sokiem oraz szklance Long Island opadło z niej napięcie. Jej oczy zaszklily się, a poważne zazwyczaj rysy stały się bardziej miękkie.

Brzeski pił herbatę. Zapowiedział, że tego wieczoru nikt go nie przymusi do przełknięcia choćby kropli alkoholu. Zapewne przed wyjściem z domu dostał stosowną reprimendę od żony. Jednak gdy Deryło zamówił dla niego Cuba Libre, skwitował to jedynie niewyraźnym uśmiechem i zaczął ją powoli saczyć. Dla pozorów lub ugaszenia wyrzutów sumienia popijał ją na przemian z owocowym liptonem.

Mimo że cała trójka starała się poruszać nowe tematy, rozmowa co rusz zbaczała na sprawę Igora Lubowa. Żadne z nich nie potrafiło z dnia na dzień otrząsnąć się po tamtych wydarzeniach. W ciągu tygodnia zginęły cztery osoby, a o mały włos ofiar mogło być więcej. Nikt nie wiedział, czy Wejchert zrezygnował z odpalenia ładunków wybuchowych, czy przez przypadek wystrzelił nieco zbyt wcześnie. Pewnym było, że ilość materiałów wystarczyłaby do zamienienia całej okolicy w dziurę w ziemi. Nie byłoby sensu szukać ani nawet próbować składać szczątków. Kilkucentymetrowe strzępy zwłok trafiłyby do trumien razem z gruzem i spalonymi ubraniami. Zdrapywano by je z zabudowań odległych o kilkaset metrów.

Od paru minut cała trójka milczała, przysłuchując się taktom *Stairway to heaven*. Brzeski upił kolejny łyk drinka. Wciąż męczyło go pewne pytanie i uznał, że nadszedł czas, aby wreszcie je zadać.

– Nie rozumiem tylko, skąd Wejchert znał szczegóły zbrodni, o których pisał w manifestie – zagadnął. – Przecież nie mógł ich popełnić...

– Nie – odparł krótko Deryło. – Pierwotnie był tylko ofiarą.

Komisarz pokręcił głową, gdy rockowa piosenka została wyciszona, a w jej miejsce z głośników ryknął amerykański przebój świąteczny. Nienawidził zachodniej szmiry i lukrowatej otoczki świąt. A już na pewno nie puszczonego co chwilę w radiu *All I want for Christmas is you*.

Widząc skołowane spojrzenie aspiranta, Haler postanowiła zaspokoić jego ciekawość.

– Wejchert wszystkiego dowiedział się od Pylaka oraz Milskiego. Zaprzyjaźnił się z nimi tylko po to, żeby wyciągać od nich informacje o Lubowie. A że Lubow był cholernie gadatliwy i lubił się chełpić swoimi czynami nawet przed klawiszami...

Brzeski westchnął.

– I wpadł w popłoch, gdy dostał od Wejcherta notes z imitacją jego książek?

– Wręcz przeciwnie. – Haler dała znać kelnerowi, by podał jej jeszcze jedną szklaneczkę Long Island. Czknęła i chichocząc, przysłoniła usta. Musiała z całej siły koncentrować się, by mówić składnie. – Był pod wrażeniem i uznał, że ktoś będzie chciał go naśladować. Ale nie przeszło mu przez myśl, że ktoś może chcieć przejąć jego spuściznę.

– Popelniając samobójstwo, uznał, że jego dzieło będzie kontynuowane?

– Prawdopodobnie bardziej bał się, że za parę miesięcy zeżre go rak. Kilka dni przed trafieniem do izolátky lekarze przekazali mu, że ma mniej niż pół roku życia.

– Czyli wcale nie był wściekły z powodu rzekomej kradzieży notesu. Po prostu stwierdził, że to już koniec i nie ma żadnych granic? Chciał uniknąć umierania w cierpieniu?

Haler nie odpowiedziała. Obserwowała Deryłę, który od paru minut skołowany patrzył w komórkę. Kilkakrotnie odrzucił połączenie, a teraz nerwowo składał serwetkę w żurawia. Jego telefon znów się rozświecił. Tamara zerknęła ponad stolikiem na ekran.

Rodzice.

Drgnęła, znając rodzinne stosunki komisarza. Delikatnie uścisnęła go za ramię i skinęła głową.

– Odbierz.

Deryło drgnął. Zamrugął, jakby wyrwany z innej rzeczywistości, po czym powoli się podniósł. Nie odszedł jednak od stolika. Przyłożył słuchawkę do ucha, zamienił kilka zdań i się rozłączył.

– Mój brat zmarł – oznajmił krótko, po czym przysłonił oczy dłonią.

—= FADE TO BLACK =—

POSŁOWIE

Ta książka ukazuje się niemal równe trzy lata po publikacji *Grzechu*. W międzyczasie na rynku pojawiło się kilkanaście innych moich pozycji, a powstało kilkakrotnie więcej (niestety kalendarz wydawniczy nie jest rozciągliwy – choć ponoć są co do tego różne teorie [no, dobrze – są, ale o nich na razie cisza]). Mówiąc krótko, wydarzyło się mnóstwo rzeczy, których nie obejmowały moje jakiegokolwiek wcześniejsze plany. Czasem z rozrzewnieniem zerkam na odwieszoną togę adwokacką, lecz niczego nie żałuję. Żaden zawód nie pozwoliłby mi w ciągu trzech lat przeżyć tyle, ile przeżyłem wraz z bohaterami swoich książek – a o to przecież na tym padole chodzi. O doznania, emocje i smakowanie każdej chwili.

Gdy po raz pierwszy spotkałem się z reprezentacją Wydawnictwa Filia – Marysią, Olgą i Mateuszem, jako sukces zakładaliśmy sprzedaż kilku tysięcy egzemplarzy debiutanckiej powieści. Nie chodziło o brak wiary, ale po prostu o realia. Te okazały się jednak takie, że owe kilka tysięcy rozeszło się od premiery do moich pierwszych krakowskich Targów Książki – czyli w niespełna dwa tygodnie. Nie będę zresztą zanudzał Państwa liczbami. To rocznicowe sedno jest inne – każda z powstałych w ciągu tych trzech lat książek to przede wszystkim Państwa zasługa. Cieszę się, że połączyły nas wspólne peregrynacje, emocje i adrenalina. Czuję wręcz sadystyczną radość, że niejednokrotnie przeze mnie spaliście Państwo przy zapalonym świetle i sprawdzaliście przed zaśnięciem, czy aby na pewno zamknęliście drzwi. To znaczy, że wszystko między nami zagrało. Strumienie naszych świadomości splotły się i pognały ku tym samym pierwotnym instynktom.

Mam nadzieję, że podobnie radosne słowa będę mógł napisać za rok, pięć i więcej lat, a odbiór kolejnych popłuczyn mojego umysłu przecięniętych przez filtr wyobraźni pozostanie tak samo pozytywny. Oczywiście nie aspiruję do tego, aby zadowolić każdego. To niewykonalne. Jednak pisząc, zawsze jestem szczerzy sam ze sobą – jeżeli jakaś scena mnie nuży – usuwam ją, jeżeli nie dostarcza mi adrenaliny – usuwam ją, jeżeli nie przyprawia o ciekawość, co będzie na następnej stronie... Tak, tak. Zgadliście. Usuwam ją.

Te reguły stosowałem nawet przy jakże odmiennej gatunkowo *Córce nazisty*. Mimo że to proza obyczajowa, intryga musiała mnie wciągnąć, a psychika bohaterów otrzeć się o moją własną. Trudno to wytłumaczyć, lecz odbiór tej pozycji pokazuje, że nie tylko zbrodniami seryjnych morderców świat stoi. Choć i w tym wypadku o zbrodni oraz o seryjnych mordercach można by niestety mówić.

W każdym razie ogromną przyjemność sprawia mi, że tak bogato komentujecie Państwo moje pozycje i wymieniacie się impresjami. Moja skrzynka odbiorcza jest niemal nieustannie zapchana – z góry przepraszam za zwłokę, lecz słowo daję, że staram się odpisać na każdą wiadomość.

Kreśląc te słowa, nie wiem jeszcze, czy w tym roku odbędą się Targi Książki w Krakowie, ale mocno trzymam za nie kciuki. Mam nadzieję, że właśnie na nich w pełni uczymy te trzy lata zmagania komisarza Deryły ze złem. Wszak przez tę niesamowitą interakcję mam jeszcze mocniejsze wrażenie, że tworzymy wspólny świat. W końcu gościłem w Państwa umysłach podczas lektury lub odsłuchu często o wiele dłużej niż naprawdę bliscy znajomi. Czyż nie?

Serdecznie dziękuję za zaufanie.

Dziękuję również całej załodze Filii, bez której nie udało by się nam rozpocząć tych przygód. To, że spośród setek propozycji wydawniczych wybrała właśnie *Grzech*, świadczy o niej jak najlepiej (miłymi słowami rozciągamy właśnie kalendarz wydawniczy – ku Jej przerażeniu, że sześć czy siedem

książek w ciągu roku to chyba szaleństwo, a moim zdaniem można planować więcej). Ale poza tym, całkowicie poważnie, to wspaniali ludzie i profesjonaliści, z którymi połączyła mnie przyjacielska więź.

Cóż, jeszcze mocniej niż sobie, kolejnych takich trzech lat życzę komisarzowi Deryle – nie zapominajmy, że to on oraz Tamara Haler są tu najważniejsi (choć pewnie znajdują się i tacy, którzy zawsze wcielają się w Tego Złego). Bez nich Cztery Iks, Fotograf i Bestia wciąż depopulowałyby nie tak znowu licznych lublinian. Korzystając z okazji – serdecznie zapraszam do tego mistycznego, a często niesłusznie przegapianego w planach podróży miasta. Deryło zapewnia pełne bezpieczeństwo.

Sto lat, Eryku. I to stu lat bez emerytury.

Ukłony
Max Czornyj

Mroczna seria z lubelskim komisarzem
Erykiem Deryło i Tamarą Haler!



FILIA MROZNA
STRONA

MAX CZORNYJ

Śmierć wciąż jest na wolności.

Autor bestsellerowej
powieści

GRZECH

BESTIA

FILIA